

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY**ŚLĄSK**

Nr 8 (273), Rok XXIV, SIERPIEŃ 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACHWSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKATADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, literatura, sztukaLAURA RYNDAK  
Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS,  
MAGDALENA DZIADEK,  
RYSZARD JASNORZEWSKI,  
WIESŁAWA KONOPELSKA,  
JAN MIODEK,  
KATARZYNA NIESPOREK,  
JERZY PASZEK,  
HENRYK SZCZEPAŃSKI,  
JOANNA WAROŃSKA,  
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIKADRES REDAKCJI:  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
e-mail: redakcja.slask@onet.plDTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.  
Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury  
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w  
Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice,  
ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,  
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane  
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

- 2 Tadeusz Sierny OD REDAKTORA  
4 Maria Korusiewicz O PRZYRODZIE, ETYCE I DELFINACH  
8 Alicja Bińkowska LAS TO STAN UMYSŁU  
10 Anna Barcz GDZIE JEST DZIKOŚĆ  
13 Zygfryd Nowak, Michał Jan Cichy MIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ  
18 Harry Duda POŻEGNANIE TADEUSZA SOROCZYŃSKIEGO  
19 Michał Lis TADEUSZ SOROCZYŃSKI (1942 – 2018)  
21 Krystyna Heska-Kwaśniewicz ŚLAWECZEK – PIEŚNIARZ CZYNU LEGIONÓW  
26 Janusz Korbel BIAŁOWIEŻA PRZEWODNIK OSOBISTY  
29 Henryk Postawka STODOŁY 1939. NIEZNANY EPIZOD II WOJNY ŚWIATOWEJ  
34 Aleksandra Dębińska BIELSKI FESTIWAL SZTUK WIZUALNYCH  
40 Marian Kisiel PORTRETY MISTRZÓW: IRENEUSZ OPACKI  
44 Henryk Szczepański KONFISERIE KATOWIC  
50 Katarzyna Niesporek JUBILEUSZ 85-LECIA URODZIN BOGDANA DWORAKA  
52 Julia Montewska ŚLĄSKIE TAJEMNICE: RUINY PAŁACU W GŁĘBOWICACH  
56 Tadeusz Sierny ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ. Rozmowa z prof. Zygfrydem Nowakiem  
60 Tadeusz Sierny ADAPTACJA DO ZMIAN KLIMATU.  
Rozmowa z dyrektorem instytutu ekologii terenów uprzemysłowionych (IETU)  
w Katowicach dr. hab. inż. Janem B. Skowronkiem  
62 BLASK ARCYDZIEŁ Jerzy Paszek BLASK SONETÓW  
74 Jan Malicki BIAŁE KRUKI BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ: SYGNATURA 213955 I  
76 Janusz Ireneusz Wójcik POETA NA DRUGIM BRZEGU RZEKI  
80 Lucyna Sadzikowska GUSTAWA MORCINKA I DOROTY SIMONIDES  
EPISTOLOGRAFICZNY DWUGŁOS O BOGACTWIE ŚLĄSKICH POWIAREK  
82 Dorota Simonides Z MOJEJ KORESPONDENCJI Z GUSTAWEM MORCINKIEM

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 Natalia Rybka, Maria Korusiewicz MALARSTWO NATALII RYBKII  
69 GALERIA: NATALIA RYBKA, MALARSTWO  
88 Maria Korusiewicz ŚWIATY MAJI OSTROWSKIEJ

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE. Linda Nemeč Foster MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM  
16 Linda Nemeč Foster WIERSZE (tłum. Maria Korusiewicz)  
20 Tadeusz Soroczyński WIERSZE  
54 Eugeniusz Sikorski WIERSZE

## FELIETONY

- 36 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM. Marian Grzegorz Gerlich  
ETNOGRAFIA „FAŁSZYWEGO ŚWIADECTWA”  
37 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzcZYŻNA. Jan Miodek PŁONKI, WIEPRZKI  
I ŚWIĘTOJANKI  
38 MIĘDZY NUTAMI. Magdalena Dziadek KONIEC EPOKI  
39 ROK OLIMPIJSKI. Ryszard Jasnorzeński DOSTATEK BIELI  
73 Piotr Grella-Możejko KOMPOZYTOR NIELUBIANY

## KSIĄŻKI

- 64 Magdalena Piotrowska-Grot STOJĄC ZAPATRZONY W OBŁOKI I NIEBO...  
65 Katarzyna Niesporek PRZEMIJANIE W RADOŚCI ISTNIENIA  
66 Andrzej Juchniewicz KARUZELA ZAAFEKTOWANYCH  
67 Zygmunt Woźniczka ZAPRZEPASZCZONA REWOLUCJA?  
87 KSIĄŻKI NADEŚLANE

## Z ŻYCIA BIBLIOTEK

- 78 Izabela Kula ROK IRENY SENDLEROWEJ W CIESZYŃNIE

## NOTATNIK KULTURALNY

- 84 BĘDZIN, CZĘSTOCHOWA, KATOWICE, SIEMIANOWICE

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE: Balbina Fabia, Piotr Kierat, Bruno Ostrowski,  
Maja Ostrowska, Anna Pawluszkiwicz, Bogdan Topor, Marek WesołowskiNa okładce: Natalia Rybka, *To co niewypowiedziane jakoś mniej istnieje*,  
70x100, olej na płótnie, 2018Pismo wspierane  
finansowo przez:Projekt objęty  
mecenatem  
MIASTA KATOWICEKATOWICE  
dla odmianyMinisterstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Śląskie.

## Od Redaktora!

Pewnie niewielu z nas chce cokolwiek wiedzieć o podobnym do zebry zwierzęciu nazwanym kwagga (*Equus quagga quagga*). 12 sierpnia 1883 w amsterdamskim ogrodzie zoologicznym padło ostatnie na świecie stworzenie tego gatunku. Pozostały po ich licznych stadach zaledwie 23 skóry i jedno, jedyne zdjęcie osobnika kiedyś żyjącego na wolności. Co Stwórca (jak kto woli: Ewolucja) stworzył lub powołał do życia, człowiek niewątpliwie potrafi skutecznie i doszczętnie unicestwić.

Cywilizacja człowieka nazywała mijające epoki: wiekiem pary, wiekiem elektryczności, epoką atomu, cywilizacją cyfrową. Dwudziesty pierwszy wiek zostanie być może nazwany – wiekiem ekologii.

Od pierwszego po urodzeniu zachłębienia się powietrzem, aż do naszej ostatecznej chwili życia doświadczamy świata poddanego presji ekologicznych imperatywów, jakże skutecznie omijanych, przekraczanych lub po prostu ignorowanych przez dumne ludzkie pokolenia „czyniące sobie ziemię poddaną” w celu zaspokojenia jedynie dwóch przeciwnych potrzeb: nieograniczonej niczym produkcji dóbr i ich nieograniczonej konsumpcji.

Szlachetne prawo do możliwie najlepszej – gwarantowanej technologią, medycyną, polityką i wieloma innymi czynnikami – jakości życia współczesnego człowieka jest racjonalnym efektem pozytywności tradycji europejskiej myśli filozoficznej.

Nakaz ochrony środowiska, jako kardynalna zasada istnienia rodzaju ludzkiego (imperatyw etyczny) – w jakim owa komfortowa jakość życia mogłaby być realizowana przez obecne i przyszłe pokolenia, jest przez ostatnie blisko pół wieku (przynajmniej od czasu ogłoszenia Raportu Rzymskiego w 1972 zatytułowanego „Granice wzrostu”) z ogromnym trudem transmitowany do świadomości

ludzi biznesu, polityków, także wielu z nas. Parafrazując tytuł artykułu A. Bin-kowskiej możemy dopowiedzieć, że *Ekologia to stan umysłu*.

Na Śląsku rozmowa o ekologii bywa często traktowana z analogicznym zainteresowaniem z jakim spotkamy się z propozycją „rozmowy o sznurze w domu powieszonoego”. Do niedawna jakiegokolwiek inicjatywy proekologiczne były traktowane tutaj jako niemalże dywersja gospodarcza, chociaż powstanie leśnego pasa ochronnego wokół GOP-u, największego w Polsce sztucznego zbiornika wody pitnej w Goczałkowicach, utworzenie Parku Śląskiego, liczne inicjatywy WFOŚiGW mogłyby służyć uprawionemu zaprzeczeniu tej tezy.

Jednakże mieszkańcy: Tarnowskich Gór, Rybnika, Rudy Śląskiej, Bytomia, wielu zdegradowanych miast i wsi znalazłby dziesiątki przykładów dawnych i współczesnych bezpardonowych, podporządkowanych jedynie krótkotrwałym interesom gospodarczym decyzji jednoznacznie anty środowiskowych.

W tym numerze staramy się pokazać te tendencje, postawy, które dominowały i są obecne w myśleniu o Polsce, Śląsku – w zgodzie z nakazami poszanowania zasobów nieodnawialnych dóbr, ochrony przyjaznego nam ludziom środowiska, z myślą o naszym dobrostanie i szczęśliwym, zdrowym życiu pokoleń, które przyjdą po nas.

Rozwój cywilizacji ludzkiej znacząco dały wielkich osiągnięć nauki i techniki, niebanalnych pomysłów odnotowanych w annałach w sierpniu, m.in.: w 1793 we Francji wprowadzono system metryczny, 1853 George Crum wynalazł kartoflane chipsy, 1858 pomiędzy Europą a Ameryką Północną został przesłany pierwszy telegram, królowa brytyjska Wiktoria i prezydent USA James Buchanan oficjalnie zainaugurowali działalność transatlantyckiego kabla telegraficznego wymieniając telegramy z pozdrowieniami; a w 1885 Gottlieb Daimler opatentował pierwszy motocykl; 1913 francuski lotnik Adolphe Pegoud dokonał pierwszego w historii skoku ze spadochronem z pokładu samolotu; 1923 żaglowiec „Lwów” w trakcie rejsu do Brazylii jako pierwsza jednostka pod polską banderą przepłynął równik, kosztem katorżniczej pracy tysięcy uwięzionych i represjonowanych; w 1933 oficjalnie otwarto kanał Białomorsko-Bałtycki im. Józefa Stalina, 1938 w stoczni Gdynia położono stępkę pod drobnicowiec SS Olza, pierwszy statek pełnomorski budowany w II RP w Gdyni; w 1963 w Wojskowej Akademii Technicznej uruchomiono pierwszy polski laser, w 1983 na Stadionie Olimpijskim w Helsinkach odbyły się pierwsze w historii mistrzostwa świata w lekkoatletyce, podczas których Polska zdobyła 4 medale; w sierpniu 2018 w Berlinie podczas XXVI mistrzostw Europy w lekkoatletyce polscy sportowcy zdobyli 12 medali (siedem złotych, cztery srebrne, jeden brązowy).

Kroniki notują także wiele znaczących dla kultury sierpniowych zdarzeń: w 1778 w Mediolanie otwarto teatr La Scala, a w 1818 Antoni Malczewski jako pierwszy Polak zdobył szczyt Mont Blanc w Alpach, 1908 w Austrii znaleziono Wenus z Willendorfu kobiecą figurkę sprzed 22 000 – 24 000 lat, w 1913 w Kopenhadze odsłonięto „Małą Syrenkę”, w 1928 urodził się amerykański artysta pochodzenia łemkowskiego Andy Warhol – malarz, grafik, filmowiec (ośmiogodzinny niemy film *Empire*) przedstawiciel pop-artu; w 1933 odkryto pozostałości prehistorycznej osady w Biskupinie, w sierpniu 1958 realizowano pierwsze notowanie listy przebojów Billboard Hot 100, w którym zwyciężył utwór Por Little Fool Ricky’ego Nelsona, w 1963 W Waszyngtonie pastor Martin Luther King przed 250 tysiącami Amerykanów wygłosił historyczne przemówienie rozpoczynające się od słów I Have a Dream (Miałem sen..) i urodziła się amerykańska piosenkarka i aktorka Whitney Houston, no i chyba warto odnotować, że w 1968 Chińskie Radio Międzynarodowe nadało pierwszą audycję w języku polskim.

W sierpniu przypadają także rocznice walk zbrojnych, powstań i konfrontacji zbrojnych: w 1018 książę Bolesław Chrobry zdobył Kijów, w 1848 Stany Zjednoczone anektowały Nowy Meksyk; w **1919 z 16/17 sierpnia wybuchło I Powstanie Śląskie**, 1928 państwa członkowskie Ligi Narodów podpisując pakt Briand – Kellogga – wyrzekły się wojny jako metody prowadzenia polityki; **1.08.1943 wybuchło powstanie w getcie białostocko-sosnowieckim** oraz 16.08.1943 w Białymstoku, a rok później **1.08.1944 wybuchło Powstanie warszawskie**, w 1948 odbył się Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, w 1958 USS Nautilus przepłynął pod biegunem północnym, sierpień roku 1968 oznaczał koniec praskiej wiosny, wojska Układu warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji.

W sierpniu obchodzimy także rocznice śmierci ludzi, o których pamiętać będziemy mimo upływu wielu lat: w 778 w wąwozie Roncevaux poległ w boju hrabia Roland, bohater średniowiecznego eposu, w 1253 zmarła Klara z Asyżu, Święta Kościoła Katolickiego, patronka radia i telewizji, w 1568 zmarł niespełna osiemnastoletni jezuita Stanisław Kostka, patron Polski, ministrantów, dzieci i młodzieży, patron roku liturgicznego 2018, w 1893 zmarł polski rysownik i malarz Michał Elwiro Andriolli, popularny i ceniony ilustrator książkowy (Pan Tadeusz), 1943 zginął Tadeusz Zawadzki ps. „Zośka” harcmistrz i podporucznik AK, komendant grup szturmowych Szarych Szeregów, 12 sierpnia 2018 – zmarł wybitny aktor śląski Bernard Krawczyk.



## LINDA NEMEC FOSTER *tłum. Ewa Parma*

### MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

U stóp Himalajów  
kobiety obejmują drzewa w lasach,  
by uchronić je przed siekierą drwala.  
Gaje pełne są kobiet ubranych  
w karmazynowe i szafirowe sari,  
niektóre z małymi dziećmi u boku  
kołyszą w ramionach pnie.  
Jak cudowne wielobarwne łodygi  
obejmują je i czekają.

W deszczu południowego Oregonu  
mężczyźni wykonują swą pracę. Ich twarze  
na tej starej fotografii są ciemne,  
w kolorze sepii. Ścinają wielkie drzewa,  
jedno po drugim. Otwarty, ziejący raną brzuch  
sekwoi, która już dogorywa  
staje się ogromną podpórką.  
Sześciu mężczyzn i pies stoją na tle drzewa.  
Koncentryczne pierścienie zastygają w oku aparatu.



Fot. Marek Wesolowski

**Linda Nemeć Foster** (ur. 1950 w Cleveland, Ohio) jest autorką dziesięciu książek poetyckich, m.in. *The Lake Michigan Mermaid*, *Talking Diamonds*, *Amber Necklace from Gdansk*, *Listen to the Landscape* i *Living in the Fire Nest*. Została pierwszą Poetką Laureatką miasta Grand Rapids w stanie Michigan w latach 2003-2005. Jest pomysłodawczynią cyklu spotkań z wybitnymi pisarzami Contemporary Writers Series w Aquinas College, gdzie prowadzi zajęcia z twórczego pisania. Związana z Polską, zwłaszcza z okolicami Bielska-Białej, Krakowa i Tarnowa, skąd jej dziadkowie wyemigrowali do USA w latach dwudziestych ubiegłego wieku.





Fot. Maria Korusiewicz

# O przyrodzie, etyce i delfinach

MARIA KORUSIEWICZ

**W** roku 2012, podczas największej światowej konferencji naukowej, czyli spotkania członków Amerykańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Nauki (American Association for the Advancement of Science – AAAS) w Vancouver, postawiono oficjalnie tezę, że wielkie ssaki morskie, przede wszystkim delfiny, powinny uzyskać takie same prawa do życia i wolności jak ludzie, ze względu na ich udowodnioną, niezwykle wysoką inteligencję, jednostkową samoświadomość i porównywalne z ludzkimi możliwości komunikacji.

Wyniki wieloletnich badań i eksperymentów dowiodły, że chociaż delfiny nie są

ludźmi, to są osobami i ich trzymanie w niewoli i zabijanie powinno być traktowane podobnie jak niewolenie i zabijanie innych osób. Delfiny mają, podobnie jak ludzie, samoświadomość. Rozpoznają siebie w lustrze, realistycznie oceniają swoje szanse w testach wciskając przycisk „rezygnuję”, jeśli uważają zadanie za zbyt trudne, planują również – nie poprzez proste reagowanie, ale na drodze abstrakcyjnego myślenia – własną przyszłość. Potrafią zachowywać się w sposób etyczny: opiekują się niedołącznymi lub okaleczonymi członkami grupy. Mają niezwykle długą pamięć kontaktów społecznych i rozpoznają się bez trudu po 20 latach roz-

łąki. Nadają też sobie wzajemnie „imiona”, których używają w komunikacji. Tak jak my, tworzą w swoich grupach odrębne kultury rozwijające się poprzez pokolenia, z własnymi tradycjami i zwyczajami, które starsi przekazują młodszym, tak jak to robią wspólnoty ludzkie. Czy więc powinniśmy włączyć je – i inne zwierzęta, a może nawet rośliny – w obręb naszych powinności etycznych?

Przyrodę najczęściej odbieramy poprzez jej piękno. Widok wysokich drzew na wietrze, zapach traw w upalny dzień, delikatny dotyk piasku, błękit morza, miękkie futerko naszego kota. A w szerszym kontekście – krajobrazy, które są niemal narodowym dziedzic-





twym: polska polna droga oceniona wierz-  
bami, jesień w Anglii, wiosna w Chinach,  
Wielki Kanion w Kolorado. Dzisiaj jednak,  
to zwyczajowe podejście przestało wystar-  
czać, nie wystarczy również proste zdefinio-  
wanie przyrody, jako obszaru poddanego  
ludzkiej kontroli i prawom ekonomii.

Co więcej, coraz wyraźniej dotykają nas  
konsekwencje działań, które przez kilka stu-  
leci uważaliśmy za jedyną właściwą drogę roz-  
woju. Świat zachodni poczawszy od mniej  
więcej drugiej połowy XVI wieku, wraz  
z pojawieniem się postaci takich, jak Francis  
Bacon, Kartezjusz, czy nieco później angielski  
filozof John Locke, rozpoczął niejako samo-  
istny proces odczarowywania i „mechani-  
cyzowania” rzeczywistości, która przez  
niezmierzony czas otulała nas głębokim po-  
czuciem żywotnej więzi tego, co jest, w mi-  
liardzie swoich form, W rezultacie, „utraci-  
liśmy instynkt do tego, co prymitywne, dzikie”,  
a negując tak istotną część naszego dziedzic-  
stwa, utraciliśmy jednocześnie instynkt do tego,  
co duchowe. Wraz z tą stratą zagubiliśmy  
też gdzieś zarówno pewność naszej tożsamo-  
ści i poczucie zadomowienia w świecie, któ-  
ry stał się nam obcy. Ścieżki cywilizacji  
i natury nie są już zbieżne. Towarzyszy więc  
nam dojmujące uczucie osamotnienia, osob-  
ności, utraty sensu. W rezultacie, jak pisze je-  
den z najwybitniejszych humanistów zesz-  
łego stulecia, Northrop Frye – „główny mit  
ludzkości to mit utracenia tożsamości: celem  
rozumu, odwagi i wizji jest jej odzyskanie”.

Kim więc jesteśmy, pozostając zamknię-  
ci w wizji świata, którego jedynym centrum  
jest człowiek? Coraz częściej mówi się dzia-  
siał, że w czasach kryzysu ekologicznego, an-  
tropocentryzm jest postawą „ekologicznie ir-  
racjonalną”, stanowi realne zagrożenie dla  
życia na ziemi. Przez wiele stuleci, antropo-  
centryczna i oparta na rozumie kultura za-  
chodnia zdobywała świat, z łatwością domi-  
nując nad kulturami, które nie widziały  
wartości w nieustannym pędzie do zmian,  
rozwoju nauki i technologii. A przecież są  
granice wzrostu i przekroczenie ich może  
oznaczać, że podążamy w kierunku samo-  
zniszczenia. Pojawia się więc konieczność  
„współpracy” człowieka z naturą ożywioną  
i nieożywioną. Zaczynamy dostrzegać zna-  
czenie takich pojęć, jak szacunek, dbałość  
i odpowiedzialność odnoszących się do przy-  
rody. Oznacza to również konieczność po-  
dejścia etycznego, poszerzenia zakresu na-  
szej moralności.

#### ETYKA SKONCENTROWANA NA CZŁOWIEKU

Myśl etyczna w historii nowożytnej kul-  
tury zachodniej rozwijała się w oparciu  
o trzy filary: nauczanie wyrastające z chrze-  
ścijańskich wartości religijnych, związane  
z nimi tradycje moralno-etyczne i przesłanki  
racjonalne. We wszystkich trzech obszar-  
ach źródłem i celem etycznych zachowań  
jest człowiek, skupiony na swoich prawach  
i potrzebach. Podstawowym stanowiskiem  
zachodniej etyki jest więc antropocentryzm  
we wszystkich swoich odcieniach, co od-  
zwierciedlają już najstarsze, greckie pojęcia  
*ethos* i *arete* (charakter/zwyczajowy sposób  
postępowania i cnota/dzielność) odnoszące  
się tylko do człowieka.

Powszechnie stosowany układ wartości  
etycznych przyznaje jedynie człowiekowi  
prawo do posiadania wartości, którą nazywa-  
my wewnętrzną, co oznacza, że tylko on jest  
wartością sam w sobie. Przyroda ma przede

wszystkim wartość instrumentalną odzwier-  
ciedlając ustalony przez Kartezjusza pod-  
ział na ducha i materię, biblijny obraz  
przyrody poddanej człowiekowi i stare,  
sformułowane jeszcze przez Arystotelesa,  
ludzkie prawo do użytkowania świata natu-  
ralnego. Jeszcze bardziej wyrazisty roz-  
dział pomiędzy człowiekiem a naturą poja-  
wia się w tradycyjnym zachodnim pojęciu  
moralności jako decyzji i czynów ludzkich  
z punktu widzenia dobra i zła. Podmiotem  
moralności zawsze jest człowiek jako jednost-  
ka lub zbiorowość.

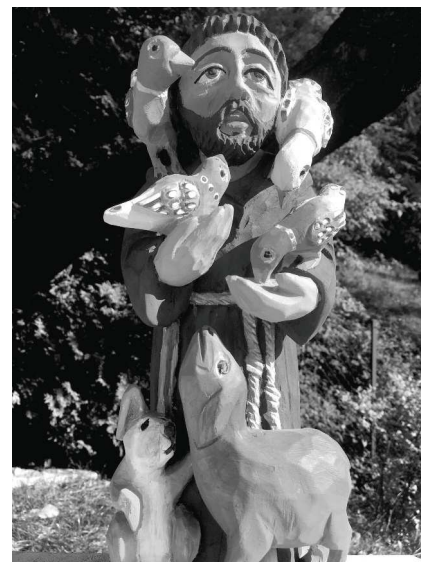
Taką samą ścieżkę wskazuje tak istotna dla  
etyki zachodniej wizja filozofa z Królewca,  
Immanuela Kanta, w której pod „niebem  
gwiazdzystym” stoi tylko człowiek rozważa-  
jący swoje decyzje względem innego czło-  
wieka, jako jedynej istoty godnej szacunku.  
Warto przytoczyć tu słowa Kanta: „Szacu-  
nek kieruje się zawsze tylko ku osobom, a ni-  
gdy ku rzeczom. Rzeczy mogą w nas wzbud-  
zać skłonność, a jeżeli są to zwierzęta (np.  
konie, psy itd.), nawet miłość albo też bojaźń,  
jak morze, wulkan, drapieżne zwierzę, nigdy  
jednak nie mogą wzbudzać w nas szacunku.  
Czymś, co już bardziej zbliża się do tego  
uczucia, jest podziw, a ten, jako afekt, mia-  
nowicie zdumienie, może dotyczyć także rze-  
czy, np. niebotycznych gór, wielkości, mno-  
gości i odległości ciał niebieskich, siły  
i szybkości niektórych zwierząt, itp. Ale to  
szczyt nie jest szacunkiem”.

Tak więc zło wyrządzone naturze, nie jest  
rozpatrywane z perspektywy jej praw należ-  
nych jej jako „podmiotowi” lecz w świetle  
ewentualnej deprawacji charakteru sprawy.  
W dziedzinie tradycyjnej etyki zachodniej na-  
tura pozostaje niema.

Te dwa podstawowe założenia, antropo-  
centryzm i zaprzeczenie wewnętrznej war-  
tości natury, stały się wyzwaniem dla nowej  
dziedziny filozofii, która wyłoniła się mniej  
więcej na początku lat 70. zeszłego stule-  
cia i zyskała miano etyki środowiskowej  
(*environmental ethics*). Etyka środowisko-  
wa, obejmuje zagadnienia etyczne dotyczą-  
ce relacji między człowiekiem a przyrodą,  
oraz bada możliwości regulacji tej relacji  
w odniesieniu do określonych norm i war-  
tości. W jej ramach zakwestionowano wyż-  
szość człowieka, także z punktu widzenia  
etyki, wobec świata przyrody i wszystkich  
jejo przedstawicieli, oraz rozpoczęto pra-  
ce teoretyczne badające możliwości rozpo-  
znania wartości wewnętrznych zwierząt,  
roślin, czy też całych ekosystemów, co  
stanowiłoby podstawę dla przyznania im  
określonych praw, odzwierciedlanych osta-  
tecznie w prawodawstwie i posiadających  
konsekwencje praktyczne.

#### SPÓJRZENIE W PRZESZŁOŚĆ

Pierwsze współczesne zwiastuny wspo-  
mnianych zmian sięgają lat trzydzie-  
stych XX wieku, czyli początków ekologii  
jako nauki, ale samo spojrzenie na naturę  
poprzez pryzmat jej potrzeb jest dużo  
wcześniejszej daty. Pojawia się na przecię-  
ciu nauk przyrodniczych i myśli filozoficz-  
nej, w czasach, w których poszukiwania za-  
sad rządzących światem spletały się  
z intuicją kosmologiczną. Można więc po-  
szukiwać myśli, którą nazwalibyśmy dzia-  
siał pro-środowiskową już w starożytności  
greckiej (m.in. u Herodota i Arystotelesa),  
a potem na całej przestrzeni filozofii przy-  
rody. W tradycji chrześcijańskiej jako sta-  
łe punkty odniesienia służą znane po-



Stanisław Kwaśniry, Rzeźba ludowa

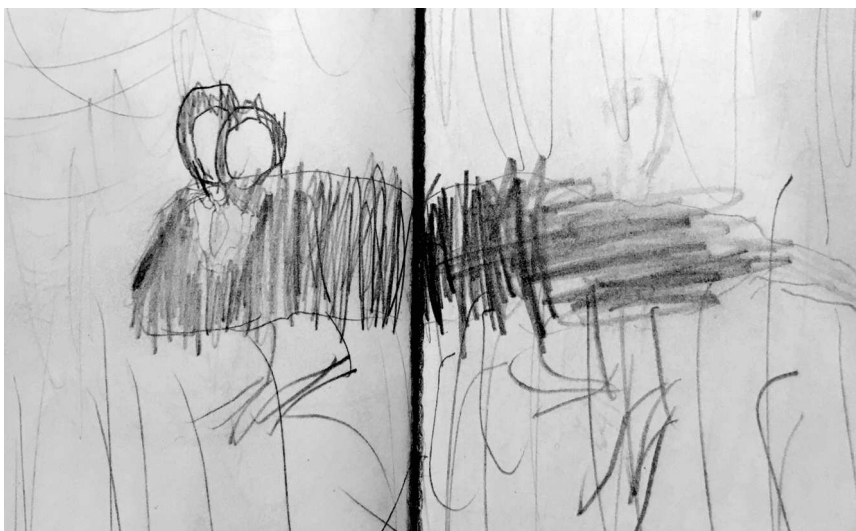
wszechnie ideały franciszkańskie i benedyk-  
tyńskie niosące szacunek dla wysokich  
wartości wszystkiego, co żyje i dba-  
łość – przede wszystkim poprzez pra-  
cę – o świat naturalny.

Tematyka natury pojawiała się również  
w obszarach bliższych mistyce, np. w pismach  
Jakuba Boehme (1575-1624).

W historii nowożytnej filozofii zachod-  
niej idee, które dzisiaj przyporządkowali-  
byśmy problematyce etyki środowisko-  
wej wielokrotnie podejmowane były  
w pracach i wypowiedziach filozofów  
i myślicieli. Już w roku 1754 Jean-Jacques  
Rousseau w *Rozprawie o pochodzeniu  
i podstawach nierówności między ludźmi*  
postulował objęcie świata zwierząt zasada-  
mi prawa naturalnego ze względu na posia-  
daną przez nie świadomość i podobną  
ludzkiej zdolność odczuwania. Pisał:  
„W ten sposób kładziemy również kres sporo-  
rom na ów stary temat, czy prawo natural-  
ne przysługuje zwierzętom. [...] Wydaje się  
w istocie, że jeśli nie powinienem czynić  
krzywdy bliźniemu, to nie tyle dlatego, że  
jest on istotą rozumną, ile dlatego, że jest  
istotą czującą. Właściwość ta wspólna za-  
równo zwierzęciu jak i człowiekowi, mu-  
si dawać zwierzęciu przynajmniej to jedno  
prawo, by człowiek nie zadawał mu cier-  
pień zbyt znacznych”. Podobnie, w roku 1789  
brytyjski prawnik, ekonomista i filozof,  
Jeremy Bentham pisał, że sama zdolność  
zwierząt do odczuwania cierpienia powo-  
duje konieczność zachowań etycznych  
wobec nich.

Wiek XVIII to także początki myślenia  
„ekologicznego”, łączone ze spuścizną  
szwedzkiego przyrodnika i lekarza, jednej  
z najwybitniejszych postaci nauki okresu  
oświecenia, Karola Linneusza (1707-1778),  
której wpływy docierają do czasów Darwi-  
na. O ile jednak na wczesnych koncepcjach  
„ekonomiki natury” ciążyły mechanistyczne  
idee przyrody jako sprawnie funkcyj-  
nującej maszyny, pierwsze wizje „ekologii”  
(termin ten zastosował już w roku 1866 nie-  
miecki zwolennik darwinizmu, biolog i fi-  
lozof Ernst Haeckel) wywodziły się z ro-  
mantycznej reakcji na oświeceniowy  
racjonalizm. Prezentowano więc poglądy  
znacznie bliższe współczesnym, holistycz-  
nym, odwołując się do harmonii i równo-  
wagi w obrębie świata.

Wśród ekologów przełomu XIX  
i XX wieku pojawiają się pierwociny idei  
ekosystemu. Za twórcę teorii ekosystemów



uważa się brytyjskiego biologa Arthura Tansley'a, jednego z założycieli Brytyjskiego Towarzystwa Ekologicznego (British Ecological Society), które powstało w roku 1913. Tansley przyczynił się znacząco do rozwoju ekologii jako nauki; w jego ujęciu przekroczyła fazę inspirowaną postawami romantycznymi, a nawet mistycznymi, i zajęła pełnoprawne miejsce pośród nauk przyrodniczych. Rozpoznanie sieci wzajemnych współzależności budujących ekosystemy oznaczało jednak w dużej mierze ponowne odejście od szansy na etyczne podejście do przyrody. Ekologia została natychmiast wykorzystana jako nowe, potężne narzędzie w ludzkiej kampanii podboju natury, ponieważ ekosystemy można było uczynić bardziej „produktywnymi”. Podobnie zresztą widzimy to dzisiaj.

Zmiany w rozumieniu tego, co „ekologiczne” i późniejsza kariera potocznie określenia łączonego z dbałością o stan środowiska rozpoczęła się dużo później. Co prawda, koncepcja „nowej ekologii” oraz sam termin zostały zastosowane po raz pierwszy u progu II Wojny Światowej, w publikacji z roku 1934, *The Science of Life*, której autorami byli Herbert George Wells, Julian Huxley i George Philip Wells. Jednakże, zaś się ich oddziaływanie był niewielki. Przyczyny były oczywiste – przez następne dziesięciolecie świat żył sprawami wielkich konfliktów narodów i ideologii.

Dopiero w latach 60. zeszłego stulecia do głosu doszło nowe pokolenie, zainteresowane diametralną zmianą sposobu życia i myślenia. Przez Stany Zjednoczone, a potem przez Europę przetoczyła się fala ruchów kontestujących tradycję i osiągnięcia cywilizacji zachodniej, poszukujących nowych rozwiązań obiecujących lepszą przyszłość świata. Jednakże, naiwność i utopijny charakter większości postulatów kontrkulturowych i prób wcielenia ich w życie – a także fakt, że pojawiły się również tragiczne konsekwencje w postaci ekstremalnych postaw prowadzących w stronę przemocy i terroryzmu – przekreśliły szanse na poważne ich potraktowanie. Ale ziarno zostało zasiane.

Ruchy w obronie praw obywatelskich i praw mniejszości, szczególnie czarnych mieszkańców USA, ruchy pacyfistyczne i feministyczne domagające się nowej wizji prawa i nowej etyki zbiegły się z upowszechnieniem nowego spojrzenia na świat ze strony nauki. Rosła więc świadomość relacyjnej, procesualnej, holistycznej, a jedno-

czniejszej podległej rozpadowi natury rzeczywistości, a także świadomość zagrożeń cywilizacyjnych wynikających z ludzkiej ingerencji w tę rzeczywistość. Nieprzypadkowo więc również etyka skierowana w stronę przyrody rozwija się dynamicznie właśnie od końca lat 60. zeszłego wieku.

Etyka ta w swojej współczesnej postaci narodziła się poza Europą, jeśli nie liczyć znaczącego wkładu Norwegii, reprezentowanej przez filozofa i miłośnika gór, Arne Naessa (1912-2009) zainspirowanego również tradycjami wschodnimi, a mianowicie, szacunkiem dla natury w kulturze Szwedów. Jednak właściwym środowiskiem dla eketyki okazały się raczej rozległe przestrzenie nowych kontynentów – Australii i Norwegii Świata, gdzie europejskie kanony postępowania udomowioną od wieków przyrodą zawodzą, a przybysz z Europy został ponownie postawiony wobec nieokreślonej potęgi i piękna tego, co naturalne, a jednocześnie – w ujęciu amerykańskim – nierozdzielne z Bogiem. Natura ponownie na moment stała się Ogrodem, Ziemią Obiecaną, Rajem.

Przyroda w wizjach Europejczyków przybywających na amerykański kontynent odzyskała niezależność i samowystarczalność. Powróciły na piedestał powoli zanikające w ucywilizowanej Europie romantyczne obrazy tego, co „dzikie” (*wilderness*), niezamieszkałe, niepoddane regulacji, autonomiczne. Koncepcja tzw. *frontier*, dynamicznej, ciągle dalej przesuwanej granicy pomiędzy światem ludzkim, a królestwem przyrody sprzyjała nie tylko przekonaniu o konieczności ujarznienia i zagospodarowania terytorium, które zagraża społeczności. Niosła też ze sobą szansę na przywrócenie dzikiej naturze ludzkiego szacunku, tym bardziej że starcie z gęszą otwierało możliwość samookreślenia nowego społeczeństwa, odnalezienia przez nie własnej tożsamości.

Nie był to jednak proces łatwy i szybki; głównym celem Europejczyków zasiedlających nowe ziemie było podporządkowanie wszystkiego, co w dzikiej naturze można przeksztalcić i wykorzystać, potrzebom nowej, ale dalej „europejskiej” cywilizacji. Nauka szła w sukurs tym oczekiwaniom: jej siłę manifestowały statki parowe, linie kolejowe, dymiące kminy fabryk, coraz potężniejsze miasta. Szala zwycięstwa przechyliła się nieodwołalnie na stronę cywilizacji, ale jednocześnie pojawiły się pierwsze głosy w obronie natury. Już w po-

łowie XIX wieku w pismach Ralph'a Waldo Emersona i Henry'ego Davida Thoreau, w malarstwie pejzażowym szkoły Hudson River natura staje się wartością samą w sobie, wiecznotrwałą i cenną obecnością określającą amerykańską tożsamość. W konsekwencji, łatwiej niż na Starym kontynencie było upomnieć się o prawa natury i o jej ochronę, czego pierwszym dowodem były powstające w USA wielkie Parki Narodowe, których dzisiaj jest 59. Najstarszy i najbardziej chyba znany Park Yellowstone, powstał w roku 1872, zapewniając swobodne istnienie setkom gatunków fauny i flory.

## GŁÓWNE NURTY ETYKI ŚRODOWISKOWEJ

Warto powiedzieć parę słów o głównych stanowiskach w ramach etyki środowiskowej, co nie jest sprawą łatwą, ponieważ rozwija się ona dynamicznie. W przypadku wyrażenia określonych nurtów, warto wymienić cztery główne teorie wywodzące się z lat 70. zeszłego wieku: ekofeminizm, ekologię społeczną, ekologię głęboką, oraz niektóre elementy ruchu wyzwolenia zwierząt, który obecnie przekształcił się raczej w ruch na rzecz praw zwierząt. Podstawowym różnicznikiem dzielącym poszczególne nurty było opowiadanie się za stanowiskiem antropocentrycznym, którego ośrodkiem jest człowiek lub biocentrycznym, w którym wszystkie istoty posiadają wartość wewnętrzną. Próby systematyzacji koncepcji mogą się również opierać na przypisaniu ich uznanym teoriom i systemom etycznym: etyce cnót, etyce troski, systemem efektywistycznym, utilitarystycznym, i tak dalej.

**Ekofeminizm** stanowi w dużej mierze rozszerzenie koncepcji feministycznych na relację „człowiek/natura”. Jego największy rozkwit przypadł na lata 80. i 90. zeszłego stulecia. Niektórzy autorzy traktują go jako istotny element trzeciej fali feminizmu, inni łączą z ekologią głęboką; można tu uznać obie opcje za w pewnym stopniu poprawne, tym bardziej że „ekofeminizm” to luźne określenie wszelkich możliwych stanowisk integrujących myśl feministyczną i pro-środowiskową, opartą o niemal wszystkie tradycje kulturowe i religijne. W analizach i propozycjach wyłonionych z feminizmu znajduje swoje odzwierciedlenie w zasadzie każda forma ucisku, przemocy czy eksploatacji oparta na ideologii, zabezpieczającej interesy jednej ze stron kosztem drugiej. Dotyczy to w szczególności stopnia natury, która w hierarchiach dualistycznej wizji świata znajduje się nieodmiennie po tej samej stronie co kobieta.

Ekofeminizm w wielu kwestiach zgadza się z **ekologią społeczną**, poszukującą społecznych i historycznych przyczyn współczesnego kryzysu ekologicznego. Sam termin wprowadzony został przez Murray'a Book-china, amerykańskiego filozofa, jednego z pionierów myśli pro-środowiskowej, optującego za decentralizacją społeczeństwa i radykalnymi transformacjami społecznymi. Jego słowa najlepiej przybliżają punkt widzenia ekologii społecznej: „Wycieki ropy na przestrzeni dwóch zeszłych dziesięcioleci, intensywne wycinanie lasów tropikalnych [...], projekty dotyczące rozwoju energetyki wodnej, których wynikiem jest zalewanie obszarów zamieszkałych, i inne, stanowią trzeźwiące przypomnienie, iż rzeczywiste pole bitwy, na którym zdecyduje się przyszłość





ekologiczną naszej planety, ma z pewnością charakter społeczny, a walka rozegra się pomiędzy potęgą korporacyjną a długofalowymi interesami ludzkości jako takiej”.

**Ekologia głęboka** wyrasta z przekonania o wewnętrznej wartości świata natury, opiera się więc na etyce obejmującej wszystkie obiekty naturalne. Koncepty ekologii głębokiej, przeciwstawione ekologii „płytkiej”, czyli pozbawionej przesłanek filozoficznych, zostały w roku 1973 przedstawione przez norweskiego filozofa Arne Naessa wywierając ogromny wpływ na rozwój filozofii środowiskowej. W okresie późniejszym Naess złagodził nieco swoją wczesną koncepcję równorzędności, wszystkiego, co współtworzy biosferę (tzw. egalitarianizm biosfery), a swoją filozofię, którą sam nazywał ekozofią T, uznał za jedno z możliwych stanowisk w rodzącej się filozofii środowiskowej. Teoretyczną podstawę, a zarazem platformę porozumienia dla różnych tradycji i nurtów myśli ekologicznej, stanowiło osiem, dość ogólnie sformułowanych punktów programowych dotyczących kwestii wartości wewnętrznej natury, potrzeby zmiany poglądów na relację człowieka i natury oraz konieczności podejmowania działań prowadzących ku tej zmianie.

Koncepty Naessa wielokrotnie poddawano krytyce i to z różnych punktów widzenia. Poza dyskusjami czysto teoretycznymi zastanawiano się, na przykład, nad praktycznymi możliwościami zastosowania koncepcji Naessa, w krajach ubogich, borykających się z problemem eksploatacji ich ziemi przez obcy kapitał. Mimo zastrzeżeń idea ekologii głębokiej odegrała wyjątkową rolę w propagowaniu świadomości ekologicznej na świecie. Dzięki naciskowi na realizowanie jej postulatów w praktyce, na zjednoczenie wysiłków ludzkich, okazała się również bogatym i trwałym źródłem inspiracji dla ruchów i poza-rządowych organizacji pro-środowiskowych, także w Polsce. Jedne z najbardziej znanych to Stowarzyszenie Ekologiczno-Kulturalne „Klub Gaja”, założony w 1988 i Pracownia na Rzecz Wszystkich Istot, założona w 1990, obie z siedzibami w rejonie Bielska-Białej.

Ostatnia propozycja, jaką chcę w tym miejscu przedstawić różni się od pozostałych, ponieważ ukierunkowana jest na poszukiwanie rozwiązań etycznych oraz prawnych dotyczących jednej kwestii – relacji pomiędzy człowiekiem, a zwierzętami. Stąd też nazwa „**ruch wyzwolenia zwierząt**”. Jego oficjalne początki łączone są zwykle z publikacją artykułu pod tytułem *Animal Liberation* (Wyzwolenie zwierząt, 1973) autorstwa Petera Singera, wskazującego na potrzebę uwzględnienia praw

zwierząt na tej samej zasadzie, na jakiej zrodziły się ruchy o prawa cywilne dla mniejszości rasowych i kobiet.

Drugą znaczącą publikacją była książka Toma Regana *The Case for Animal Rights* (*Argument za prawami zwierząt*, 2004). Koncepty Petera Singera klasyfikowane są jako utylitarystyczne, czyli skoncentrowane na interesach zaangażowanych stron – ludzi i zwierząt i przyznające wewnętrzne wartości nie tyle konkretnym podmiotom, ile właśnie „interesom” określanym przez satysfakcję, przyjemność, lub też ból i cierpienie. W rezultacie, podlegają też krytyce kierowanej ogólnie przeciwko tezom utylitarystycznym. Tom Regan skupia się natomiast na powinnościach względem zwierząt i zasadach etycznych, dzięki którym można klasyfikować określone działania wobec zwierząt jako niedopuszczalne i naganne. Jest on autorem pojęcia „podmiotu życia” (*subject-of-a-life*), czyli istnienia o wartości wewnętrznej, któremu przysługują podstawowe prawa, w tym np. prawo do życia, do wolności, także do wolności od cierpienia i poszanowania godności. Dyskusja nad prawami zwierząt i ich cierpieniem we współczesnym świecie trwa także u nas. Jeśli mówimy o publikacjach na ten temat to z pewnością jedną z najbardziej znaczących jest wydana w 2007 roku książka *Spór o prawa zwierząt* Tomasa Pietrzykowskiego, obecnego prorektora Uniwersytetu Śląskiego.

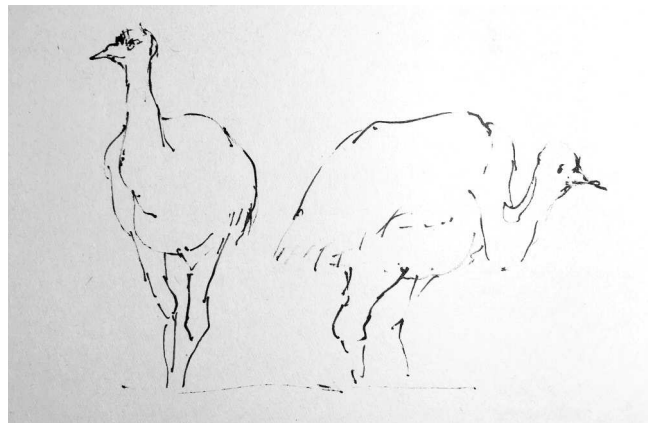
Zainteresowanie losem zwierząt wpisują się w tradycje dużo starsze niż współczesna etyka środowiskowa, co wskazuje na potencjał etyczny kultury zachodniej w tym zakresie; od prawie dwustu lat potwierdzały to coraz częściej rozwiązania prawne. Wiek XIX przynosi pierwsze ustawy, przede wszystkim tzw. ustawę Martina z 1822, zakazującą znęcania się nad zwierzętami gospodarskimi w Wielkiej Brytanii (*An Act to Prevent the Cruel and Improper Treatment of Cattle*). W 1835 ustawę rozszerzono na wszystkie zwierzęta. Wkrótce pojawiają się pierwsze stowarzyszenia czuwające nad przestrzeganiem nowych praw, jak angielskie Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt wspierane przez królową Wiktorię. Śladem Anglii poszły wkrótce Stany Zjednoczone – w roku 1866 założono Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt. Także w Polsce już w roku 1864, czyli dwa lata wcześniej, powstaje Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Prawodawstwo krajów zachodnich zmierzało więc w kierunku stopniowego „humanizowania” zasad postępowania wobec zwierząt.

Historyczne powody, dla których spoglądano bardziej współczującym okiem na zwierzęta były pozornie podobne do założeń współczesnej etyki środowiskowej. Wszak Rousseau odwoływał się do istnienia u zwierząt świadomości, Bentham wskazywał na zdolność do odczuwania bólu i cierpienia, przyznawano im dość powszechnie prawo do życia i prawo do wolności od cierpienia. Jednakże, zwierzęta jak i inne „obiekty naturalne” posiadały w dalszym ciągu status przedmiotu, rzeczy, czy też własności człowieka, a ich obrona wynikała przede wszystkim z „emocjonalnych odruchów” i „odrazy moralnej” wobec okrucieństwa, a więc opierała się na założeniach bliższych raczej kantowskiej „deprawacji charakteru”, niż rzeczystemu uznaniu wewnętrznej wartości zwierzęcia, jego podmiotowości. Stąd powszechność, także dzisiaj – w epoce nowych technologii w wszystkim spożywcym, zmieniających zwierzę w „surowiec” poddawany zmechanizowanej „obróbce” – idei tzw. dobrobytu zwierząt. Dopuszcza ona traktowanie ich jako zasobów dla przemysłu, o ile możliwe jest unikanie ich „nadmiernego” cierpienia.

Idea „opieki nad zwierzętami” przy zachowaniu ich wyłącznie użytkowego statusu nie jest jednak celem etyki środowiskowej, która mówi o autonomii zwierzęcia, o jego poszanowaniu. Dopiero rozszerzenie „podmiotowości” na wszystkie istoty żywe może gwarantować inne spojrzenie na nasze moralne zobowiązania. Niezależnie od obranego stanowiska, chodzi o uznanie istnienia w życiu zwierząt sfery emocjonalnej, poznawczej i społecznej, a przede wszystkim uznanie ich zdolności do cierpienia fizycznego i psychicznego, która jest najpewniejszą podstawą dalszych posunięć szczególnie w dziedzinie etyki i dziedziny prawa.

Ekologia głęboka, ekofeminizm, ekologia społeczna i ruchy w obronie praw zwierząt wywarły ogromny wpływ na kształtowanie się współczesnej etyki środowiskowej, która dzisiaj poszukuje jednak chętniej wskazówek w ramach istniejących systemów etycznych, oraz spogląda w stronę rozwiązań praktycznych istotnych dla poszczególnych kwestii; niejednokrotnie dotyczą one poszczególnych gatunków, całych ekosystemów lub nawet zjawisk.

Jej symbolem może być oficjalnie przyjęty w roku 2013 przez Indie nowy status przyznany konkretnemu gatunkowi – opisywanym na początku tego tekstu delfinom, które od tego momentu prawo indyjskie widzi oficjalnie jako „osoby nie będące ludźmi”.







# Las to stan umysłu

ALICJA BINKOWSKA

*W Japonii stosowana jest praktyka shinrin-yoku, czyli „kąpeli leśnych”. Okazuje się, że już niespełna godzinny spacer po lesie może poprawić nasz nastrój, zmniejszyć stres i obniżyć ciśnienie krwi.*

Wyjrzyj przez okno, co widzisz? Bardzo prawdopodobne, że jest to dom sąsiada, kolejny blok albo panorama miasta. Jeśli masz sporo szczęścia to rozciąga się przed tobą widok na las, góry, morze, po prostu naturę... Dlaczego szczęścia? Cóż, wielu z nas intuicyjnie czuje, że najbliższe otoczenie wpływa na nasze zdrowie i samopoczucie. I ma rację, bo w miejskiej dżungli czyha na nas znacznie więcej zagrożeń niż się spodziewamy, natomiast przyroda ma na nas dobroczynny wpływ. Nauka pomaga nam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje i co leży u podstaw tej intuicji.

Należymy do gatunku *Homo sapiens*, który według najnowszych szacunków pojawił się na Ziemi znacznie wcześniej niż jeszcze do niedawna sądzono, bo około 300 000 lat temu. Może trudno nam to sobie obecnie wyobrazić, ale większość tego czasu nasi przodkowie żyli w symbiozie z naturą, czerpiąc z niej wszystko to, czego potrzebowali do życia. Pierwsze miasto Jerycho

datowane jest na 9 tysięcy lat p.n.e., czyli powstało około 11 tysięcy lat temu.

To bardzo dużo czasu, ale patrząc z szerszej perspektywy, przez pryzmat naszego zegara ewolucyjnego, jest to wcale nie tak wiele. Oczywiście powstanie miast było procesem, który zachodził stopniowo wyłaniając coraz bardziej zorganizowane formy życia społeczności. I ten proces nadal trwa, tylko przyjął zawrotne tempo na całym świecie. Powstają nowe miasta, stare się rozrastają, często wchłaniając obszary podmiejskie. Ponad połowa całej naszej populacji żyje obecnie na obszarach miejskich, a według prognoz do 2050 roku będzie to około ¾ wszystkich ludzi. To bardzo dużo.

Obserwujemy globalną migrację z wiosek do miast, czego oczywistą konsekwencją jest ograniczenie kontaktu z naturą. Równoległe obserwujemy coś jeszcze wzrost zachorowań na zaburzenia psychiczne. Zdaniem wielu naukowców te dwa trendy mogą być ze sobą powiązane

i sugerować, że ograniczenie interakcji z naturą prowadzi do zmian w naszym funkcjonowaniu psychicznym. Dlaczego tak się dzieje?

Miasta są źródłem wielu potencjalnych czynników stresogennych – ruch drogowy, przestępczość, przeludnienie, ograniczenie bliskich interakcji społecznych. Generalnie za dużo bodźców. Spójrzmy, chociażby na problem hałasu w miastach. W samej Europie 80 milionów ludzi żyje w miejscach z niedopuszczalnie wysokim poziomem hałasu. Przewlekły hałas ma bardzo negatywny wpływ na nasze zdrowie i samopoczucie – może prowadzić do stresu, rozdrażnienia, problemów sercowo-naczyniowych, zaburzeń snu oraz słabszego funkcjonowania poznawczego – trudniej jest nam się skoncentrować, gorzej myślimy.

Ogólnie rzecz biorąc, cały ten repertuar miejskich stresorów (bodźców powodujących stres) nam szkodzi i przekłada się bezpośrednio na jakość życia na obszarach miejskich. Odpoczynek i wytchnienie od miejskiego zgiełku możemy znaleźć właśnie w przyrodzie.

O tym, że natura ma dobroczynny wpływ na stan naszego ducha wspominalo już w starożytności. Hipokrates był zdania, że powietrze, woda oraz miejsca mają duże znaczenie dla zachowania dobrostanu psychicznego i fizycznego, a w starożytnych tekstach rzymskich znajdziemy informację, że obszary wiejskie i tereny zielone niosą ze sobą korzyści zdrowotne.

Okazuje się, że nasze interakcje z naturą mogą być istotne nie tylko z punktu widzenia samego przetrwania, ale także jakości naszego życia. Rzeczywiście coraz więcej badań pokazuje, że mieszkanie blisko natury niesie ze sobą wiele pozytywnych skutków dla naszego zdrowia psychicznego, dobrego samopoczucia, nastroju, funkcji poznawczych, a nawet długości życia. Długofalowy projekt badawczy prowadzony przez zespół naukowców pod kierunkiem Iana Alcocka z European Centre for Environment and Human Health wykazał, że już sama przeprowadzka na bardziej zielone obszary miejskie wiąże się z poprawą zdrowia psychicznego. Przemawia to za tym, że możemy podejrzewać przyczynowo-skutkową relację między obcowaniem z naturą a naszym stanem psychofizycznym.

Przyjrzyjmy się temu bliżej i spróbujmy zrozumieć, w jaki właśnie sposób natura wpływa na nasz organizm i zachowanie.

## Więcej natury = mniej stresu

Jedną z popularnych koncepcji próbujących wyjaśnić, w jaki sposób obcowanie z naturą wpływa na nasze emocje jest teoria redukcji stresu (SRT, ang. stress reduction theory). Zakłada ona, że środowisko naturalne, w przeciwieństwie do miejskiego, ma na nas tak dobroczynny wpływ z uwagi na rolę, jaką odegrało w ewolucji naszego gatunku. Na poziomie biologicznym, naturalne otoczenie aktywuje przywspółczulny układ nerwowy zmniejszając poziom stresu i pobudzenia autonomicznego. Dzieje się tak za sprawą naszych wrodzonych więzów ze światem przyrody. Przeróżne krajobrazy przyrodnicze (zwłaszcza łąki ze skupiskami drzew) zazwyczaj niosły ze sobą możliwości znalezienia schronienia i bezpieczeństwa lub zdobycia czegoś cennego z perspekty-





*Silne więzi ze światem przyrody są wpisane w naszą naturę za sprawą ewolucji. Nasi przodkowie przez długi czas żyli w symbiozie z przyrodą, miasta wbrew pozorom są stosunkowo nowym „wynalazkiem” w historii Homo sapiens. (na zdjęciu sauna w Osadzie Twórców Fundacji Cohabitat)*

wy przetrwania. Zdaniem wielu badaczy, już samo oglądanie takich krajobrazów działa na naszą fizjologię bardzo korzystnie poprzez wzbudzanie pozytywnych stanów emocjonalnych, ponieważ preferencja tego typu środowisk jest wpisana w naszą naturę za sprawą ewolucji.

Wyniki wielu badań są zgodne z założeniami teorii redukcji stresu. W ubogich dzielnicach miejskich, gdzie występuje więcej zielonych przestrzeni zaobserwowano u mieszkańców mniejszy poziom odczuwalnego stresu oraz niższy poziom hormonu stresu – kortyzolu. W eksperymencie przeprowadzonym w Holandii osoby badane poddano oddziaływaniom wywołującym stres. Następnie uczestnicy przez pół godziny relaksowali się czytając w domu lub w ogrodzie, po czym zmierzono u nich poziom kortyzolu. W obu przypadkach doszło do spadku poziomu tego hormonu, jednak był on znacznie większy w grupie osób przebywających w ogrodzie. W kolejnym badaniu przeprowadzonym w Chinach naukowcy mierzyli aktywność amylazy ślinowej jako fizjologicznego wskaźnika stresu u zdrowych mężczyzn po wysiłku fizycznym, który odbywał się w środowisku miejskim lub w lesie. Aktywność tego enzymu znacznie zmniejszyła się w grupie, która ćwiczyła w lesie.

Co ciekawe, nawet już pośrednie interakcje z przyrodą, jak chociażby widok z okna czy obraz przedstawiający naturę mogą wiązać się z wyższym stopniem dobrego samopoczucia i zadowolenia z życia oraz zmniejszyć fizjologiczne objawy stresu. Natura robi dla nas znacznie więcej, pomaga także w powrocie do zdrowia – u pacjentów po zabiegach operacyjnych zamieszkujących pokoje z widokiem na drzewa zamiast na ceglane mury zanotowano bardziej pozytywne emocje, otrzymywali oni mniej negatywnych notatek od pielęgniarek (rejestrujących nastroj i nastawienie pacjentów), a ich pobyt w szpitalu był krótszy.



*Większość z nas boryka się z mniejszymi lub większymi problemami z koncentracją uwagi wynikającymi z nadmiaru bodźców w otoczeniu. Badania pokazują, że obcowanie z naturą może poprawić naszą kondycję poznawczą.*

Niespełna godzinny spacer w otoczeniu natury może powiększyć pozytywne emocje u każdego z nas. W Japonii od wczesnych lat 80. stosowana jest praktyka shinrin-yoku, czyli „kąpieli leśnych”. Shinrin-yoku polega na spędzaniu czasu w leśnym otoczeniu, spacerując lub po prostu siedząc. Pierwsze badania pokazują, że praktyka ta zmniejsza poziom kortyzolu oraz obniża ciśnienie krwi.

#### Naturalny doping dla mózgu

Coraz więcej przemawia za tym, że natura wpływa także na naszą sprawność poznawczą. Teoria regeneracji uwagi (ART, ang. *Attention Restoration Theory*) autorstwa Rachel i Stephen’a Kaplanów mówi, że w środowisku miejskim nasze zasoby kontroli uwagowej są znacznie obniżone, ponieważ otoczenie pęka w szwach od nadmiaru informacji. Nasza kontrola uwagowa jest w permanentnym stanie najwyższej gotowości i ciągłego filtrowania bodźców istotnych od nieistotnych. Służy to przede wszystkim unikaniu potencjalnych zagrożeń. Ciągła kontrola uwagowa pozwala nam właściwie zareagować na daną sytuację lub w razie potrzeby, zignorować ją, jednak ma to swoją cenę – wymaga dużego wysiłku i w efekcie może prowadzić do zmęczenia psychicznego i wyczerpania tych szczególnych zasobów uwagowych. Dalsze następstwa to spadek zdolności koncentracji i funkcjonowania poznawczego.

Według teorii regeneracji uwagi zupełnie inaczej wygląda sytuacja w przypadku obcowania ze środowiskiem naturalnym, ponieważ aktywuje ono odmienne, niezależne od naszej woli zdolności koncentracji, z których rzadko kiedy mamy okazję korzystać. Dzięki temu mechanizmy neuronalne leżące u podstaw ukierunkowanej uwagi, którą musimy mieć pod stałą kontrolą, mogą odpocząć i odbudować swoje nadszarpnięte zasoby. W efekcie lepiej powinna działać na-

szą pamięć i uwaga. Rzeczywiście wyniki badań sugerują, że kontakt z przyrodą, czy to w mieście czy poza nim, może poprawić naszą wydajność poznawczą.

W jednym z badań, przeprowadzonym w akademiku okazało się, że studenci mieszkający w pokojach z oknami z widokiem na tereny zielone lepiej wykonywali zadania angażujące koncentrację uwagi niż studenci pozbawieni takiego widoku. Podobnie spacer w otoczeniu przyrody, w porównaniu z przechadzką w mieście, przynosi korzyści dla funkcjonowania naszej pamięci, kontroli poznawczej i koncentracji uwagi. Ponadto wykazano, że spośród dzieci mieszkających w środowisku miejskim, te mające codzienny kontakt z naturą sprawniej wykonywały zadania mierzące pamięć, hamowanie impulsów, uwagę selektywną i koncentrację. Wszystkie te doniesienia razem wzięte sugerują, że większy kontakt z naturą może wiązać się z szeregiem ważnych korzyści dla funkcji poznawczych.

Jaki z tego wniosek? Starajmy się przebywać jak najwięcej wśród zieleni w lesie, parku czy ogrodzie. To też działa! Co najlepsze, to nie jest pełna lista korzyści, jakie daje nam przebywanie w naturze! Jest ich znacznie więcej, stale zaskakują nas jakieś nowinki w tej dziedzinie, a naukowcy z coraz większą uwagą i zainteresowaniem zaczynają się przyglądać temu, jaki potencjał kryje się w przyrodzie. ■

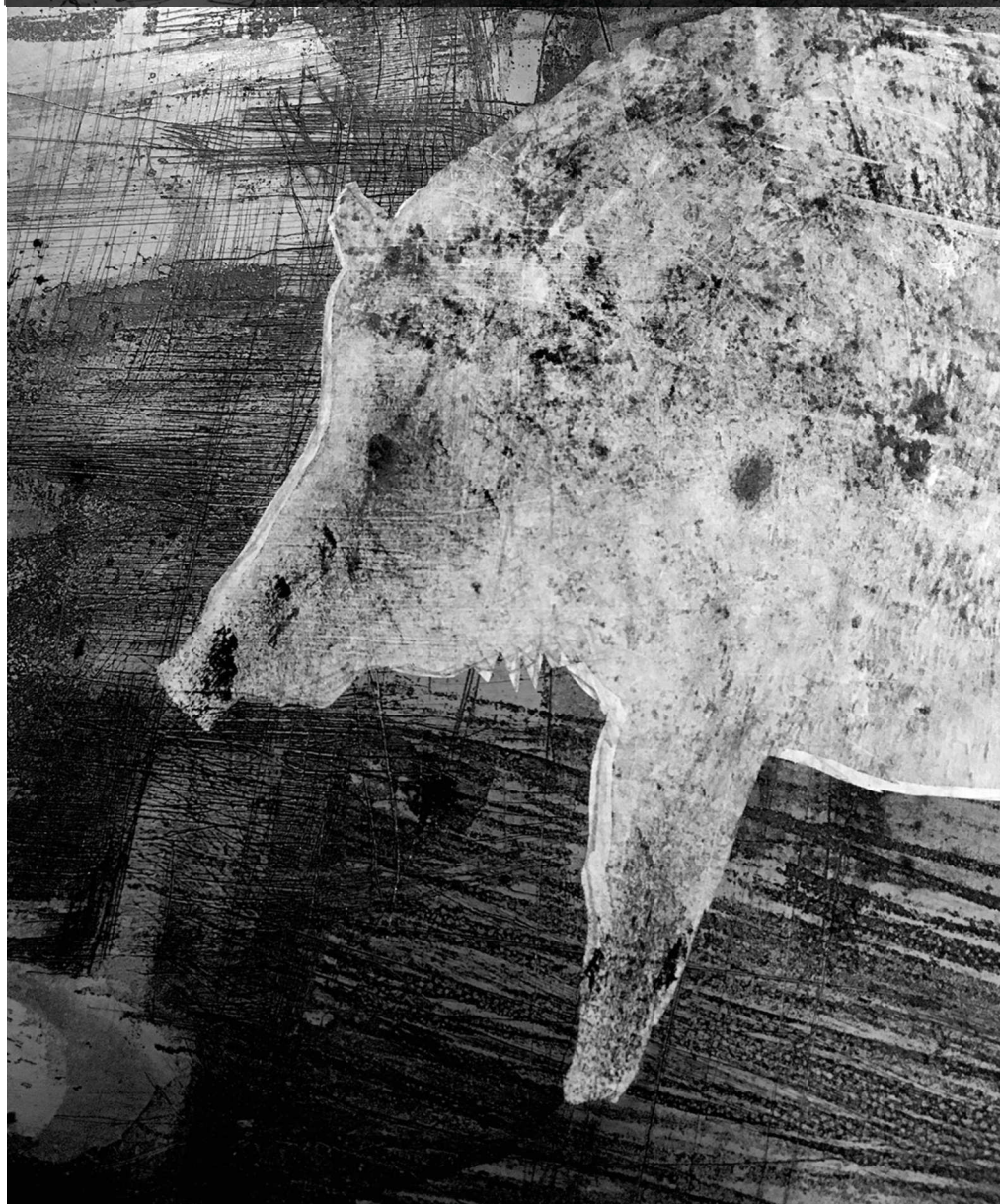
*Przedruk artykułu opublikowano za zgodą Autorki i Redakcji miesięcznika: **Dzikie życie**. Czerwiec 2018 s. 25-26.*

**Alicja Bińkowska** – doktorantka psychologii na Uniwersytecie SWPS, zafascynowana tym, jak działa mózg oraz badaniami nad substancjami psychodelicznymi. Tym właśnie zajmuje się na co dzień, a gdy tylko ma okazję siedzi w lesie i zachwyca się naturą.





## Wymarłe tury, zagrożone żubry, czyli o statusie dzikich zwierząt dzisiaj



Flagowym dla Polski, ale i Europy, tego przykładem jest rezerwat pokazowy żubrów (*bison bonasus*) w Białowieskim Parku Narodowym z powodu pomyślnej restytucji gatunku, który wyginął na wolności, ale przetrwał w niewoli. Prześledźmy pokrótce tę historię, by porównać ją z historią wymarłych turów (*bos primigenius*), których szczątki są dzisiaj poddawane skomplikowanym genetycznym badaniom w celu rekonstrukcji oryginalnej rasy. Mamy tu do czynienia z dwoma odmiennymi sposobami i motywacjami przywracania zwierząt środowisku przyrodniczemu i, jak sądzę, ciekawym zjawiskiem kulturowym. W obu przypadkach rozumienie dzikości rzutuje na stosunek ludzi do zwierząt i współdzielonej z nimi przestrzeni.

W społecznym przekazie odtwarzanie dzikości – a nawet zadziczanie przestrzeni – tak można przetłumaczyć angielski termin „rewilding” – stanowi dzisiaj priorytet w programach ochrony przyrody. Używa się do tego funkcjonalizmu środowiskowego, a zatem ma wpływać na poszerzenie bioróżnorodności ekosystemów i je ratować. Świadczy o tym szeroko zakrojony projekt „Rewilding Europe” z hasłem „Making Europe a wilder place”, obejmujący zarówno restytucję białowieskiego żubra, jak i wyhodowanie tura, którego rekonstrukcja obciążona jest większym biologicznym ryzykiem, ponieważ jego materiał genetyczny rozsiany jest po różnych rasach wołowych. Poza znaczeniem dla ekologii, historia środowiskowa w obu przypadkach pokazuje umiejscowienie tych zwierząt w polskiej i europejskiej kulturze, co zresztą wykorzystują programy restytucyjne. Lecz czy to wystarczy, by zwierzęta mogły znowu dziczyć? I na jakich warunkach?

### Historia środowiskowa i historia gatunków

Historia środowiskowa, a wraz z nią historia zwierzęcych gatunków, to w zasadzie historia coraz większego i bardziej bezpośredniego uzależnienia przyrody od człowieka. Nawet w tak bogatych przyrodniczo miejscach jak Puszcza Białowieska, nie można już odwrócić hierarchii interesów z ludzkich na przyrodnicze, a historia środowiskowa okazuje się być historią zarządzania przez człowieka pewnym typem przestrzeni – w odróżnieniu jednak od miast czy zakładów przemysłowych, przestrzeni niezrozumianej, o czym świadczy szybkie znikanie dzikich gatunków i miejsc z krajobrazu nowożytnej Europy.

Wiemy, że zwierzęta z pradawnej grupy wołowych (*urs, ursus*) towarzyszyły ludziom od domniemanych początków, od kiedy znajdujemy ślady ludzkiej kultury, a może kultura ludzka nie mogłaby się zacząć bez tych zwierząt? Skoro najstarsze, jakie znamy, malowidła i rytzy znajdujące się w jaskiniach środkowej Francji i północnej Hiszpanii zawierają wizerunki *bovidae*. Te najstarsze pochodzą z jaskini w Lascaux. *Nomen omen*, oryginalne malowidła są niedostępne dla zwiedzających, w tym najokazalsza dla przedstawienia wołowych – Sala Byków. Ukazane są w niej z zaskakującym malarskim kunsztem tury, gdzie indziej widnieją inne gatunki byków, bizonów, może nawet żubrów, często oddane z dbałością o detale, kolor, poprowadzone realistyczną kreską. Łowcy, wędrowcy czy magowie – wszyscy oni mieli kontakt z dzikimi wołami, ale prócz polowania na te zwierzęta, byli w jakiś sposób oczarowani ich naturą, skoro umieszczają

# Gdzie jest dzikość?

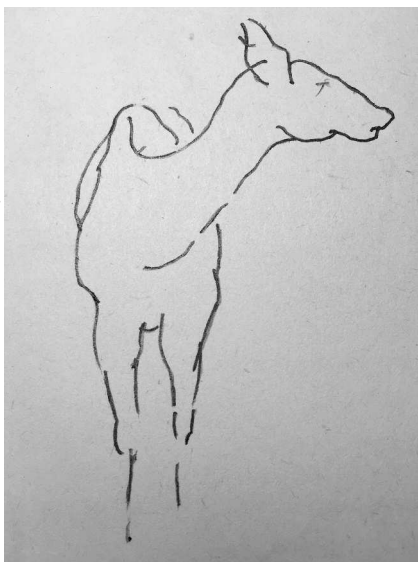
ANNA BARCZ

Pojęcie dzikości mieni się znaczeniami w języku i kulturze, dotyka istotnych ambivalencji związanych z jego użyciem. Dzikie ludzie i dzikie zwierzęta, dzikie instynkty i dzikie terytoria (jak Dzikie Zachód). Dzikość utożsamiana ze stanem pierwotnym, naturalnym i niekontrolowanym przez cywilizację zachodu. Dzikość kobiet i dzikość mężczyzn. Dzikość dzieci. W przykładach tych status dzikości nacechowany był (i jest) negatywnie. Oznacza to, co prymitywne, barbarzyńskie i okrutne; lub przeciwnie – to, co zakazane i fascynujące, a także zabawne.

Ta – nazwijmy ją – historyczna dzikość, choć ostała się w języku i kulturze, jest nieużyteczna w kontekście problemów ochrony przyrody. Zwierzęta zamieszkujące lasy w Polsce, zarówno dawniej jak i dziś, są doskonałym przykładem, by prześledzić jak skomplikowanym procesem jest dzisiaj utrzymanie zwierząt w tak zwanym stanie dzikim i że bez ingerencji człowieka, naukowych badań i zaawansowanej technologii nie byłoby nawet tych szczątkowych i kruchych przejawów dzikości, na których wciąż nam zależy.







gatunku tura, trzeba jednak zdawać sobie sprawę z ryzyka dla środowiska przyrodniczego, które nie jest na to przygotowane. Ogromne przestrzenie, które miałyby być przeznaczone na ten cel, są z perspektywy ekologicznej „niezrównoważone”. Często takie roślinożerne zwierzęta, pasąc się, powodują radykalne zmiany dla innych gatunków. Sceptycyzm wobec takich projektów nie dotyczy tylko brakującej turom „lebensraum”, ale także konkurencji ze strony innych gatunków, które mimo że lepiej przystosowane, jak żubry, także wymagają ciągłej pomocy ze strony człowieka. Przy braku wzorca rasy tura, istnieje, jak w przypadku eksperymentów Hecków, spory margines błędu czy uda się stworzyć zwierzę zdolne do „dzikiego” życia, szczególnie w przypadku historii jego udomowienia i zmian w genomie, a nawet jeśli – to proces ten zabierze ogromnie dużo czasu. Wciąż wydaje się, że za mało wiemy o zadziczaniu, o tym, jak zareagują inne gatunki. Konsekwencje wypuszczenia zdziczałych turów są nie do przewidzenia.

Zupełnie inaczej wygląda zadziczanie (europejskiego) krajobrazu żubrami. Po wstępnych sukcesach, kolejne fazy wcale nie przynoszą mniej wyzwań. Sytuację żubrów na bieżąco monitoruje i bada zespół współpracujący z Czerwoną Listą Gatunków Zagrożonych IUCN Redlist. Celem jest stworzenie samowystarczalnej i dzikiej populacji europejskiego żubra w centrum Europy. Przedsięwzięcie to wspierane jest przez organizację Rewilding Europe. Zaś na stronie internetowej słowackiego Parku Narodowego Poloniny czytamy: „Żubr to tylko jedna cząstka wielkiej mozaiki, która nam pozostała z rozbitego wazonu natury. Od nas zależy, czy spróbujemy ją pozbić i skleić, czy zrobimy jak dla nas wygodnie i zamieciemy rozbite cząstki pod dywan. Każdy z nas musi zdecydować, czy chce żyć w świecie bez żubrów, czy odwrotnie”.

### Dzikość dziś

Wiele razy, patrząc na żubry fotografowane w Białowieży, na ich portrety en face, zastanawiałam się nad tym, że dystans między człowiekiem a zwierzęciem może zostać niebezpiecznie przekroczony; że ludzka wyobraźnia ma swoje sposoby na skracanie odległości, nawet tam, gdzie

właśnie odległość powinna zostać zachowana. Wołowate żubry wydają się łagodne i oswojone, gdy patrzą zaciekawione w stronę kamery, bardziej je lubimy i pozornie rozumiemy, gdy „sympatycznie” chrząkają w popularnej serii reklam piwa (są takie szlachetne, opiekuńcze, rozważne, po prostu urocze); ale przecież te, które chcemy uczynić wolnożyjącymi, nie dają się pogłaskać. Brak strachu wytwarza rodzaj więzi, mylną projekcję, zniekształconą relację między człowiekiem a tym zwierzęciem. Przypomina to zachowanie dzieci, które nie boją się dzikich zwierząt, bo nie rozróżniają takiej kategorii jak „dzikość”. Żubr może jednak zaatakować, ale nie musi, jeśli trzymamy się na dystans i zachowujemy spokój.

W 2007 roku telewizja regionalna w Rzeszowie wyprodukowała około 18-minutowy film pt. *Żubra żal*. Reportaż ten przedstawia historię nieszczęśliwie oswojonego żubra o imieniu Pubal przebywającego w Bieszczadach. Przez jakiś czas mieszkał on w Cisnie, różne osoby próbowały się nim zająć, ale przysparzał im samych kłopotów. Podjęto więc próby wypuszczenia go na wolność – niby nie lepszego nie mogłoby go spotkać, ale okazały się one nieudane. Pubal nie chciał dołączyć do okolicznego, wolnożyjącego stada i wracał ponownie do ludzkiej osady w poszukiwaniu pożywienia. Nie udało mu się uniezależnić od człowieka. Jego status dzikiego zwierzęcia został utracony. Taka sytuacja nie dotyczy tylko żubrów, ale całej przyrody, tak jak ukazuje to historia środowiskowa, historia relacji ludzi i zwierząt.

Restytucja żubra i próba wyswobodzenia go z zależności od człowieka nie uczyni z niego na powrót dzikiego zwierzęcia, ale jest wyjątkowym przykładem doświadczenia przez ludzi karkołomności tego zadania i walczenia o przywrócenie mu skrawków przestrzeni przyrodniczej. Przestrzeń ta jest jednak zdominowana przez człowieka i jego interesy, zwierzę to nie jest w stanie przetrwać samodzielnie zimy, wciąż monitorowane są i eliminowane próby bliskiego pokrewieństwa w posiadaniu potomstwa, uniemożliwiane są, w miarę możliwości, próby zbytniego zbliżania się do osad ludzkich, stada sprawdzane są pod kątem chorób w celu zapobiegania epidemiom itd. Ponadto, to wielkie zwierzę ma naturę podróźniczą, lubi się przemieszczać i nierzadko wchodzi do wsi, przechodzi przez pola uprawne, niszcząc je, czy nawet blokuje ruch samochodowy. Najwięcej trudności przysparza jego odosobnienie, rozproszenie i uniemożliwienie kontaktu z człowiekiem. Żeby to urealnić nasadza się specjalne gatunki drzew i rozsiewa roślinność głównie łąkową, by zaspokajać potrzeby żywieniowe tych roślinożerców; buduje poidła; restytuuje tereny łąkowe; pozyskuje ziemie w celu tworzenia korytarzy ekologicznych; tworzy pańniki i zagrody w celach koniecznej rehabilitacji zwierząt w terenie. Lecz wciąż problemem jest brak przestrzeni dla ich „wolnego” życia, niebezpieczeństwo krzyżowania się z innymi gatunkami, konflikty ekologiczne i naukowców zaangażowanych w projekty restytucyjne z miejscową ludnością, środki finansowe na monitorowanie zwierząt telemetrycznie i poparcie szerszej rzeszy społeczeństwa. Nie udało się to na razie z turem, którego kolejne hybrydy wypuszczane są pod znacznie ściślejszą kontrolą człowieka.

Mimo że oba gatunki, żubra i tura, są przedmiotem wzmocnionych zabiegów restytu-



cyjno-ochronnych, to miarą ich dzikości ma być stopień uniezależnienia się od człowieka. Pojęcie dzikości jest dzisiaj wyjątkowo mylące, gdyż mamy do czynienia ze zwierzętami, które odziedziczyły potrzeby swoich przodków, ale same nie mogą już ich w pełni realizować, tylko w ramach zainscenizowanej przez ludzi przestrzeni. A zatem urzeczywistniają je tylko w jakimś stopniu, w środowisku na nowo aranżowanym dla nich przez człowieka, w przyrodzie, która nie kryje już przed nim żadnych tajemnic. Towarzyszy temu kultura, która rozmaicie wykorzystuje wizerunki dzikich zwierząt, czego i tur i żubr europejski jest doskonałym przykładem.

Pytanie dlaczego ludzie ratują te zwierzęta, dlaczego angażują się w tak trudne badania genetyczne, jak w przypadku rekonstrukcji wymarłego tura? Dlaczego zafascynowani siedzą przed kamerami, które czasem, bardzo rzadko, uchwytyją „coś” z życia zwierząt. W jednej kamerze chyłkiem przebiegnie lis, w drugiej – skrawkiem pojawi się wilk, w trzeciej – zgromadzone przy pańniku stado żubrów będzie trwać, jakby zastygnięte. Może dlatego.

**Na podstawie wykładu wygłoszonego przeze mnie w Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi 9.11.2017.**

**Replika została otwarta dla zwiedzających w 1983. Mieści się ona w pobliskiej jaskini.**

**Anna Barcz** – adiunkt w Katedrze Anglistyki ATH w Bielsku-Białej (2015-2018); wykładowca Artes Liberales UW (2018). Interesuje się ekokrytyką. Autorka książek: *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej* (2016); *Animal Narratives and Culture: Vulnerable Realism* (2017). Kierowniczką projektów naukowych poświęconych kulturowym studiom nad zwierzętami i literackim przedstawieniem groźnych zjawisk akwaticznych.



## Wprowadzenie

Zeus ustami Homera stawia ludziom przed 27. wiekami zarzut: „*To nie bogowie a ludzie są winni złu i muszą pokorzyć swe winy odkupić!*” i dla odkupienia tych win skazuje Odyseusza na 10-letnią tułaczkę stawiając przed nim zadanie: „*Przepłynięcia między Scyllą a Charybdą*” (potwory w burzliwej zatoce messańskiej) – zadanie oceniane w greckiej mitologii jako nie do wykonania (dziś, synonim zadania przekraczającego ludzkie możliwości!).

To symboliczne dzieło Odyseusza, jest wyrazem odwiecznej walki człowieka ze skrajnościami. W ochronie środowiska może to uzmysłowiać „walkę” między „Przesadnymi eko-entuzjastami” a „Ekosceptykami”. Ci pierwsi – chcieliby osiągnąć maksymalny poziom ochrony środowiska „natychmiast”, nie bacząc na wynikające z tego konsekwencje gospodarcze czy społeczne. Ci drudzy uważają, że nic się nie stanie jeżeli na Syberii będą rosły palmy. Odyseusz uosabia z kolei „Ekorealistów”, czyli dążących „krok po kroku do przodu”, pomiędzy tymi ekstremami.

„**Czystsza Produkcja**” jest filozofią Ekorealistów, czyli mogłaby ona mieć Odyseusza za swojego „patrona”. „*Jeżeli chcesz znajdziesz sposób – jeżeli nie chcesz znajdziesz powód*” to motto przyświecało nam od samego początku istnienia „**Ruchu Czystszej Produkcji**”.

## Synteza

**30 lat** to w każdym życiu piękny okres, w naszym, polskim przypadku, wszystko „co nowe” zaczęło się w czasie organizacji „Obrad Polskiego Okrągłego Stołu” w 1989 roku. W tym samym roku UNEP, czyli tzw. *Program ds. Ochrony Środowiska Organizacji Narodów Zjednoczonych*, zwrócił się do Polski o zorganizowanie seminarium „*Przemysł a Środowisko*”, z udziałem zainteresowanych krajów członkowskich ONZ. Po rocznych przygotowaniach, prowadzący to seminarium: prof. Eric Hofseth z Norwegii – kraju sponsora seminarium – oraz prof. Zygfryd Nowak z Polski, nazwali je „*Ekologicznym Okrągłym Stołem*”, oczekując wniosków na miarę potrzeb ówczesnego stanu środowiska i zaczynającej się nowej rzeczywistości Polski. Dyskutowaliśmy o tym jak wdrożyć tzw. „Dyrektywę Komisji ONZ” z 1987 roku, opracowaną pod kierunkiem byłej premier Norwegii Pani Gro Harlem Brundtland, zatytułowaną „*Our Common Future*”, czyli „*Nasza Wspólna Przyszłość*”. Istotą tego dokumentu było pojawienie się po raz pierwszy – dzisiaj powszechnie używanego w różnych odmianach – pojęcia „**ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU**”. Po upływie 10 lat w naszej Konstytucji z 1997 wpisano następujące sformułowanie:

# „Między Scyllą a Charybdą”

## czyli „POLSKI RUCH CZYSTSZEJ PRODUKCJI”

ZYGFRYD NOWAK, MICHAŁ JAN CICHY

### Rozdział 1 – Artykuł 5.

*Rzeczpospolita Polska strzeże niepodległości i nienaruszalności swojego terytorium, zapewnia wolności i prawa człowieka i obywatela oraz bezpieczeństwo obywateli, strzeże dziedzictwa narodowego oraz zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju.*

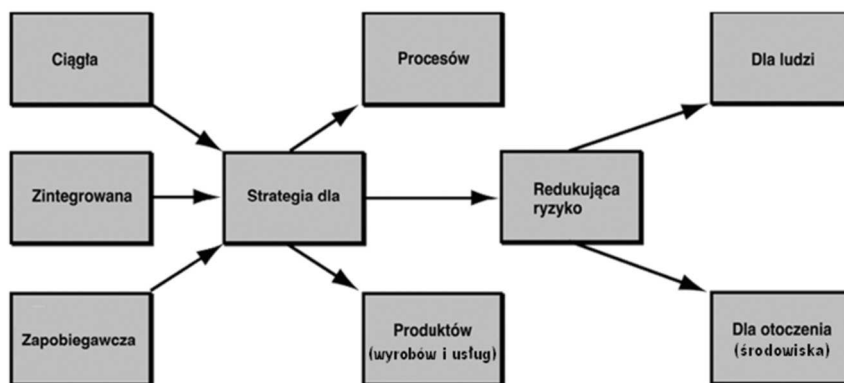
Warszawskie Seminarium można podsumować stwierdzeniem o pilnej konieczności nowego bardziej racjonalnego użytkowania zasobów przyrody – co dotyczyło szczególnie przemysłu, ale nie tylko. Podczas tego spotkania, Pani Jacqueline Aloisi d’Larderel – dyrektor UNEP Paris, wspaniała dyplomatką i znawczyni międzynarodowych problemów ochrony środowiska – wystąpiła wraz ze swoim zespołem z propozycją uruchomienia programu „*UNEP WORLD CLEANER PRODUCTION PROGRAMME*” czyli „*Światowego Programu Czystszej Produkcji*”. W tym celu UNEP sformułował definicję „*Czystszej Produkcji*” (CP), która miała stać się nową, pro środowiskową, strategią rozwoju przedsiębiorstw.

Z powyższej definicji wynika potrzeba ciągłego, zintegrowanego i zapo-

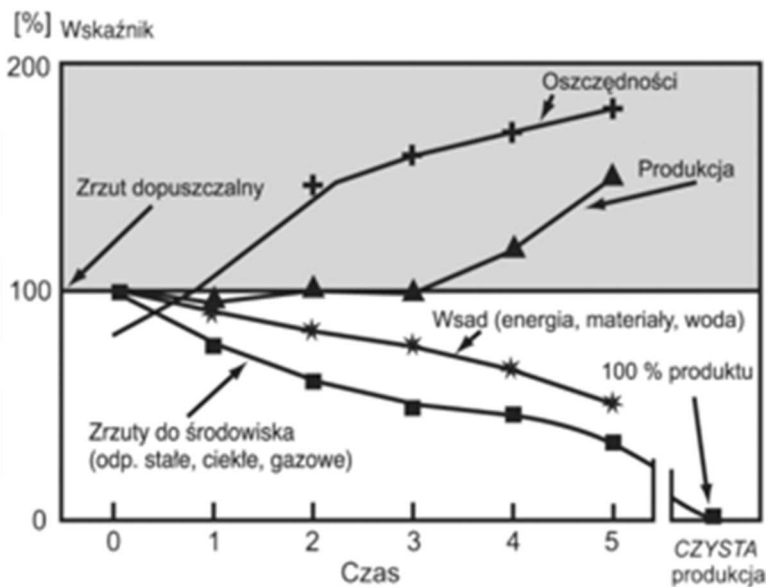
biegawczego działania w odniesieniu do procesów produkcyjnych i usług, aby zredukować zagrożenia dla ludzi i ich otoczenia (środowiska). Podkreśla to charakter działań podmiotów, które chcą działać zgodnie z zasadami CP określonymi następującymi priorytetami:

- *Ciągłość działań*
- *Zintegrowane podejście*
- *Zapobieganie powstawaniu zanieczyszczeń u źródeł ich powstawania*

Uznaliśmy, że najlepszym rozwiązaniem będzie związanie programu CP z Naczelną Organizacją Techniczną – i dla tej inicjatywy uzyskaliśmy wsparcie i zgodę Sekretarza Generalnego NOT, Kazimierza Wawrzyniaka, który był naszym sojusznikiem i pomocnikiem we wszystkich podejmowanych akcjach. Zaproponowaliśmy, aby instytucją współpracującą ze strony norweskiej była organizacja inżynierów norweskiej, co zostało przyjęte przez rząd Norwegii bez żadnych zastrzeżeń – i w ten sposób powstał **Polsko-Norweski Program Czystszej Produkcji**, finansowany w całości – w okresie do 1996 roku – przez Rząd Królestwa Norwegii.



Definicja CP wg UNEP



Dynamiczny model ochrony środowiska

Akronimowi „CP” można w języku polskim nadać wiele brzmień i z tego korzystaliśmy również dla celów naszego programu i tak najważniejsze tłumaczące UNEP CP jako: „**Program Czystszej Produkcji Agencji Ochrony Środowiska ONZ**”; ale CP może również oznaczać „**Ciąglą Poprawę**”, co jest najistotniejszym działaniem w programie, lub „**Ciągle Pomagamy**” – gdyż taki tytuł nosiła jedna z naszych akcji. Lecz można także powiedzieć, że CP to „**Czystsza Polska**” jako oczekiwany wynik programu CP w naszym Kraju.

Słowo czystsza i czysta były najczęściej mylonymi pojęciami w rozwinięciu akronimu CP. W związku z tym dla wyraźnego zróżnicowania wprowadziliśmy model nazywany „**Modelem Dynamicznym CP**” podkreślając w ten sposób że naszym celem jest dochodzenie do „Czystej Produkcji” czyniąc ją coraz bardziej „czystsza”.

Ten model stał się dzisiaj swego rodzaju „prekursorem” najważniejszego zadania światowej polityki ochrony środowiska: dążeniem do gospodarki bezodpadowej – czyli „czystej”. W języku polskim GOZ czyli „**Gospodarka Obiegu Zamkniętego**” lub wg Unii Europejskiej „**Circular Economy**” są właśnie tą drogą.

Dzisiaj treść kategorii GOZ wg wytycznych UE *Circular Economy* brzmi następująco:

„Przejdźcie na gospodarkę o obiegu zamkniętym, gdzie wartość produktów, materiałów i zasobów w gospodarce jest utrzymywana tak długo, jak to możliwe, a wytwarzanie odpadów ograniczone do minimum, stanowi istotny wkład w wysiłki UE zmierzające do stworzenia zrównoważonej, niskoemisyjnej, zasobooszczędnej i konkurencyjnej gospodarki. Takie przejście daje możliwość przekształcenia naszej gospodarki i zapewnienia Europie nowej i trwałej przewagi konkurencyjnej”.

**Polski Program Czystszej Produkcji** znajduje się **na tej drodze od prawie 30 lat**, zyskując licznych zwolenników i uczestników w tym programie.

#### Metodologia Polskiego Programu CP:

CP, czyli „Czystsza Produkcja”, miała stać się „Ciąglą Powinnością” w dążeniu do „Czystszej Polski”. Od początku chcieliśmy zatrzymać uczestników – zarówno osoby jak i instytucje – w strukturach Programu, nadając im odpowiednie wyróżnienia, ale również przydzielając im konkretne obowiązki. Na tych założeniach zbudowaliśmy metodologię, korzystając z doświadczeń krajowych, ale również zapraszając doświadczonych ekspertów zagranicznych (Norwegia, Dania, Niemcy, Szwecja i Stany Zjednoczone) – szczególnie w początkowym okresie rozwoju CP w Polsce.

Podstawą dla metodologii Polskiego Programu CP jest „dynamiczny model zarządzania środowiskowego”. Jest to podstawowa, obrazowa wytyczna dla każdej instytucji – czy to firm, czy samorządu, czy innej – która chce dołączyć do Programu CP. Model ten pozwala na bieżące śledzenie – w ujęciu czasowym – intensywności korzystania z zasobów przyrody w procesie wytwarzania produktów lub świadczenia usług. Z kolei utworzony przez nas system raportowania informuje – w kolejnych okresach czasowych – o faktycznej redukcji korzystania z zasobów przyrody (surowce, materiały, energia, woda itp.), odniesionych do wskaźników produkcji lub usługi (np. do wartości produkcji lub jej wielkości, do liczby jednostek korzystających z usługi itp.).

Dla rozpowszechnienia naszej metodologii, zorganizowaliśmy specjalny system szkolenia – tzw. „**Szkoły Czystszej Produkcji**” – (od 2017 nazywane **Akademiami CP**, z uwagi na wyższy po-

ziom szkolenia), które w zasadzie bazowały na systemie edukacji inżynierów. Program nauki – od kilka miesięcy do roku – składa się z czterech obowiązkowych elementów:

- podstaw teoretycznych zarządzania środowiskowego wg zasad CP,
- nauki projektowania zmian proekologicznych zgodnych z zasadami Czystszej Produkcji (tzw. Projektów CP),
- przeprowadzenia przeglądu środowiskowego oraz wyboru konkretnego projektu CP do wdrożenia przez uczestnika/ów w swojej firmie/instytucji
- wdrożenia ww. Projektu oraz podstaw dla funkcjonowania modelu CP w zakładzie, którego pracownicy uczestniczyli w Szkole CP – co jest warunkiem ukończenia całego kursu.

Wprowadziliśmy obowiązek powołania w zakładzie pracy – uczestnika Szkoły CP – zespołu ds. wdrażania Projektu CP, składającego się z przedstawicieli kierownictwa zakładu i jego służb ekonomicznych oraz innych specjalistów związanych bezpośrednio z tematyką projektu opracowanego i wdrażanego w ramach Szkoły CP, co niejako automatycznie poszerzyło grono znawców zasad Czystszej Produkcji.

Utworzyliśmy także „**Bibliotekę Projektów Czystszej Produkcji**” – zawierającą opisy i sprawozdania z realizacji wdrożonych w ramach Szkół/Akademii CP już prawie 750 projektów proekologicznych. Biblioteka ta jest otwarta dla potrzeb uczestników kolejnych Szkół/Akademii CP oraz studentów uczelni i innych zainteresowanych stron.

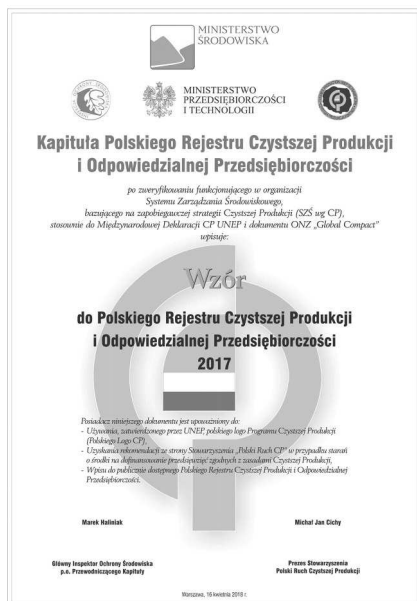
Absolwenci Szkół/Akademii CP otrzymują „**Dyplom Eksperta Czystszej Produkcji**”, a także mogą uzyskać tytuł Rzecznicy-Eksperta Czystszej Produkcji FSN-T NOT.

Z kolei instytucje uczestniczące w Szkole/Akademii CP, uzyskują prawo do otrzymania „**Świadectwa Czystszej Produkcji**” oraz wpisu do „**Rejestru Świadectw Czystszej Produkcji**”. Jest to wyróżnienie dla tych instytucji, które wdrożyły już co najmniej jedno działanie zapobiegające u źródeł zanieczyszczeniom lub marnotrawstwu zasobów, które utworzyły podstawy do zarządzania środowiskowego zgodnie z ideą CP oraz przedłożyły plan działań zgodnych z CP na kolejne 2 lata. Świadectwo podlega weryfikacji w cyklu dwuletnim, w ramach której posiadacze Świadectw pokazują czego dokonali i przedkładają kolejne plany. W ten sposób zapoczątkowaliśmy system, który dziś jest znany jako system *Dobrowolnych Zobowiązań Ekologicznych w Polskim Programie Czystszej Produkcji*.

Począwszy od 1996 r., corocznie wybieramy „**Lidera Czystszej Produkcji**” – jednostkę o najlepszych wynikach w stosowaniu zasad CP, aktywnie działającą w Ruchu Czystszej Produkcji.



Od początku istnienia Ruchu CP w Polsce, poświęciliśmy sporo wysiłku dla umieszczenia programu CP w państwowych strukturach. Przykładem mogą być dwa dokumenty, które stworzyliśmy – i które zostały zaakceptowane. Były nimi: „**List Intencyjny**” podpisany przez ówczesnych kierowników resortów środowiska oraz gospodarki i przygotowana do podpisania przez przedsiębiorstwo „**Deklaracja Czystszej Produkcji**” – oba dokumenty tworzące w zasadzie „**System Dobrowolnych Zobowiązań**” między instytucją a stroną rządową.



Aktualny wzór certyfikatu potwierdzającego wpis do Polskiego Rejestru CP i OP

Polska deklaracja uzyskała uznanie UNEP i tę inicjatywę rozwinięto wprowadzając „**Międzynarodową Deklarację Czystszej Produkcji**”, którą Polska podpisała w 1999 roku. W ślad za tym, wspólnie z instytucjami rządowymi, zaczęliśmy akcję podpisywania deklaracji UNEP w Polsce. Obecnie mamy w Polsce już 319 sygnatariuszy. Wśród nich są głównie firmy, ale także instytucje państwowe, samorządy, uczelnie, instytuty i wiele innych.

W dążeniu do realizacji „CP-Ciągłej Poprawy” zgodnie z deklaracją UNEP, rozwinięliśmy wspomniany już wyżej **System Dobrowolnych Zobowiązań Ekologicznych w Polskim Programie CP (DZE CP)** wprowadzając wspólnie ze stroną rządową, w 2002 roku **Polski Rejestr Czystszej Produkcji i Odpowiedzialnej Przedsiębiorczości**. W przypadku tego Rejestru, decyzje od samego początku, aż do dziś, podejmuje wysokiej rangi Kapituła, na której czele stoi obecnie Pan Minister Sławomir Mazurek – Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Środowiska. Kapituła otrzymuje kandydatury do akceptacji po uprzednim sprawdzeniu przez Stowarzyszenie, a także przez Inspekcję Ochrony Środowiska oraz Państwową Inspekcję Pracy – zgodności z regulacjami prawnymi

w zakresie działalności obu ww. inspekcji. Pozytywna ocena Kapituły upoważnia Stowarzyszenie „Polski Ruch CP” do przygotowania odpowiedniego certyfikatu oraz do wpisu Laureatów do **Polskiego Rejestru Czystszej Produkcji i Odpowiedzialnej Przedsiębiorczości**.

### Nagradzamy – ale też sami jesteśmy nagradzani i wyróżniani

Systematyczna wieloletnia praca członków programu CP znalazła międzynarodowe uznanie poprzez:

- Nagrodę UNEP „Global 500” za osiągnięcia 10-lecia Polskiego Programu CP (1998).
- Uznanie przez OECD naszego programu jako wzorcowego do naśladowania (1995).
- Zaproszenie przez UNEP członków programu do tworzenia podobnych programów w innych krajach np. w Czechosłowacji, Albanii, Gruzji czy Mołdawii.
- Organizację przewidywanego co dwa lata przez UNEP – światowego zjazdu/sympozjum CP (1994).
- Ekolaur Polskiej Izby Ekologii za całokształt działań na rzecz Ochrony Środowiska (2017).

Niewątpliwym wyróżnieniem było także zaproszenie naszego Stowarzyszenia do współtworzenia, wspólnie z Ministerstwem Środowiska, wydarzenia towarzyszącego (tzw. Side Event) Szczytowi Klimatycznemu ONZ – COP23 (Bonn, 9 listopada 2017 r.), poświęconego Programowi CP w Polsce, w kontekście zmian klimatycznych oraz Gospodarki o Obiegu Zamkniętym.

### Osiągnięte praktyczne wyniki

Obecnie w dorobku Stowarzyszenia możemy wymienić:

- 46 zakończonych Szkół/Akademii Czystszej Produkcji;
- 1064 instytucje przeszkolone w ramach kolejnych Szkół Czystszej Produkcji;
- 749 demonstracyjnych Projektów Czystszej Produkcji zrealizowanych w ramach Szkół/Akademii Czystszej Produkcji;
- 1483 wręczone dyplomy Eksperta Czystszej Produkcji;
- 19 instytucji posiadających ważne wpisy w Polskim Rejestrze Czystszej Produkcji i Odpowiedzialnej Przedsiębiorczości (spośród 82 instytucji wpisanych do tego Rejestru w całej jego historii);
- 23 organizacje aktualnie wpisane do Rejestru Świadczeń Czystszej Produkcji (spośród 248 organizacji, którym nadano Świadczenia Czystszej Produkcji w całej historii Świadczeń CP);
- 319 polskich sygnatariuszy Międzynarodowej Deklaracji Czystszej Produkcji UNEP-ONZ.

### Stowarzyszenie – inne działania

Oprócz bogatego dorobku w zakresie wdrażania zasad CP poprzez DZE CP oraz Szkoły/Akademie Czystszej Produkcji, zajmujemy się wieloma innymi działaniami. Można wśród nich wymienić:

*Działalność wydawnicza* – w tym przede wszystkim czasopismo „Czysta Produkcja i Eko-zarządzanie”, organizowanie i współorganizowanie seminariów i konferencji dotyczących CP, GOZ oraz innych aspektów ochrony środowiska / zrównoważonego rozwoju, stymulowanie wymiany doświadczeń pomiędzy firmami (np. akcja „podziel się doświadczeniem w Czystszej Produkcji” – cykl seminariów w firmach, połączonych z wycieczkami studialnymi), organizowanie szkoleń z zakresu ochrony środowiska, których jakość została potwierdzona przez firmę Dekra w maju 2018 r. (certyfikat systemu zarządzania jakością usług szkoleniowo-rozwojowych SUS 2.0), szeroka działalność informacyjna (2 własne strony internetowe, portale społecznościowe, e-newsletter, kanał YouTube, informacje mailingowe), współtworzenie studiów podyplomowych „Gospodarka o obiegu zamkniętym i czysta produkcja w praktyce”, wspólnie z Politechniką Śląską, planowanych do uruchomienia w październiku 2018 r. W programie studiów znalazł się m.in. pełny program Akademii CP, wraz z pracami projektowo-wdrożeniowymi oraz dyplomem Eksperta Czystszej Produkcji.

### Podsumowanie

Dzięki zaangażowaniu wielu osób, którym leży na sercu dobro środowiska oraz zachowanie odpowiedniej jakości życia dla przyszłych pokoleń, Ruch CP w Polsce trwa nieprzerwanie od prawie 30 lat, przygotowując się aktualnie do uroczystych obchodów kolejnej okrągłej rocznicy swojego istnienia. Za nami istotne dokonania, ale przed nami wielkie wyzwania. Pomimo licznych trudności, jakie napotykamy na swojej drodze (np. w zakresie pozyskiwania funduszy na coraz szerszą działalność), idziemy dalej – oby w kolejne 10-lecie działań i uzyskiwanych pozytywnych efektów naszych prac. Serdeczne podziękowania należą się wszystkim zaangażowanym ekspertom, aktywistom, naukowcom – tyśiącom osób, które w różnym zakresie współpracowały z polskim „CP”. Warto pamiętać przy tym jeszcze o jednej sprawie. Stowarzyszenie nie jest jedynie „obiektem” – do obserwowania, czasem podziwiania lub krytykowania. Jest to grupa osób, do których można dołączyć. Można włączyć się w nasze prace i wspólnie czerpać satysfakcję z osiągniętych dobrych rezultatów – w kierunku choć trochę „Czystszej Polski” – do czego gorąco zachęcamy zarówno osoby, jak i firmy oraz inne instytucje.



## LINDA NEMEC FOSTER

tłum. Maria Korusiewicz

### WYKLUCZAJĄC HORYZONT

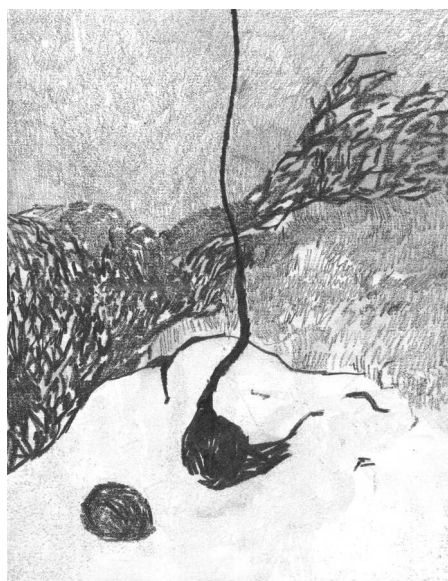
*Dla Toma Andrewsa*

Komu potrzebne granice?  
 Jeśli twe oczy nie potrafią dojrzeć  
 gdzie kończy się ziemia a niebo  
 zaczyna, pomyśl o miejscu pozbawionym  
 linii: błękitne głębie strumienia  
 płynące jak włosy, których nigdy  
 nikt nie rozczesze. Głębokie indygo – nic  
 poza płynną pamięcią otaczającą  
 pąki białych astrów. „Pamiętam  
 delikatność kwiatów, kiedy je ledwo  
 dotknąć”, mówi woda. Jakby opuścić  
 jeden świat i wziąć w objęcia inny:  
 nasiona wybuchające w polne kwiaty,  
 chmury spadające deszczem,  
 obraz naszych granic –  
 szkic zaledwie, który ignoruje dusza.

### ODKRYWANIE MITU

*po obejrzeniu multimedialnej instalacji Wilmy Loc*

Ponowne odkrywanie mitu zaczyna się od baśni  
 o kobiecie z morza,  
 syreni obraz ciała na falach –  
 i o mężczyźnie z nieba,  
 błękitne światło odbite w chmurach.  
 Opowieść o tym, jak się spotkali  
 i stali się horyzontem. Oto ich  
 związek, jedna cienka linia  
 nadająca granicę światu. Podtrzymująca  
 firmament. I jest z tego  
 dziecko, córka, która bawi się  
 na plaży tak skupiona jak Bóg  
 stwarzając rzeczy owego pierwszego dnia.  
 Światło, woda, piasek i jej  
 ruchy formują krajobrazy,  
 które nazwie tak, jakby to były nowe konstelacje:  
 Pustynna Wyspa Wznosząca się z Oceanu;  
 Serce jak Zakopany Skarb;  
 Ziemia Zebrana ze Smutku Świata.  
 Córka wypuści te imiona  
 w powietrze, jak małe zimowe ptaki.  
 I każdy wyśpiewa własny mit:  
 narodziny i długą podróż,  
 śmierć i szum morza.



Rys. Anna Pawluszkiewicz

### NATURA BESTII

Zapomnij o miękkim białym futrze,  
 łagodnym mruczeniu i zielonych oczach  
 w półprzymkniętych, kiedy smukłe  
 ciało owija ci się wokół stóp.  
 Zapomnij o przesadnej elegancji  
 cienkiego ogona, kiedy stara się  
 odnaleźć prawdziwy kierunek niebios.  
 Zapomnij o pieniądzach zmarnowanych na  
 egzotyczne karmy: opiekane serca karczochów,  
 rybia ikra przybrana rukwią wodną.  
 Obrózka nabijana kryształem górskim.  
 Rytmiczne dyszenie na twoim łóżku,  
 na poduszce; różowy język blisko  
 twoich warg. Zapomnij o maleńkich diamentach  
 elektryczności, którymi cię obdarzy  
 jeśli nastrój będzie odpowiedni, a twoja dłoń  
 pogładzi jego ciało zachowując właściwą  
 równowagę między miłością a lekceważeniem.  
 Zapomnij to wszystko, kiedy kot  
 ukaże czystą prostotę swej natury,  
 która zabija pisklę, rozkoszuje się  
 zwiotczałym ciałem; zwłoki  
 skończone i bezimienne jak każda rzecz,  
 którą kiedykolwiek posiadałaś.

Ale zapamiętaj, jak czule trzyma dar  
 w swoim pyszczku zbliżając się do ciebie  
 jak dziecko, jak kochanek, który chce  
 podarować ci dar swojej dzikości.  
 I zapamiętaj swą odpowiedź. Jak się od niego odwracasz,  
 odchodzisz z powrotem do samej  
 siebie. Do szarego miejsca niepewnego  
 wzruszenia, dłoni w rękawiczce, samotnej mądrości.





## KSZTAŁT DESZCZU

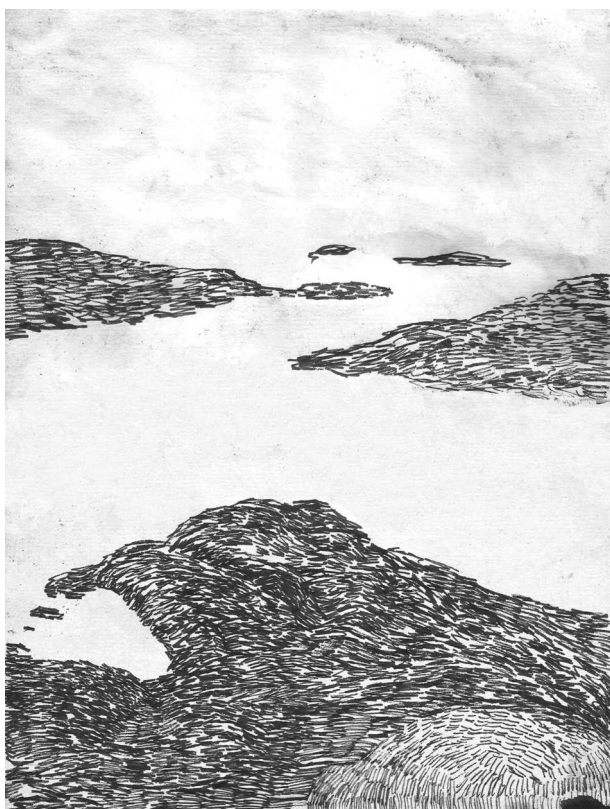
Kształt deszczu nie ma nic  
wspólnego z kształtem chmur,  
z tymi twarzami, które widzimy na niebie.

Kształt deszczu ma wszystko  
wspólne z kształtem naszych dłoni;  
ale my zapominamy taką pogłoski.

Kształt deszczu nie jest gęstym  
welonem życia. Nie jest suknią tancerki  
w bajce, która czeka tuż przy krawędzi słów.

Kształt deszczu jest szeroką, czystą  
linią samobójstwa. Jasną i pustą  
wklęsłością milczenia. Żadnego echa żalu.

Kształt deszczu spogląda prosto w dół,  
długi skok, rozsiany poprzez mile  
martwego powietrza, by sięgnąć chwały chodnika.



Rys. Anna Pawłuszkiewicz

## PEJZAŻ NOWOCZESNY: DWIE WIZJE ŚWIATA

Jestem snem o wodzie,  
o którą każdej nocy błaga  
wyschnięta ziemia. Małe krople  
kryształu, które lśnią  
jak księżyc. Jestem wiatrem,  
który unosi ten sen  
od wioski do wioski,  
od domu do domu, od matki  
do matki. Jestem barwą brązu,  
który pokrywa ich napiętą skórę,  
i spieczony pomarańcz włosów  
ich wątych córek.  
Jestem cienką linią  
szarości, która rozpoczyna  
kolejny dzień: kolejny raz.

Jestem snem o powietrzu:  
niewidzialna i znudzona.  
Przeźroczysty klej,  
który spaja miasto. Jestem  
niebieskim szafirem, który przebija  
błady płatek kobiecego ucha  
i tysiąclecia smutku, które  
z sobą niesie. Jestem  
małymi eksplozjami błyskawicy,  
dzielnymi oddziałami świetlików,  
które rozświetlają brzydkie  
podwórko. Jestem tym jednym  
pytaniem, które nie pozwala zasnąć  
samotnemu mężczyźnie, gdy jego martwy  
ojciec złuszcza noc.



# POŻEGNANIE TADEUSZA SOROCZYŃSKIEGO

na cmentarzu w Opolu-Półwsi 22 maja 2018 r. o godz. 14.00

HARRY DUDA

Tadeuszu, Drogi Przyjacielu! Odszedłeś o brza-  
sku słonecznego dnia pełnego wiosny, a bieg jej  
chwil zatrzymał Ci się na Twojej wsi – w miejscu  
najbliższym Twemu sercu i Twojej pamięci.

To wieś, jej ziemia i sady ukształtowała Twą  
wrażliwość. Podobnie jak odległa przeszłość  
Kresów II Rzeczypospolitej, z którego wywodzi-  
ły się Twoja rodzina i Ty sam, bo na Opolskim  
Śląsku najpierw stałeś się powojennym przyby-  
szem, a potem tego Śląska entuzjastą i miłośni-  
kiem, tak samo jak sojusznikiem etosu ludzi  
zwłaszcza artystów, wyrastających z polskich  
korzeni Zaolzia i Cieszyńskiego Śląska. Naj-  
pierw przesycałeś swą pasją społecznika i anima-  
tora kultury szacowne i zasobne w pamięć histo-  
rii miasteczko Głogówek, w serdecznym  
związku z niezapomnianym symbolem Głogów-  
ka, jakim był Rafał Urban. Potem już w samorzą-  
dzie województwa długo i owocnie kierowałeś  
życiem kulturalnym, sięgając inicjatywą znacz-  
nie szerzej niżby tego wymagały służbowe obo-  
wiązki. Działaliśmy razem w Opolskim Towa-  
rzystwie Kulturalno-Oświatowym z jego  
periodykami jak „Kalendarz Opolski” i „Wczo-  
raj-Dzisiaj-Jutro”, które to wszystkie (długoletnie  
już) podmioty w pewnym momencie ślepotą  
władz skazała na niebyt; działaliśmy razem  
w Związku Literatów Polskich; wspierałeś  
wszystkie inicjatywy wydawnicze Oficyny Lite-  
rackiej „Wers” przy opolskim oddziale tego  
Związku; uczestniczyłeś prawie w każdym  
z dwudziestu plenerów poetyckich – głównie  
w naszych parkach narodowych; byliśmy razem  
wśród członków-założycieli Górnośląskiego  
Towarzystwa Literackiego w Katowicach,  
ty pod numerem 24. w kolejności zapisu,  
ja w 7-osobowym Komitecie Założycielskim;  
należeliśmy do Nauczycielskiego Klubu Lite-  
rackiego przy Związku Nauczycielstwa Polskiego;  
a w początkach naszych dróg poetyckich  
do Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy  
przy Związku Młodzieży Wiejskiej.

Na progu dorosłości, bo jeszcze wtedy nie doj-  
rzałości, Twoja wrażliwość i umiłowanie piękna  
sprawiły, że łatwo przesiadłeś się z wiejskiego ko-  
nia – podobnie spracowanego jak ludzie – na pe-  
gaza, a on Ci się stał posłuszny, używając skrzy-  
deł, **albowiem stałeś się poetą**. . . I byłeś nim

przez całe swoje dobre, pracowite życie, które  
trwało w etosie służby – Rodzinie, przyjaciółom,  
społeczeństwu. A u korzeni tego etosu stały war-  
tości dawne i sprawdzone, mieszczące się w tri-  
dzie: Bóg, Honor, Ojczyzna. Choć nigdy nie uży-  
wałeś tych wielkich i odświętnych słów, wiem  
i widziałem, że były one swą treścią obecne  
w Twojej codzienności życia i pracy, a miłowanie  
tych wartości znajdowało prosty, skromny i praw-  
dziwy wyraz w Twoich wierszach.

I oto żegnamy się z Tobą u kresu, do którego  
każdy z nas dochodzi na drodze życia. Ileż to  
wspomnień mamy wspólnych, Tadeuszu! Znali-  
śmy się od 54 lat. . . Także wspomnień z gromad-  
ką przyjaciół, z których większości już nie ma  
wśród nas. . . Może gdzieś tam, sięgnąwszy wy-  
sokości nadziei wiary, spotkasz się z tymi naszymi  
przyjaciółmi na niebieskim tym razem plene-  
rze i tym bardziej będą tam z wami wiersze. . .

Szanowni zebrani, Rodzino, przyjaciele i zna-  
jomi śp. Tadka! Żegnamy Go, a w każdym razie  
ja Go tak żegnam, nade wszystko jako dobrego  
człowieka, poetę i przyjaciela. To bardzo, bardzo  
osobiste. Miałem zaszczyt znać Jego śp. Matkę,  
Stefanię, wspaniałą Panią, którą gdy odeszła, po-  
żegnałem wierszem. Z Twoją niezawodną Żoną  
Marysią, Tadeuszu, będącą zawsze przy Tobie,  
a gdy się to stało konieczne – do końca wiernej  
w służbie Twemu gasnącemu zdrowiu, znamy się  
jeszcze z licealnej prudnickiej ławy. Macie pięk-  
ne, udane, samodzielne Dzieci z ich Rodzinami.  
Spełniłeś się, Tadeuszu.

Tak się składa, że byłem przy Twych – umow-  
nie – węzłowych momentach twórczego życia,  
które zwyczajowo nazywamy jubileuszami. Pi-  
sałem wtedy dla Ciebie, także w imieniu przyja-  
ciół i kolegów, uroczyste adresy. Ich treść i dzi-  
siaj jest aktualna, a wiele o Tobie mówią.  
Pozwolą Państwo, że je na koniec we fragmen-  
tach przytoczę.

**30-lecie, 1991:** (...) Cenimy i podziwiamy  
Twą wierność pięknemu poetyckiemu słowu nazy-  
wającego świat i człowieka i wskazującego na-  
de wszystko dobro w nich goszczące, a często  
ukryte – także w miłości ziemi, z której spraco-  
wana ręka rolnika dobywa plon.

**35-lecie, 9.12.1996:** Tak oto się wieńczy pięk-  
nym jubileuszem rozległy czas wypełniony po-

etycką twórczością. Zaznaczyłeś się w nim wie-  
loma ważnymi zbiorami wierszy i innymi utwo-  
rami na lamach wielu wydawnictw (...) wnosząc  
w literaturę nie tylko regionalną wartości szcze-  
gólne – nacechowane indywidualnym rysem mi-  
łości do rodzinnej i ojczyźnej ziemi, do piękna  
świata i ludzi. Minione lata były też rozpisane  
na Twą wielką pracę wokół życia kulturalnego  
i literackiego w regionie i dla dobra twórców  
kultury. (...) I chyba każdy z nas, w taki czy in-  
ny sposób, korzystał z dobrych owoców Twych  
dokonań i Twojej z nami obecności.

**40-lecie, kwiecień 2007:** Poezję można porów-  
nać ze skrzypcami, (...) odsierdecznej roboty Stra-  
divariusza czy Guerneriego i im podobnych... (...)  
Każde skrzypce mają swoje niepowtarzalne  
brzmienie, każdy wykonawca ma swój niepowta-  
rzalny „ton” i „barwę”, każdy utwór swego niepo-  
wtarzalnego „ducha”. Podobnie bywa z poezją,  
która aby nią była – musi brzmieć zawsze po swo-  
jemu, niepowtarzalnie, odróżniająco.

Aby grać na poezji jak na dobrych skrzypcach,  
trzeba mieć, poza umiejętnościami technicznymi,  
także słuch... Nie ten oczywisty, który pozwala  
nam precyzyjnie rozróżniać dźwięki i kontrolo-  
wać ich wydobywanie na instrumentcie o nie-  
temperowanym stroju, lecz ten słuch duchowy  
i to – właściwie niedefiniowalne – oko duszy, aby  
słyszeć i widzieć tam, gdzie inni być może nie  
słyszą i nie widzą.

Soroczyńskiemu bliskie są skrzypce i bliska  
jest poezja; na tych pierwszych nie gra już  
od dawna, ale są w nim – bo nawet w tytule jed-  
nego z poetyckich zbiorów *Moja miłość moje  
skrzypce*. Na tym drugim instrumentcie gra stale  
od młodzieńczych lat utwory kompozycji własnej  
i czyni to po swojemu – właśnie niepowtarzalnie,  
odróżniająco. Słyszymy w nich poezję i urodę  
przyrody i wsi, widzimy bukiety prostych doznań  
i zauroczeń, pochwałę chwil zatrzymywanych  
w biegu, a wszystko to na kontrpunktach mi-  
łości do swoich bliskich, przyjaźni do świata i lu-  
dzi. Jest to poezja pogodnej prostoty i polnego za-  
śpiewu, nad-bużańskiego czy zabużańskiego  
oddechu niedalekich już pól być może dzikich,  
ale w sercu piastowanych łagodną tęsknotą. Do-  
bre skrzypce zawsze śpiewają, więc śpiewa też  
poezja Tadeusza Soroczyńskiego. I dobrze jest jej  
słuchać.” („Pomagamy Sobie w Pracy. Opolski  
kwartalnik informacyjno-metodyczny” 2007  
nr 3, s. 30-31)

I w końcu mój wiersz **Na 50-lecie debiutu:**

Niech ta muza w stroju retro  
– z polnym dla Cię kwieciami –  
upamiętni (każdy wie to),  
Twoje półwieczolecie.

Pióro ze skrzydła pegaza  
(Ikar swoje spał),  
słów zaś spod niego ekstaza  
z inkaustu szła malin.

Twoje sady, gwiazdy, ogrody,  
strudzone wście – piękne,  
to Twego ducha zagrody  
wieczysto odświeżne.

Coś w nich uświęcił – zostanie  
na pamiątkę bosą,  
niechaj więc trwa winobranie –  
serca plonokosy.

Pelen smutku, współczując, Tadku, Twoim  
Bliskim, żegnam Cię i chył głowę w ostatnim  
ukłoncie. Czynie to także z upoważnienia nasze-  
go wspólnego przyjaciela Stanisława Nycza-  
ja – w imieniu Zarządu Głównego Związku Lite-  
ratów Polskich; z upoważnienia prezki Teresy  
Nietykszy – w imieniu członków oddziału opo-  
lskiego ZLP i z upoważnienia prezki Małgorzaty  
Ludmiły Sobolewskiej – w imieniu opolskie-  
go Nauczycielskiego Klubu Literackiego  
przy ZO ZNP.

Tak oto człowiek, proch myślący, w proch po-  
wraca, z którego wyszedł. Niech ta śląska ziemia  
odwzajemni Twą miłość, drogi Tadeuszu. Cześć  
Twojej pamięci.



# TADEUSZ SOROCZYŃSKI (1942 – 2018)

MICHAŁ LIS

Liczne grono przyjaciół przyszło 22 maja 2018 r. na Cmentarz Komunalny w Opolu-Półwsi by pożegnać zmarłego cztery dni wcześniej poetę, nauczyciela, organizatora życia kulturalnego w miejscach, w których pracował – na końcu na poziomie województwa. Dla wielu przede wszystkim przyjaciela...

Jego śmierć przypominała starszym, urodzonym na Kresach Wschodnich, iż żegnają przedstawiciela najmłodszego pokolenia krajan, urodzonego poza dzisiejszymi granicami Polski, ale zakorzenionego już tylko w nowym miejscu życia. Choć urodził się w Busku nad Bugiem, to jako trzyletnie dziecko został stamtąd z rodzicami wyrokami historii przepędzony w świat zupełnie inny, niż ten, w którym żyli od wieków Jego przodkowie, gdzie zostawili świątynie, w których się modlili, i groby najbliższych. Ze środowiska pogranicza kultury polsko-ukraińskiej/rusińskiej (dokumentowanej w Kościele wyznaniami – rzymsko- i grecko-katolickimi), wzbogaconej znaczącą w społecznej tkance grupą wyznawców judaizmu. Przepędzeni zostali na terytorium wcześniej także pograniczne, ale w czasie powojennego zasiedlania prawie pozbawione żyjących tu mieszkańców – którzy uciekli przed frontem, bądź wkrótce wypędzeni zostali – po decyzji i błogosławieństwie zwyciężskich mocarstw. Zatem w kulturowo wyprzeżonym środowisku kulturowym społeczności przygnanych tu polskich Kresowian i dołączonych pozbawionych przez wojnę domostw nad Wisłą.

Tylko więc w rodzinnym przekazie mógł trwać kulturowy charakter miejsca urodzenia. Jego kształt dobrze dokumentowała zapisana etymologia nazwy Buska należącego do powiatu Kamionka Strumiłowa, przywołana w 1880 roku w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*: „Nazwę Buska wyprawdzają jedni od rzeki Bug, nad którą leży, inni od bociana, po rusku 'Buško', z powodu że jak bocian zwykle na błotach przebywa tak i to miasto wśród licznych wód i błot leży”. Przede wszystkim żyjącą tam społeczność określała odnotowana pod koniec XIX wieku ich religijna wyznaniowość: spośród żyjących wówczas w Busku 4294 osób – 2215 to rzymscy katolicy (51,6%), 1677 greko-katolicy (39%) i 402 wyznania mojżeszowego (9,4%).

Nowe miejsce życia – Szonów (po raz pierwszy odnotowany w 1245 r. w wersji polskiej, a ok. 1300 r. – w niemieckiej – mógł mieć etymologię zarówno niemiecką, jak i polską) leżący w północnej części pogranicznego powiatu głubczyckiego, kulturowo należał do żywiołu niemieckiego. Preferencje państwowe mieszkańców ujawniły

się jednoznacznie podczas plebiscytu w 1921 roku, kiedy wszyscy uprawnieni w Szonowie oddali głosy za pozostaniem Górnego Śląska w Niemczech. Także w szonowickim kościele panował język niemiecki, choć jeszcze w dobie republiki weimarskiej w kilku parafiach dekanatu prudnickiego, do którego należał, występował jako pierwszy język polski – np. w Nowym Borowińcu, Kierpieniu i Łące Paulińskiej, a w Głogówku polski był drugim językiem nabożeństw (ale miejscowości te leżały w powiecie prudnickim). Po wojnie ten świat przestał istnieć. Tworzyć go zaczęli od 1945 roku nowi mieszkańcy.

W tym miejscu życia rodziny rozpoczął Tadeusz naukę szkolną, którą na poziomie podstawowym ukończył w Prudniku, gdzie również zdobył zawód nauczyciela w tamtejszym Liceum Pedagogicznym. Ponieważ wykazywał uzdolnienia muzyczne, rodzice zapewнили mu równoległą naukę w prudnickiej szkole muzycznej, a następnie w ognisku muzycznym. Po liceum kształcił się muzycznie w raciborskim Studium Nauczycielskim.

Podczas studiów w Raciborzu (1961-1963) wstąpił do uczelnianego koła literackiego i nawiązał kontakt z rybnicką grupą literacką. Poetycko debiutował w 1961 roku wierszem pt. *Słowo* zamieszczonym w „Trybunie Opolskiej”.

Pracę nauczycielską rozpoczął w 1963 roku w głubczyckiej szkole podstawowej, by po roku kontynuować ją w Głogówku. Jako nauczyciel języka polskiego i wychowania muzycznego, tu zaczynał poznawać – może za sprawą zauroczenia Rafałem Urbanem – specyfikę kultury regionu, w którym przyszło mu żyć. Poza nauczaniem, jako coraz bardziej znany poeta, włączył się w nurt życia miejscowej społeczności, organizując życie literackie. Powoduje to odejścia ze szkoły, najpierw od grudnia 1973 roku do Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Frotex” w Prudniku na stanowisko redaktora dwutygodnika „Głos Włókniarza”. W tym czasie odbył także studia wyższe w Krakowie i Opolu, gdzie w Wyższej Szkole Pedagogicznej uzyskał tytuł magistra filologii polskiej. Następnie:

Od 1977 roku pracował w Opolskim Towarzystwie Kulturalno-Oświatowym gdzie był sekretarzem. Po upadku systemu realnego socjalizmu, został w 1989 roku zatrudniony w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Opolu, a w 1990 roku w Wydziale Spraw Społecznych, by w 1995 roku zostać dyrektorem Wydziału Kultury i Sportu. Urzędniczą karierę – przechodząc na rentę – skończył w 1999 roku. Była ona zresztą – od czasu służby nauczycielskiej – związana przede wszystkim z działalnością kulturalną. Już w Głogówku organizował spotkania litera-

tów, w których uczestniczyli pisarze zarówno opolscy, (Zbyszko Bednorz, Nina Kracherowa, Stefan Chmielnicki) jak i spoza regionu – poczynając od Wilhelma Szewczyka, czy Jerzego Grygolunasa. Redagując „Głos Włókniarza”, stworzył miejscowy Klub Ludzi Piszących – którym umożliwił publikację ich twórczości. Pomagał także nieprofesjonalnym twórcom w wydawaniu utworów w autorskich tomkach. Pracując w Opolu, organizował redagowanie kwartalnika „Wczoraj, Dzisiaj, Jutro”. Doświadczenie pedagogiczne wykorzystywał inicjując i organizując dla młodzieży szkolnej Turniej Wiedzy o Śląsku Opolskim, czy dla starszych – konkursy pn. *Kultura ludowa Opolszczyzny*. Z myślą o najmłodszych doprowadził do powstania Dziecięcego Klubu Literackiego, umożliwiającego uczniom szkół podstawowych publikację wierszy i opowiadań w „Trybunie Opolskiej”. Jako wiceprezes Zarządu Nauczycielskiego Klubu Literackiego przy okręgu ZNP pomagał twórcom wywodzącym się ze środowiska pedagogicznego. W nowym ustroju – gdy organizująca się mniejszość niemiecka uzyskiwała wsparcie na swoje czasopismo, podzielał ubolewanie, iż zabrakło go dla rodzimej społeczności, która pielęgnowała regionalne polskie tradycje.

W Opolu, szczególną wagę przywiązywał do kontaktów z Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym na Zaolziu. Umożliwił więc występy tamtejszych zespołów artystycznych w Polsce.

Ponieważ twórczością poetycką Tadeusza Soroczyńskiego zajmowali się już za życia poety, i będą nadal znawcy, jako historyk chce zwrócić uwagę przede wszystkim na jej wartość dokumentującą czas, w którym poeta żył i swoje przeżycia utrwalał w tej twórczości. Głównie w postaci artystycznej ilustracji przemian w świecie nadodrzańskiej przyrody i zmian niesionych w życiu ludzi przez współczesną cywilizację. Przede wszystkim zmian zachodzących w środowisku – więc na wsi (uroki sadu, pól, łąk), ale i nostalgicznego widzenia znanego z dzieciństwa, a odchodzącego kształtu wiejskiego gospodarstwa z krową, wkrótce już bez konia...). Później życie ludzi w mieście. Także artystycznie ujmowane uczucia pielęgnowane w rozwijającej się na przełomie wieków rodzinie – od miłosnych zauroczeń po radość z wnucząt...

W aktywności zawodowej i społecznej Tadeusz Soroczyński był sumiennym pracownikiem i pomocnym kolegą. Tryskający pomysłami i jednocześnie okazujący onieśmienie w kontaktach zarówno z tymi, którym coś zawdzięczał, jak i z tymi, którzy Jemu wiele zawdzięczali...

# TADEUSZ SOROCZYŃSKI

## IDZIEMY JANO

*Irenie i Janowi Pyszkom z Potoków na Zaolziu*

Idziemy Jano  
krok w krok  
słowo w słowo  
ty nad potokiem  
odmawiasz modlitwę Beskidu  
a ja nad Odrą  
wypłaszam z łąki  
ptaki słów

Idziemy Jano  
ramię w ramię  
ręka w rękę  
bracia śląscy  
śpiewając nad rzeką  
jawor jawor  
jaworowi ludzie  
dębową muzyką  
księżyc się ogłasza

Idziemy Jano  
razem  
krok w krok  
słowo w słowo  
obok siebie  
śląscy bracia  
ty za wodą  
ja za miedzą

hej

*29 maja 1991*

Rys. Anna Pawluszkiewicz



## JAK ŻDZBŁO TRAWY

*Wilhelmowi Przeczkowi*

1.

Jak źdźbło trawy  
wysławia wielkość Walta Whitmana  
który śpiewa samego siebie  
tak i ja  
widzę mój sad  
z którego wyruszam w podróż  
do źródeł snów

2.

Oto jest chwila do zapamiętania  
u podnóża góry  
wtapiam się w krajobraz  
Ziemi  
zielonej pestki Kosmosu

3.

Z tej perspektywy  
zaczynam pieśń  
o ewangelicznej młodości  
do natury  
ludzi i zwierząt  
poeta wolny

*Luhačovice, 30 czerwca 1999*

## MOJA MIŁOŚĆ, MOJE SKRZYPCE

Moja miłość jest ślepa  
pól zielonych nie widzi  
obok sadów przechodzi  
nie dostrzega owoców  
moja miłość  
drwi ze mnie  
Moje skrzypce bez duszy  
tak jak las mój  
bez wiatru  
dom bez okien i klamek  
a muzyka  
w gałęziach zagubiona  
na amen

*7 sierpnia 1987*



Julian Krzyżanowski zwrócił kiedyś uwagę na bardzo ważną rolę pieśni jako organizatorki życia zbiorowego, śpiewanej często w czasie marszu, gdy zrytmizowanie nużącej czynności ułatwia ją, czasem podnosi na duchu, a czasem wywołuje uśmiech i poprawia samopoczucie. Łatwiej maszerować w rytmie, gdy pieśń reguluje oddech, daje odprężenie i pomaga w pokonywaniu kilometrów. Nasza kultura ma całe bogactwo pieśni żołnierskich, towarzyszyły one wszystkim czynom zbrojnym. Śpiewamy je aż do dnia dzisiejszego. Są uroczyście wykonywane w czasie uroczystości narodowych, znamy ich słowa, są własnością każdego z nas. Polskiej drodze do odzyskania niepodległości przed stu laty też towarzyszyła pieśń, a raczej wiele pieśni.

\* \* \*

Bogusław Szul-Skjöldkrona – postać owiana legendą, kojarząca się z tak popularną pieśnią legionową jak *Rozkwitały pąki białych róż*, jest równocześnie bardzo mało znana, choć jego biografia nosi w sobie treści niemal symboliczne dla tego pokolenia, którego młodość przypadła na burzliwy czas odzyskiwania niepodległości Polski.

Był „sokołem”, harcerzem, zapalonym przyrodnikiem, legionistą, adiutantem generała Hallera, utalentowanym piosenkarzem, studentem medycyny, świetnie tańczył i był bardzo przystojnym chłopcem. Był także żołnierzem wolnego wojska polskiego, kawalerem Krzyży: Srebrnym *Virtuti Militari*, czterokrotnie Krzyżem *Walecznych* i Krzyżem *Niepodległości z Mieczami* oraz *Medaille Interallie de la Victorie*. To wszystko przeżył i zdobył w ciągu krótkiego, bo tylko 25 lat trwającego – życia.

Urodził się 13 listopada 1895 roku w Lipinkach koło Gorlic jako syn dyrektora rafinerii naftowej Ludwika Szula de Skjöldkrona i Róży z Grohsów, w rodzinie mówiono o nim z czułością Sławeczek.

Jako uczeń Gimnazjum im. Sobieskiego w Krakowie wcześniej zwrócił na siebie uwagę profesorów zaletami charakteru i niepospolitymi zdolnościami. W okresie dorastania zgromadził niemały zbiór owadów polskich w ilości 25.000 sztuk, wśród których znalazło się wiele bardzo rzadkich okazów. Ta kolekcja została przekazana do polskiej Akademii Nauk. Drugą jego namiętnością była polska literatura romantyczna a zwłaszcza Juliusz Słowacki, a ze współczesnej sobie Stanisław Wyspiański. A namiętnością trzecią było harcerstwo. Był współzałożycielem i plutonowym III Krakowskiej Drużyny Harcerskiej im. Kazimierza Pułaskiego przy gimnazjum im. Jana III Sobieskiego w Krakowie.



# Sławeczek – pieśniarz czynu legionów

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Wraz z całym zastępem ślubował, że „pójdzie w bój i trud i pełnić będzie służbę na Szańcach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej do krwi ostatniej kropli z żył” i przyrzeczenie zrealizował. Należał do tych ludzi, którzy kształtowali charakter polskiego harcerstwa w początkach je-

go istnienia. Lato roku 1914, spędzał na słynnym obozie skautowym w Skolem, na którym zgromadziła się młodzież polska z trzech zaborów. Był już wtedy studentem medycyny i miał ukończony kurs podchorążych Sokolich Drużyn Strzeleckich. Na obozie chciano wypra-

cować „polski wzór życia skautowego”, ale na zajęciach było też dużo przedmiotów związanych z wojskowością, pewnie dlatego, że czuło się już oddech pierwszej wojny światowej.

Dziesiątego sierpnia przez pobliski Drohobycz przechodził Legion Wschodni pod dowództwem generała Hallera, Sławek wstąpił do niego wraz z plutonem i już na całe życie i na śmierć związał się z „błękitnym generałem” i polskim wojskiem. W wojsku nastąpił bowiem pełny rozkwit jego osobowości: był wzorowym żołnierzem, wymagającym wiele od swych podkomendnych ale jeszcze więcej od siebie, opiekuńczy i surowy zarazem, wysportowany i tak zafascynowany przyrodą, że z łatwością oswajał ptaki, zawsze pogodny, rozkochany w literaturze i polskich pieśniach żołnierskich, które wówczas właśnie zaczął zbierać, budził powszechną sympatię. Jego chłopięca jeszcze postać (miał przecież wówczas dziewiętnaście lat) budziła jednak szacunek i poważanie. Eugeniusz Quirini, podpułkownik i starszy przyjaciel napisał o nim: „Był dla 3 pułku piechoty Legionów Polskich postacią tej miary, co Lis-Kula dla I Brygady”.

Od września 1919 roku, już po rozwiązaniu Legionu Wschodniego, wszedł do 3 pułku piechoty Legionów Polskich, z którym niebawem znalazł się w II Brygadzie. Brał udział w wielu walkach i zawsze wyróżniał się męstwem. Fenterale, Zielona, Pasieczna, w bitwie pod Mołotkowem, a w zaciętych walkach pod Rafajłową, gdzie 3. ppłk bronął przed Moskalami przejścia przez Karpaty odznaczył się rozwagą, odwagą i walecznością. W październiku wrócił na 20 dni do Krakowa, ale już w listopadzie walczył na Wołyniu pod Optową, a w styczniu 1916 r. został dowódcą V kompanii. 17 kwietnia 1916 roku o świcie batalion został skierowany pod Kołki, aby wspomóc oddziały walczące między Guniatyczmem i Tumanem, gdzie kula trafiła go w szczękę i rozewała podniebienie. Po zaleczeniu rany, w listopadzie znów powrócił do pułku.

Wiosną 1917 roku znów przeżywał dawne harcerskie wzruszenia, prowadząc wraz z innymi oficerami legionowymi – harcerzami pierwszy jawny kurs przysposobienia wojskowego dla harcerki i harcerzy w Warszawie w tzw. Koszarach Blocha.

Przed wyjazdem z Warszawy pomagał także działaczom harcerskim z władz centralnych, którzy przedostawali się na teren zaboru austriackiego wystawiając im fikcyjne przepustki legionowe. Jednak w październiku 1917 był już na froncie Besarabskim. Pod koniec stycznia 1918 wrócił do Krakowa pragnąc kontynuować przerwane studia medyczne ale niedługo wytrzymał w cywi-

lu i już w lutym powrócił do swej II Brygady. Zdecydowała o tym wieść, że przeszła ona przez front austriacki pod Rarańczą, przez Warszawę dopędził więc II Korpus i 16 kwietnia 1918 roku był już ze swymi żołnierzami. Teraz jego życie będzie już przypominało piosenkę o żołnierzu tułaczem. Generał T. Malinowski tak opisał jego przybycie: „Trzeba było widzieć te błyszczące żarem wewnętrznej radości i zapałem oczy Sławka Szuła, gdy znalazł się znów między swymi. Przynosi najświeższe wiadomości z Polski, opisuje z entuzjazmem wrażenia z kraju, wywołane przejściem II Brygady pod Rarańczą, porywa swą radością i wiarą”. Jednak wysiłek ponad miarę spowodował chorobę płuc, po krótkiej rekonwalescencji został przeniesiony w stopniu kapitana do 15 pułku Strzelców jako adiutant. 11 maja 1918 brał udział w bitwie pod Kaniowem, a po kapitulacji przedostał się do Kijowa aby leczyć odżywiająca się chorobę płuc. Lecząc się miał nieco więcej czasu na swe ulubione zajęcie: porządkowanie od dawna zbieranych piosenek żołnierskich i układanie własnych tekstów. Wtedy też napisał jedną ze swych najbardziej udanych i popularnych pieśni *Brygada żelazna, karpacka*, którą opatrzył w swym śpiewniku uwagą: „pieśń powstała po bitwie kaniowskiej”. Warto przytoczyć jej pierwsze zwrotki:

Przez trudy i znoje, przez walk  
krwawych burze  
Z pogardą dla śmierci, wesoła  
juńska  
Wciąż idzie niezłomna w krwi  
własnej purpurze  
Brygada żelazna, karpacka.  
Nie zmoże jej, póki podźwignie  
broń ramię,  
Ni podłość moskiewska, ni buta  
krzyżacka!  
W bój pójdzie zwycięski i wrogów  
przełamie  
Brygada żelazna, karpacka  
Więc, chociaż do Polski ciałami  
szlak ściełem,  
Choć nieraz pięść wroga  
śmiertelny cios zada,  
Znów wstanie potężnym spraw  
świętych mścicielem  
Karpacka, żelazna Brygada

Gdy Sławek poczuł się nieco lepiej znów stał się aktywny do granic swych możliwości fizycznych: brał udział w pracach tajnej organizacji wojskowej Organizacji Wojskowo-Agitacyjnej i dowodził kompanią Polskiej Organizacji Wojskowej w okolicach Kijowa.

21 czerwca 1918 r. otrzymał polecenie wyjazdu do Murmanii aby zorganizować tam oddziały polskie. Wyprawa murmańska Bogusława Szuła obrosła już w legendę i jest to legenda bohaterska. W nieprzyjaznym klimacie,



wśród przejmującego zimna, przedierał się do Murmańska nie znając języka rosyjskiego, w poczuciu nieustannego zagrożenia, o głodzie i chłdzie, jak ścigane zwierzę. Dotarł do Murmańska z początkiem lipca, stamtąd przewoził bardzo ważne instrukcje dla podziemnych organizacji polskich działających w Moskwie i na Syberii, kontaktował się z generałem Lucjanem Żeligowskim przebywającym na Kubaniu – trwała nadal jego tułacza epopeja. 23 sierpnia został złapany przez bolszewików i skazany na karę śmierci jako szpieg angielski. Nie mając już wiele do stracenia wyskoczył z pędzącego pociągu i pokonując ponad 350 km przez Karelię, tundrę i podbiegunowe lasy powrócił do Murmańska.

Przywoływany już tutaj Eugeniusz Quirini, przyjaciel i współtowarzysz walk Bogusława Szuła, napisał: „kampania murmańska jest jednym z najcięższych etapów żołnierskiej służby Szuła, w której rozwinął całą swoją energię i ruchliwość. Był on uważany za idealnego dowódcę formacji polskich”. Na takie określenie jego roli wpłynęły nie tylko walory żołnierskie i moralne Sławeczka, ale także jego bogata, porywająca osobowość.

Dobrze znający polską literaturę i szczerze w niej rozmiłowany organizował spotkania literackie, odczyty, wieczory poezji romantycznej dla Polaków w Klubie Oficerskim Oddziału Murmańskiego w Archangielsku, doprowadził nawet do wystawienia na scenie *Mazepy* Juliusza Słowackiego. Nieustannie zbierał pieśni żołnierskie i tworzył własne. Zaprawione są one goryczą doli żołnierza tułacza ale nie jest to gorycz powodowana trudami i niebezpieczeństwami ale świadomością przewrotności polskiego losu. Z tego też





okresu pochodzi piosenka pt. *Lamenty podbiegunowe legionu, któremu przyszło walczyć... o biegun*, cechuje ją bardzo charakterystyczny nastrój w którym sarkazm miesza się z liryzmem a powaga z niefrasobliwym humorem: W nocce poprzedzającej piosenkę autor napisał: „Listopad 1918 Archangielsk. Kartka z doli leguna tulacza. W rzeczywistości czasem smutniej wyglądało niż się śpiewa”:

Straszeń to dziwy, Boże apostołski!  
Wybrał się legun na obronę Polski,  
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy  
legun -  
Obronił biegun.  
Tak nami dziwnie kręci ręka Boża:  
Chciałeś mieć Polskę z dostępem  
do morza,  
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym  
potem  
Tam i z powrotem.  
Zwiedziłeś, bracie, świata kawał  
srogi,  
W różnych-eś krajach poobijał  
nogi,  
Ażeś tu przyszedł stare mrozić  
gnaty  
W kraj lodowaty....

Andrzej Romanowski pisząc o poezji I wojny światowej, o panującej w niej nastrojach pesymizmu i zwątpienia napisał „Odmienny ton wniósł jedynie niefrasobliwy radosny Bogusław Szul – niestrudzony zbieracz i autor wesołych piosenek żołnierskich”. Trudna to

jednak musiała być „radosność”, z ropiejącą wciąż raną po postrzale szczęki, niestannie chorymi płucami, umęczony do granic ludzkiej wytrzymałości, pisał piosenki dla swoich współtowarzyszy i zbierał wśród nich krążące. Cóż miał dla nich – tak samo jak on umęczonych – pisać: marsze żałobne, czy pełne melancholii elegie?

Pisał w okopach dla konkretnych ludzi, znajdujących się w określonych warunkach i nastrojów określała potrzeba chwili. Żołnierzom trzeba było pokrzepienia, otuchy, wiary w sens tego, co czynią i w tym umocnić ich miała piosenka. Polska pieśń żołnierska zawsze splatała w sobie dwa nastroje: żartobliwy i bohaterski, bo jak napisano we wspomnieniach o Bogusławie Szulu „tkana była krwią i śmiechem o nucie twardej jak żołnierski los...”

O takiej roli tych pieśni pisali prawie wszyscy współtowarzysze Sławeczka. Nie sposób tu przytaczać wszystkich opinii, zacytujmy tylko fragment jednej z nich: „...Piosenkarz zdaje najtrudniejszy, bo natychmiastowy i przed bezwzględną komisją składany egzamin. Jeśli padnie – to raz na zawsze żegna się z nadzieją „Relutońskiej sławy”. A jeżeli piosenkę jedna tylko rota dwa razy powtórzy – to nazajutrz zagwizda ją pluton, zanuci kompania, zaśpiewa batalion – piosenka obiegnie pułk, brygadę, armię i na obce góry, lasy i łany śpiew nasz żołnierski, śpiew nasz kochany bujnie rozsieje swe wdzięki.

I taka piosenka pójdzie już za szarym mundurem i dojdzie za nim wszędzie.

Takim szczęśliwym piosenkarzem brygady naszej, *Żelaznej* był major Szul. Zbierał rozproszone melodie piosenek żołnierskich, by jak sam mówi – towarzyszyły zawsze doli i niedoli leguńskiej, by »gdą je sobie wraz z plecakiem żołnierz pod głowę położy, szeptały mu rzeczy miłe i wesołe«.

Potwierdzają te słowa więc drugą część opinii Andrzeja Romanowskiego, że Bogusław Szul był istotnie piosenkarzem niestrudzonym. Gros jego pracy nad śpiewnikiem przypadło właśnie na czas pobytu w Murmańsku. Czas ten jednak dobiegł końca i oto 15 stycznia 1919 r. wyjechał do Paryża jako dowódca oficerów odjeżdżających do tworzącej się we Francji pod dowództwem gen. Hallera armii polskiej.

Przywoływany już tutaj gen. Tadeusz Malinowski napisał o Sławeczku: „Po tyłomiesięcznych bojach i trudach wśród pełnej zimy i nocy podbiegunowej, przybywa do Paryża, wychudły z otwartą i ropiejącą wśród niewygód dawną raną szczęką. Wygląda jak nastroszone, młode orle. Tylko oczy mu świecą po dawnemu. Profil zaostrzony rysuje się niezrównanymi liniami woli i szlachetności”.

Ale Paryż nie był dla niego miejscem odpoczynku, bo serce swe pozostawił w Murmańsku. Pracował więc teraz po 18-20 godzin na dobę aby swym żołnierzom marznącym nad morzem lodo-

watym zapewnić leki, żywność i kontakt. 10 kwietnia 1919 r. został mianowany majorem sztabu generalnego. Tutaj też porządkował i układał ukochane piosenki. Miał wówczas 24 lata. W kilkanaście dni później wraz z armią Józefa Hallera wreszcie powrócił do Polski. W dniu wymarszu do Warszawy napisał:

...Siałeś bracie własną krew,  
tralala  
Dziś plon złoty wydał siew, tralala  
Więc używaj, co masz sił,  
Na zabawie – we Warszawie,  
Boś się o nią bił.

Przez karpacki grzebień śnieżny,  
Besarabski step bezbrzeżny,  
Bukowińskich łąnów złoto,  
Przez wołyński piach i błoto,  
Idąc tak na bliższe drogi,  
Świata szmat przeszedłszy srogi,  
Dziś wstępujęm w Twoje progi,  
O Warszawo!

Po przybyciu do Polski złożył wreszcie w wydawnictwie swój śpiewnik, przygotowany starannie, zaopatrzonej w nuty, zatytułowany *Piosenki leguna – tułacza*. Ukazał się on w 1920 roku nakładem Księgarni J. Czarnieckiego w Krakowie (wydany został zresztą z licznymi błędami drukarskimi o co autor miał do wydawcy spore pretensje), zadedykowany był: „Wodzowi – tułaczowi Jenerałowi Hallerowi”. Jest to do tej pory najważniejszy zbiór polskiej pieśni żołnierskiej i wojny światowej. Są w nim pierwodruki wielu pieśni, a noty są prawdziwą kopalnią wiedzy o losie legunów. Wiele z nich jest śpiewanych do dnia dzisiejszego.

Jednak sam śpiewnik jest prawdziwym unikatem dlatego, może warto omówić jego kształt i zawartość obszerniej. Poprzedza pieśni wstęp w którym charakteryzował autor zawartość śpiewnika, pisał o jego adresacie i celu w jakim opracował pieśni, a jego refleksje znakomicie potwierdzają przemyślenia Juliana Krzyżanowskiego: „Zebrałem je w tej myśli, by podług swego starego zwyczaju mogły dojść za żołnierzem naszym wszędzie, gdzie on dojdzie i życie mu uprzyjemnić; by gdy je sobie wraz z plecakiem w nocy pod głowę położy, szeptały mu do ucha rzeczy miłe i wesole; by mu dały sposobność i przykład do wyśpiewania jego własnej doli i niedoli żołnierskiej.

Niech ta kompania moich piosenek wzięwszy »kierunek« na to serce polskiego żołnierza rozwinięta w dużą tyralierkę dojdzie wszędzie, gdzie są nasi żołnierze, a nie wątpię, że do ciepłego serca przyciągną – i sama to serce rozgrzać i nowym zapasem cierpliwości i żołnierskiej ochoty natchnąć potrafi”.

Świadomy różnorodności pieśni podzielił swój śpiewnik Bogusław Szul

na następujące działy: *Pieśni patriotyczne, Leguńska dola, Idą w boje, Żołnierz i dziewczyna, Leguny filuty, Piosenki różne, Legun się cieszy*. W pierwszej części śpiewnika znajdowały się teksty, w drugiej nuty piosenek. Każdy tekst poprzedzony został krótką metryczką; czasem miała ona charakter opisowy, czasem tylko informacyjny: imię i nazwisko autora, rok powstania, czasem krótki komentarz związany z charakterem pieśni, przy własnych utworach charakteryzował dodatkowo genę oraz stopień popularności.

Śpiewnik rozpoczynał *Mazurek Dąbrowskiego* przy którym autor zbioru napisał: »Uroczystość« zaintonowali Stary Mazurek Legionów – wyjmij chłopie ręce z kieszeni! stój na baczność jak się patrzy! bo to jest hymn narodowy, co się na co dzień nie śpiewa i cześć mu się należy Żołnierska! Pamiętaj, że to pieśń, co łączy ciebie z tymi, co jak ty 100 lat temu za Polskę poszli w boje!”.

Natomiast przed *Rotą Konopnickiej* czytamy. „Jedna z najulubieńszych pieśni narodowych, którą żołnierz w każdej okoliczności śpiewał, a szczególnie, gdy mu dopieklili opiekunowie spod znaku czarnego orła, wypowiadając w niej swe credo polityczne już wtedy, gdy chciano go jeszcze koniecznie ogłosić za sprzymierzeńca centralnych”.

W śpiewniku znalazły się utwory znanych autorów, takich jak: Józef Mączka, Władysław Orkan, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Józef Relidziński, Bolesław Wieniawa-Długoszowski oraz teksty anonimowe. Pieśni Bogusława Szula nie odbiegały od nich charakterem. I one tak jak inne pieśni żołnierskie, o których kiedyś pisała kiedyś Irena Lubas zbliżały się do przedromantycznych i powstańczych dumek żołnierskich, pojawiały się w nich charakterystyczne stereotypy wyobrazeniowe (dworek, panna, ułan, wierny



koń) i takie same jak w innych motywach patriotycznych, miłosnych, wojennych. Żył w nich tradycja pieśni powstańczych i ludowych. Niektóre były trawestacją znanych utworów, lub były to nowe teksty dopisane do znanych melodii; jak ten na przykład:

„Jeszcze jeden mazur dzisiaj nim poranek świta czy pozwoli panna Krzysia młody ułan pyta Ależ, ależ oczywiście – Dziwne to pytanie – Wszystko wolno legionście/ Mój kochany panie!”

Lub inna pt. *Dumna panienska*:

„Przybyli ułani pod okienko  
Stukają, wołają, puść panienko!  
Zaspana stanęła panna w oknie,  
– A cóż tam za licha w deszczu moknie?...

Otwieraj! nie bój się piękna pani!  
To my, bohaterzy, my ułani.  
Panienska ofuknie zadąsana,  
Możecie tam moknąć aż do rana  
I storę zasuwam dumna sztuka,  
Nie wyszła godzina znów ktoś puka.

O Jezu! a któż tam? – to pułk trzeci  
Panienska otwierać zaraz leci”.

Inne pieśni nawiązują do aktualnych wydarzeń, opowiadają o bitwie pod Mołotkowem, pod Rafajłowką, pod Pasieczną, o dziejach Dźwińskiego oddziału tzw. „Lwów północy”.

Te piosenki zaopatrzone są zwykle w staranniejsze metryczki, nie tylko datę powstania, ale przede wszystkim daty wydarzeń, o których mowa, bogate też są one w realia historyczne.

Inna grupa piosenek, i te są zwykle żartobliwe i kpiarskie, opowiada o żołnierskiej doli. Takie są właśnie przytaczane już *Lamenty podbiegunowe*, czy napisana w 1914 roku *Adiutancka dola*, której początkowa zwrotka brzmi:

O mój miły Boże zlituj, że się  
przecie,  
Jak pułkownik Haller adiutantów  
gniecie!

Lub inna zatytułowana *Trzech synów*, rozpoczynająca się od słów:

Trzech synów matka miała,  
dwóch mądrych w domu siedzi  
A trzeci się w legionach  
z karabinem biedzi.

Czy zawadiacka:

Nasza artyleria w Obozierskiej stoi  
Pisze do Lenina, że się go nie boi.  
Pisze doń uprzejmie, jak  
do przyjaciela,  
Że mu krasną gwardyję do nogi  
wystrzela...  
kpiącą niemiłosiernie z baterii  
pocziwnika.



Żarty i drwiny z innych formacji pojawiały się w tych piosenkach także często, znalazł się też paszkwil piechura na ułanów (*Zachciało się raz ułanom wojny*) itp. Inny zupełnie nastrój posiada napisana w Archangielsku, w grudniu 1918 r. pełna dumy, rozmachu pięcioletnia pieśń *Idą w boje*, którą rozpoczyna zwrotka:

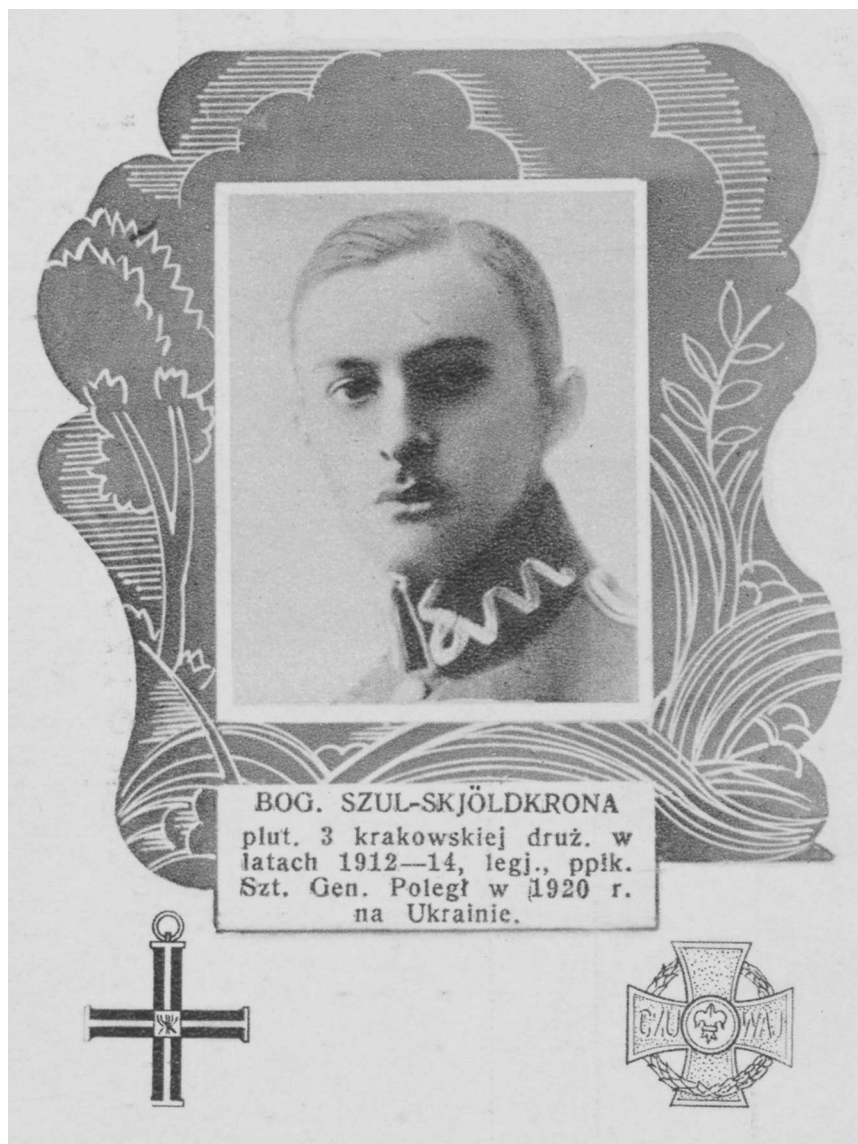
Po szerokiej żyznej Ukrainie,  
Zrównanymi krokami,  
Bystro, szumnie jak potoki  
Wojsko płynie.  
Hej generale! dzielne, bitne wojska  
twoje  
Idą w boje.

Tylko jedna z pieśni uderza swą odmiennością: jest bardziej liryczna i łagodniejsza w nastroju. Jest mało znana a tak bardzo charakterystyczna i w symbolice, i ogólnej wymowie, że warto ją przytoczyć w większym fragmencie:

Przebudził wioskę wśród sadów  
Szczęk broni i strzałów huk:  
Mściciele przyszli pradziadów,  
Rozbity precz umknął wróg.  
Precz umknął wróg rozproszony,  
Zwycięska trąbka gra,  
Przybyły do wsi legiony,  
Grzmią trąbki: taratata  
i trata-trata  
Bagnety błyszczą, rzą konie,  
Lśni orła srebrzysty znak,  
Dziewczęciu serce drży w łonie,  
Jak trwożny, schwytny ptak  
Lecz los żołnierza niestały  
Wciąż dalej, dalej gna,  
Na alarm trąbki zagrały  
Złowrogo: tratatata-trata-trata...  
A może w dali usłyszysz  
Dźwięk znany: tratata-trata-trata

Wydanie śpiewnika nie zakończyło jednak żołnierskiej służby Bogusława Szula. W październiku 1919 roku jako szef sztabu grupy gen. Stanisława Pruszyńskiego brał udział w zajmowaniu Pomorza i Mazowsza a w lutym 1920 r. na własną prośbę został przeniesiony na front wschodni do gen. Wacława Iwaszkiewicza jako szef sztabu Oddziału III. W wolnych chwilach pisał teraz poważne studium z zakresu taktyki i strategii, którego już nie zdołał dokończyć. W czasie ofensywy na Kijów poprosił o służbę liniową w 52 pułku piechoty jako dowódca batalionu. 27 maja 1920 r. poprowadził z karabinem w ręku natarcie na wieś Czetwertynówkę nad Bohem, będącą ważną pozycją ze względów strategicznych. Była to już ostatnia walka Sławeczka: dwie bolszewickie kule ugodziły go: w głowę i w brzuch.

Ciężko rannego lecz przytomnego wyniósł z pola ostrzału chłop ukraiński, po czym patrol sanitarny przewiózł go



do Tulczyna. W czasie tej – bardzo ciężkiej drogi – też nie stracił przytomności, był spokojny i pogodny, choć świadom tego, że jego los się dokonał. Według relacji świadków szeptał, że tak właśnie chciał zginąć – prowadząc do ataku za Polskę. W dwie godziny po otrzymaniu postrzałów zmarł i pochowany został w Tulczynie.

Oszalała z rozpaczy matka Róża z Grohsów Szulowa długo nie mogła uwierzyć w śmierć Sławeczka. Ale losem jej synów była żołnierska służba, młodszego brata Bogusława, Ludwik Szul Skjöldkrona był pułkownikiem, Szefem Sztabu Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej, po wojnie już nigdy nie powrócił do Polski.

18 lutego 1933 r. staraniem koła „Trzeciaków” sprowadzono prochy Bogusława Szula do Warszawy i z honorami wojskowymi złożono uroczystość na Cmentarzu Powązkowskim nieopodal kwatery legionistów. Obelisk otaczają cztery mogiły, w których po trudach walk spoczywają czterej harcerze, legionieści wśród nich poeta Józef Mączka, Władysław Gniady

i Rudolf Brandys. Z lotu ptaka mogiła wygląda jak harcerski krzyż.

Na nagrobku Bogusława Szula napisano: ur. 13. XI. 1895 r., podpułkownik sztabu Generalnego, były harcerz, były członek drużyn sokolich, oficer III pułku piechoty Legionów Polskich i II Polskiego Korpusu na Wschodzie, były szef sztabu oddziałów Polskich na Murmanii, pieśniarz czynu Legionów, kawaler Krzyży: Virtuti Militari, Niepodległości i Walecznych, poległ w bitwie pod Czetwertynówką dnia 27 maja 1920 r.”

\*\*\*

W domu moich rodziców wisiał na ścianie niewielkich rozmiarów olejny portret. Spoglądał z niego młody, piękny chłopak w wojskowym mundurze. Miał czystą, młodzieńczą twarz i poważne spojrzenie, to właśnie był Bogusław Szul Skjöldkrona, Sławeczek – ukochany siostrzeniec mojej babci Heleny z Grohsów Gaudnikowej.



## Wspomnienia z wycieczki w roku 1883 (fragmenty)

Fot. Beata Hyczy-Czolpnińska



*Puszcza Białowieża, rezerwat ścisły, 2017 roku.*

JANUSZ KORBEL

# Wycieczka po XIX-wiecznej Puszczy Bolesława Łaszczyńskiego

**BIAŁOWIEŻA PRZEWODNIK  
OSOBISTY**

Bolesław Łaszczyński (1843-1909) był znanym malarzem polskim (m.in. *Śmierć Szopena*) i zręcznym publicystą. Kształcił się w Heidelbergu (archeologia), a w Monachium, gdzie przyjaźnił się z Gierymskim, ukończył akademię sztuk pięknych. Mieszkał we Florencji, Rzymie, a później w Warszawie i Poznaniu. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był człowiekiem światowym i jego spostrzeżenia były wolne od uprzedzeń. Ilustrował współczesne mu utwory literackie m.in. A. Mickiewicza i H. Sienkiewicza. Przytoczony poniżej opis jego pobytu w Puszczy Białowieżskiej w 1883 roku jest mało znany, a dzięki spostrzegawczości oka malarza pozwala uruchomić wyobraźnię i przenieść się do Puszczy Białowieżskiej sprzed 130 laty, zanim jeszcze powstały carskie rezydencje. Autor jedzie do Białowieży przez Hajnówkę i Zwierzyniec, a więc trasą, którą i my przemierzamy. Pisząc o świerkach nazywa je jodłami (kalka z ruskiego słowa joł, jołka). Uderza zachwyty

artysty nad widokiem pierwotnej puszczy, utożsamianej z ogromnymi powalami świerkowymi, które stanowią o jej dzikości i pięknie. Tekst był ocenzurowany i w warstwie politycznej musiał być poprawny. Tutaj zachowany jest w pisowni oryginalnej.

**PUSZCZA**

[...] Wszelki ogrom w naturze, czy to góry, czy morze, czy ten las bez końca, równe zawsze na człowieku wywiera wrażenie groźnego jakiegoś majestatu, czegoś, co między jego małości. Cała pyszałkowatość ludzka nagle przycicha i znika, a dreszczem wstrząśnięta dusza odczuwa nagle obecność Twórcy w nieskończoności. Ta czarna linja puszczy tak samo do duszy przemawia. Wpatrzony, zapominasz, że cię konie ciągną – las jedzie na ciebie: rośnie, podnosi się bez przerwy, nareszcie ponurym, ogromnym obejmuje cię kręgiem. Fantastyczne kontury lasu nadają mu wygląd jakiegoś miasta olbrzymów, ponad którego gmachami sterczą tu i ówdzie wynioślejsze kopuły wiekiuistych

dębów i jodeł wieże gotyckie. Barwa dziwnie czarna tej puszczy nie jest tworem mojej wyobraźni; barwa ta uderzyła mnie na samym wstępie i tego wrażenia doznają wszyscy, którzy poraz pierwszy widzą białowieżską puszcę. Polegać to musi na złudzeniu optycznym, sprawionem zapewne nie tyle odrębną barwą tego lasu, ile raczej wielkością sienie wstęgi, zamykającej cały widok dokoła.

Powoli i wnętrze puszczy się otwiera. Rozróżnić już można pojedyncze drzewa; wysuwają się olbrzymie dęby, jodły i lipy, jakich się nigdy nie widziało, na tle ich sozystem kilka wznosi się słupów błękitnego dymu, po chwili wysuwają się dachy, to Hajnówka, ostatnia wieś na brzegu puszczy położona. W Hajnówce znajduje się rezydencja nadleśniczego białowieżskiej puszczy, wówczas był nim niejaki Campioni, moskal.

Znajomość pana takiego mogła być nie bez pożytku dla mnie, zwłaszcza, że miałem i lekkie marzenia o polowaniu, które, na tle przypuszczalnej protekcji pana nadleśniczego, w cudne rozwijały się obrazy. Kazałem tedy przed dwór jego zajechać. Zostałem przyjęty nader gościnnie przez panią





Campioniową i liczną jego rodzinę. Samego zaś pana nadleśniczego na nieszczęście nie było dnia tego w domu. Mieszkańcy ci krańca zamieszkałego świata, gdzie rzadko tylko zjawia się dusza jaka, tryumfalnie niemal mnie przyjęli, a cóż dopiero, gdy się dowiedzieli, że ja „chudożnik” (artysta)! Usilnie o przenocowanie proszony, podziękowałem jednakże i zabawiwszy kilka godzin, wsiadłem na wózek, by jeszcze przed nocą do leśnika w zwierzyńcu dojechać.

Koniki ciągnęły mnie traktem szerokim, prowadzącym do Białowieży, wśród ciszy i szumu leśnego. Las mieszany, spodem gęsto podszyty, gdzieniegdzie większe obszary, przejrzyste po pożarach wiosennych, gdzieniegdzie znów wiekiem i robakami stoczone sterczą olbrzymie jak wieże sosny, bez konarów, bez kory, białe jak kościotrupy, istne upiory leśne. Pocieszam się po trochu, bo to jednak las niezwykle: roślinność coraz bujniejsza się staje, drzewa, jakich w życiu nie widziałem, rasowe dzieła natury, ludzką jeszcze nie popsute sztuką, a spodem coś na kształt gęstości i bogactwa bajecznego podzwrotnikowych lasów.

Naraz miejsce otwarte, niby park wspinały; w środku, na łączce, na wysokim piedestale żubr wielkości naturalnej ze spiżu, a trochę głębiej zamyka obraz zagroda i domek leśnika, czyli strażnika, cel dzisiejszej podróży. Jesteśmy w zwierzyńcu. Już też i noc zapadała a szkapiny ledwo nogami posuwały. Strażnik Tołścik, pod którego strzechą szukałem gościnności, przyjął mnie z największą uprzejmością.

Miejsce uroczne, gdzie położona była leśniczówka, w świeżości rannego słońca wydało mi się wiele jeszcze piękniejszym, aniżeli kiedy tu wjeżdżałem wczoraj o zmroku. Owa partja parkowa z żubrem w środku, stanowiąca jakby zajazd przed leśniczówką, otoczona była najwspanialszymi drzewami, jakie kiedykolwiek widziałem. Dęby, jesiony i lipy, proste i wyniosłe jak maszty okrętowe, gdzieś wysoko dopiero korony swe rozciągały i łączyły w jedno gęste sklepienie lasu, odbijając jaśniejszą zielenią na ciemnym, czarnym prawie tle jodeł i potężnych sosen. Pomiedzy korzeniami pni wiła się jak wąż czarna odbiciem gąszczu i lśniącą struga, w której się kąpały błyszczące jasną zielonością paprocie. Przed domem strażnika, porządnie z drzewa zbudowanym, opatrzonym werandą krytą, było niewielkie podwórze, ze stodółką, oborą i śpichlerzem, czyli świronkiem, jak go tu nazywają i tuż zaraz rozpoczynał się z potężnych kołów zrobiony parkan, czyli ostrokoł, stanowiący ogrodzenie zwierzyńca. Zwierzyniec ten, zbudowany dla polowań carskich, obejmuje obszar ogromny lasu 800 dziesiątyn, czyli tyleż hektarów, podzielony zaś jest na trzy części, osobnym ujęte parkanem: jedna część, większa, dla żubrów przeznaczona, druga dla dzików, trzecia dla jeleni. Żubrów uwięzionych w zwierzyńcu było za mej bytności trzydzieści przeszło sztuk. Zwabione one tam bywają porą zimową stogami wonnego siana; wchodzą całymi stadami przez otwarte wrota, które po ich wejściu zamykają za niemi ukryci gajowi.

[...] Z początku poruszaliśmy się lasem jodłowym przeważnie; wśród którego dość swobodnie poruszać się jeszcze można było. Niebawem dostaliśmy się do boru przeważnie liściastego, drzew wszelkiego ro-



Fot. Marek Wesołowski

dzaju, gdzie nagle opasał nas splot roślin, że wszystko koło siebie jak sieć gęstą rozrywać musieliśmy, chcąc się naprzód posuwać. Dzikie chmiele, przeróżne nieznane mi gatunki bluszczów i powojów oplatywały drzewa i zwisały się z konarów najwyższych do ziemi, zupełnie jak liany podzwrotnikowych lasów [prawdopodobnie autor widział brodaczkę – kilkumetrowe porosty, które na skutek presji człowieka wyginęły w latach 50. – dopisek Janusz Korbel]. Często stawałem w miejscach widniejszych, nie mogąc się cudnością widoku nasycić. Po chwili otworzyła się przed nami inna zupełnie kraina dębów, olch i lip, gdzie górą tak gęsty rozciągał się sufit liścia, a dołem znów jeszcze gęstszą młodzież leśna rozstąpiła koldrę, iż promień żaden światła do spodu się nie przedzierał i nieraz półmrok stawał się taki, że na zegarku godziny wyczytać nie mogłem. Rozumie się samo przez się, żeśmy w prostym kierunku na przelaj iść nie mogli, lecz wybieraliśmy sobie drogę przesmykami mniej zarośniętymi, czasami ułatwiał nam pochód ścieżki przez żubrów wydeptane. Gąszcz ten dość długo się ciągnął i ustał nagle, gdyśmy się spuścili do jaru głębokiego, gdzie nowa nastąpiła zmiana dekoracji. Był to kocioł zapadnięty, błotnisty, z miejscami otwartymi gdzie oko dość daleko zapuszczać się mogło. Tu i owdzie, wśród barwnych traw i roślin błotnych, błyszczące się w promieniach słonecznych duże łysiny wody, czarne odbiciem boru, miejscami znów jaskra-

wo odbijały płyty urwisk piaszczystych, po których korzenie drzew staczały się, jakby olbrzymie węże. Całe dokoła szeregi jodeł i sosen obumarłe sterczały, pnie olbrzymie, bez kory, bez konarów, białe jak kościotrupy, oszpecone dżumami od robaków dziurami. Upiory te leśne nieruchome stały i ciche; pomniki minionych stuleci, ustawione ręką natury, zdawały się wysoko ponad rozciągającym się życiem młodszych porostów znaczyć godziny wieczności w ciągłym odnawianiu się rzeczy. Po wyjściu z tego kotła zesłaliśmy na nizinę piaszczystą o karłowatych drzewach i jałowcach ogromnych, i wkrótce stanęliśmy nad błotem rozległym, wśród którego gdzieniegdzie krzaki chude i trzciny sterczały. O sto kroków od nas pięć łosiów starych i dwa cielęta w wodzie używały chłodu. Musiało im tam być dobrze, bo patrzyły na nas spokojnym wzrokiem, nie myśląc się ruszyć. Dopiero gdyśmy się na jakieś 30 kroków zbliżyli, podniósł się stary rogal i dał reszcie towarzystwa hasło do odwrotu.

Najpiękniejsza jednak niespodzianka czekała po południu, gdy właśnie już ku domowi kierowaliśmy nasze kroki. Nagle przedstawił się oczom moim obraz, dla którego samego już do puszczy przyjechać było warto. Po wszystkich nadzwyczajnościach odwiecznego lasu jakie już widziałem ta była najwspanialsza. Ze zbitego i ciemnego boru znaleźliśmy się naraz w ogromnej wyrwie, uczynionej tu przed laty już kilku trąbą powietrzną. Pas zniszczonego lasu miał około



wiorsty szerokości a ciągnął się daleko jak oko sięgało. Olbrzymie drzewa powywracane, wykorzenione lub potrzaskane piętrzyły się jedne na drugich w stosach bez kształtu i nazwy i cała przestrzeń wyrwanego lasu zapchana, zatarasowana nieprzebytym waleń pni, gałęzi, korzeni, chrustu i na tym splocie nadzwyczajnym wierzchem osiadać zaczynała na mchach i na nasianej wiatrem ziemi, młoda roślinność leśna i malownicza, jasną zielenią gorejąca paproć. Górą widok był wolny zupełnie, ale dołem ściana rumowisk leśnych ciasne tylko oku nakreślała granice. Najfantastyczniejsze, najdziwsze ukształtowania, w tysiącnych odmianach, to dziwaczne, to groźne tworzyły dziwadła. Jodły zwłaszcza, powywracane, leżały z rozpiętym u dolnego końca parasolem korzeni, sterczącym na wysokości do 10 metrów, nieraz. Kręgi te korzeni, płasko rozłożone, czarne, obwieszane szmatami mchów i czarnej ziemi, wśród której gdzieniegdzie dziura jasna świeciła, miały czasami wygląd jakiegoś smoka wąsatego z błyszczącymi oczami, czasami znów zastępowały drogę, jak upiory straszne z rozkrzyżowanymi ramionami, z których zwisały się lachmany całunu. Indziej znów tworzyły się w tym nieładzie zawału głębokie, czarne jaskinie, gotowe dla niedźwiedzi barłogi; to znów wierzchem kłoda zawieszona w powietrzu między dwoma piętrzącymi się groblami, wyglądała jak most indyjski rzucony nad parowem. Kto tego chaosu dzikiej natury własnemu nie oglądał oczyma, temu błady ten opis nie wytworzy nigdy w wyobraźni zbliżonego nawet pojęcia rzeczy. Dość będzie powiedzieć, że nie tylko człowiek, przy największym wysileniu, nie jest w stanie i na dwieście kroków zapuścić się w głąb tej barykady olbrzymiej, zwierzęta bowiem leśne, jak zwinna sarna, która przecież nie lęka się najgęstszych zarośli, tu, przed tym murem zawrócić się musi.

## MIESZKAŃCY PUSZCZY

[...] Największa ze wsi puszczańskich jest Białowieża. Leży w pośrodku puszczy nad rzeką Narewką; terytorium jej ma około 9 wiorst obwodu i stanowi niby ogromną, okrągłą dziurą wśród zbitego czarnego boru. Duża to lecz brzydka wieś; jedna długa i monotonna ulica chat drewnianych i stodół na gołej równinie, zamkniętej dokoła czarną ścianą lasu. Jest tu listowa stacja poczty, jedyna na całą puszcę, raz na tydzień, w piątek, mająca zetknięcie z resztą świata; są też i handelki, gdzie można dostać najniezbędniejsze rzeczy. Przy brzegu Narewki, na pagórku, wznosi się dość duży pałacyk myśliwski drewniany, zbudowany jeszcze przez Augusta III, do którego Stanisław August przybudował jeszcze dwa pawilony. W gmachu tym, niezbyt gustownym, rzadko kiedy zamieszkanym, przechowywane były sieci łowieckie na grubego zwierza. Nad brzegiem też Narewki, między wsią a pałacikiem łowiec-

kim, stoi pomnik w kształcie obelisku, z piaskowca [...].

Lud wiejski zamieszkujący wsie i osady białowiejskiej puszczy, jest mieszany z Litwinów, Rusinów i Mazurów. Zwyczajny ubiór mężczyzny składa się z czarnej, z wełny domorodnie robionej, siermięgi i z łapci, czyli chodaków z lipowej kory na nogach. Kobiety mają strój ogólnie mazowiecki. Strój ten wieśniaczy u mężczyzn i tam już, wśród dziewiczej lasu nawet, zaczyna się mieszać i charakter swój ztracać; oprócz starożytnej siermięgi wielu z nich już robi sobie jakieś kurty z szarej często w czarne pręgi wełny.

Przemysł tutejszego ludu ogranicza się na szczupłym rolnictwie, chowie bydła i pszczoł po ulach i barciach, dostarczających w wielkiej obfitości białego i żółtego miodu. Po raz pierwszy widziałem tutaj narzędzie rolnicze, które znane mi dotąd było tylko z pomników; jest to starożytna socha, cała drewniana o dziwnie długim dyszlu; innego pluga tu nie znają.

Równie pierwotnej mody są tu i uprząże; małe wązkotorowe bryczki, do których najczęściej jeden koń zaprzęgany bywa; wszystko tu z drzewa tylko, ani żelaza, ani postronków ani rzemieni niema; koń idzie pod hołobłą, od której do bryczki idą, jakby postronki przy końcu poskręcane dwie młode brzoźki. Innych nie widać tu ekwipażów, takimi widziałem podróżujących po puszczy działów. Działy te (a tylko niewidomych tu spotykałem) nieraz wcale dobrego posiadają konika i mają wyrostka, jako opiekuna zarazem i stangretę. Ogromne odległości zbytek ten działowski usprawiedliwiają.

Wioska budników przedstawia się lepiej. Chaty obszerne i budynki gospodarskie bardzo schludnie z grubych dylów zbudowane, domy mieszkalne niekiedy gankami opatrzone, wewnątrz czyste i przestronne, o wiele miłsze czyniły wrażenie, niż pospolite chaty ludu polskiego.

Szkoły ani kościoła nie było, ale była niestety karczma. Na szczęście lud ten nie jest pijacki, mniej jednak obronić się umie lichwie żydowskiej. We wsi i naokoło wsi olbrzymie drewniane krzyże, z wrytymi na nich modlitwami, świadczyły o gorącym uczuciu religijnym poczciwego tego i srodze prześladowanego ludu.

Osobliwość, dającą się spotkać na Litwie tylko, stanowili mieszkańcy sami tej wsi (budnickiej), którzy wszyscy nazywali się Sawiccy. Przytaczane w „Panu Tadeuszu” niejednokrotnie, do trzystu nawet mężczyzn liczące rodziny Sopliców, Dobrzyńskich, Mickiewiczów, które dotąd brałem za utwór fantazji poetyckiej, tutaj przedstawiły mi się jako najzupełniej istniejąca rzeczywistość. [...] Należą oni do potomków owych budników, z Mazowsza niegdyś sprowadzonych tu, osadników dla wyrabiania potażu, smoły i terpentyny i obdarzeni od królów przywilejami, które dotąd najstarszy spośród nich patryarcha jako najświętsze przechowuje relikwie. Wszyscy są katolikami, gorąco do wiary ojców przywiązani; mowa ich jest narzecze białoruskie z lekką domieszką polskiego.

Rasa to ludzi jak w całej puszczy piękna, ale zwłaszcza kobiet: wszystkie wysokie, wysmukłe, w ruchach wdzięczne, o oczach i włosach ciemnych. Ubiór kobiet, niczem się nie różniący od szaty mazowieckiej; mężczyźni natomiast w tej części puszczy ubiór swój zupełnie zmienili, tak w kroju, jak i w barwach. Spodnie najczęściej płócienne, w kratki niebieskie drobne, kapota lub kubrak szarej barwy, chodaki z lipowego tyka. W dni świąteczne przywdziewają strój nieco dziwny, składający się ze spodni jak powyżej i z kurty także w kratki niebieskie, lecz z domieszką żółtych i czerwonych, co im nadaje pewne do arlekinów podobieństwo.

Gościnność u nich z wieków ubiegłych jeszcze. Gdym wszedł do chaty Nestora plemienia, Starego Pawluka, po krótkim przywitaniu, postawił na stole gąsiorek lipca, bochenek chleba razowego, którego woń smakowita, kojarząca się z aromatem majowego masła, budziła przecucia rozkoszne. Na próżno byłoby o masle tem prawić: o masle z aromatem traw puszczańskich.

[...] Zacząłem dopytywać o najdziwsze ostępy puszczy. Tego jednak nie mogli zrozumieć. Naraz przyszła mi myśl do głowy: skoczyłem do kuferka i dobywszy „Pana Tadeusza” począłem, aby interlokutorów moich na właściwy trop wprowadzić, czytać im ustęp: „Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy...”

Wieszczu nasz! Może to ja pierwszy zaniosłem w głąb puszczy odludnej twoje nieśmiertelne pieśni? [...]

Szkicowałem zapamiętałe, malowałem portrety poczciwych moich gospodarzów w upominek, sprowadzałem sobie typowych synów puszczy, którzy chętnie pozowali, tylko kobiety broniły się uporczywie, twierdziły, że umrą, jeśli będą namalowane. A miałem już od dawna na oku śliczną jedną Marynę ze sławetnego rodu Sawickich. W rzeczy samej była to jedna z najpiękniejszych dziewcząt wiejskich, jaką kiedykolwiek widziałem, ale też i najoporniejsza do pozowania. Namowy, starania, fortele rozbiły się o upór niepokonany: lękała się śmierci i także wyśmiewania się drugih dziewczyn. [...] „Ziemia” nr 9, 1884 r.

PS: Trudno uwierzyć, że miejscowa dziewczyna miała na imię Maryna (takie imię nie występowało raczej w regionie białoruskim). Również nazwisko Tołścik brzmi wątpliwie. Niewykluczone jednak, że Łaszczynski spotkał się w Zwierzyńcu z łowczym Nowerlym, który miał wówczas długą, siwą brodę i przypominał sławnego w owej epoce rosyjskiego pisarza, wegetarianina i obrońcę ludu – Tołstoja.

**Materiał udostępniony dzięki uprzejmości redakcji miesięcznika Dzikie Życie. (12-1/282-283 Grudzień 2017 / Styczeń 2018).**

**Miesięcznik wydawany jest przez Stowarzyszenie Pracownia na rzecz Wszystkich Istot.**





Stodoły (Stodoll, od 1936 Hochlinden) – niewielka wieś górnosląska, dawna posiadłość cystersów, a dziś dzielnica Rybnika, leżała w latach 1922–39 na granicy polsko-niemieckiej. Zgodnie z postanowieniami konferencji paryskiej z 1919 r. – mieszkańcy Górnego Śląska mieli się opowiedzieć, w jakim państwie chcieliby mieszkać: w Polsce, czy w Niemczech. 20 marca 1921 przeprowadzono plebiscyt, w którym 65% mieszkańców Stodoł wybrało Polskę. Mimo to – Stodoły pozostawiono po niemieckiej stronie granicy. Sąsiednia wieś została przyłączona już do odrodzonej Polski wraz z Rybnikiem. Nową granicę państw określiła decyzja Rady Ambasadorów w Paryżu 20 września 1921 r. Od Stodoł zostały odłączone dawne przysiółki tej wsi a mianowicie: Pniowiec i Olszowiec. Oba dawne przysiółki Stodoł znalazły się po polskiej stronie granicy, co należy tu odnotować, bo na Pniowcu w Chwałęcicach zostały wybudowane polskie budynki Straży Granicznej.

Hitler potrzebował jakiegoś propagandowego usprawiedliwienia ataku na Polskę. Różne służby organizowały więc „bandyckie napady Polaków” na obiekty niemieckie wzdłuż całej granicy. Z kolei oddziały Freikorpsu, wsparte logistycznie z terenu Niemiec, dokonywały zuchwałych ataków na budynki polskiej Straży Granicznej i Celnej, a nawet okupowały wsie przygraniczne w poszukiwaniu powstańców śląskich. Napady rozpoczęły się na przełomie lipca i sierpnia 1939 r., np. Zwonowice i Wilcza zostały opanowane na jeden dzień przez dywersantów niemieckich. Ataki miały na celu spotęgowanie strachu wśród miejscowej ludności. Prasa niemiecka donosiła o „atakach band polskich” na terytorium niemieckim. Prawda wyglądała jednak zgoła inaczej.

### Falstart

25 sierpnia o godz. 5.00 około 100-osobowa banda dywersantów niemieckich zaatakowała i ostrzelała ogniem z broni maszynowej polski posterunek graniczny we wsi Chwałęcice na linii Rybnik-Rudy (Gross Rauden). W tym samym czasie 30 Niemców uzbrojonych w sześć lekkich karabinów maszynowych napadło na budynek Straży Granicznej w Zwonowicach. Ostrzeliwali go przez dłuższy czas. Przed południem tego samego dnia, tj. o godzinie 11.50 oraz o 12.30 Niemcy – w sile odpowiednio 30 oraz 100 ludzi – ostrzeliwali budynki Straży Granicznej w Suminie, Zwonowicach i Chwałęcicach. Wszystkie te polskie wsie podlegały Komisarjatu w Rybniku.

Najważniejszym aktem zuchwalstwa z szeregu incydentów nadgranicznych było zniszczenie budynku polskiej administracji celnej w Chwałęcicach, co z kolei miało wpływ na komplikacje przebiegu późniejszej akcji w Hochlin-

## Nieznany epizod II wojny światowej

**„Stworzę propagandowy powód rozpoczęcia wojny; nieważne, czy będzie on wiarygodny” – zapewniał swoich generałów Adolf Hitler na posiedzeniu sztabu głównego 22 sierpnia 1939 roku.**



*Autor pod dębem*

# Stodoły 1939

## HENRYK POSTAWKA

den (Stodoły), będącej tematem niniejszego artykułu. W nocy z 24 na 25 sierpnia uzbrojona grupa około 20 ludzi na polecenie Abwehry (wywiadu wojskowego), podległej dowództwu Wehrmachtu, przekroczyła granicę na odcinku Hochlinden – Chwałęcice. Grupa ta przerwała linię telefoniczną, która miała zostać wykorzystana wieczorem 25 sierpnia przez inną grupę Niemców, przebranych w mundury polskie.

Tu trzeba przypomnieć, że Hitler wydał dwukrotnie rozkaz do ataku na Polskę. Najpierw wyznaczył datę 26 sierpnia, następnie 1 września 1939 r. Za pierwszym razem rozkaz został odwołany ze względu na podpisanie sojuszu wojskowego polsko-brytyjskiego oraz z powodu braku gotowości

wsparcia przez faszystowskie Włochy. Każdemu z tych rozkazów towarzyszyć miały napady „Polaków” na różne placówki w przygranicznych miejscowościach, tj. w Byczynie (leśniczówka), w Stodołach oraz na radiostację gliwicką. Miejsca te zostały wybrane i zaakceptowane przez samego Himmlera i Heydricha.

W odniesieniu do tych działań możemy więc mówić o dwukrotnych próbach oskarżenia Polski o wywołanie wojny: w dniach 25/26 sierpnia oraz w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 r. O ile prowokacja gliwicka jest powszechnie znana i dobrze opisana, o tyle dużo poważniejsza operacja w Stodołach pozostaje nadal faktem mało znanym. Pierwszą publikacją na ten temat była książka



Mieszkania rodzin celników w Stodołach. Budynek wybudowany prawdopodobnie w latach 1920.

niemieckiego prokuratora Alfreda Spiessa i dziennikarza Heintera Lichtensteina, wydana dopiero w roku 1979. Książkę tę natychmiast przetłumaczono na język polski i dopiero od tego czasu wydarzenia w Stodołach wzbudzają (wciąż mierne) zainteresowanie polskich historyków. Z polskich publikacji na ten temat, poza artykułami w prasie i audycjami w radiu i telewizji, najcenniejszą wydaje się książka Jana Delowicza z roku 2009.

#### Główni aktorzy wydarzeń w Stodołach w sierpniu 1939

Hitler polecił Himmlerowi i Heydrichowi zorganizowanie grupy do wykonania zadania, polegającego na sfingowanym ataku na obiekty niemieckie przy wschodniej granicy państwowej. Taka prowokacja dałaby Hitlerowi skuteczny (propagandowo) pretekst do ataku na Polskę. Heydrich zaproponował plan napadu na urząd celny w okolicach Raciborza z udziałem przebranych agentów SS i SD w polskich mundurach w godzinach nocnych krótko przed atakiem na Polskę.

Na początku sierpnia Heydrich i Himmler przedstawili projekt planu Hitlerowi. Obaj zresztą odwiedzili osobiście m.in. Hochlinden (Stodoły) dwukrotnie w pełnym mundurowaniu, przyglądając

się znad szlabanu granicznego przejściu w Hochlinden i wzbudzając zainteresowanie polskich celników w Chwałęcicach.

8 sierpnia 1939 r. odbyła się narada w siedzibie SD w Berlinie, w której wzięli udział między innymi SS-Obersturmbannführer Otto Helwig, SS-Oberführer dr Otto Rasch, SS-Oberführer dr Herbert Mehlhorn oraz komendant Szkoły Straży Granicznej w Pretzsch SS-Standartenführer dr Hans Trummler. Kilka dni po tej naradzie ustalono plan działania, co tak opisuje Spiess we wspomnianej książce:

*Urząd Celny i owa miejscowość graniczna zostały wybrane bardzo sprytnie. Nowy [niemiecki] Urząd Celny w Stodołach, obsadzony dopiero latem 1939 r., był położony w pewnej odległości od wsi i niemal na granicy, która prowadziła przez wolną przestrzeń. Dobrze widoczną granicę zaznaczono jedynie zwykłym drutem; nie przebiegała ona regularnie. Pas polskiego terytorium wcinął się tak głęboko w niemiecki obszar państwowy, że można było ponad nim ostrzelać budynek Urzędu Celnego, nie opuszczając terytorium Rzeszy. Dalej granica przebiegała wzdłuż rzeczki Ruda. Na jej wschodnim brzegu, należącym do ówczesnego terytorium Rzeszy, znajdował się duży kompleks leśny, zwany Raudener Forst (Las Rudzki). Od miejscowości Stodoły urząd celny oddzielał*

*ziemny wał, tak więc mieszkańcy nie mogli widzieć, co się za nim dzieje. Także polski Urząd Celny leżał na granicy. Był on na tyle oddalony od polskiej wsi Chwałęcice, że jej mieszkańcy nie mogli na czas wkroczyć do akcji; istniała natomiast możliwość odcięcia drogi ucieczki polskim celnikom.*

Szczegóły topograficzne, podane przez Mehlhorna i innych, widać częściowo na mapce. Ukształtowanie terenu oraz warunki geograficzne i polityczne decydowały o planie Heydricha. Powiadomił on również szefa opolskiego Gestapo Schäfera, który (po wojnie) relacjonował plany w ten sposób:

*Dowiedziałem się też, że po rozpoczęciu właściwej akcji będzie trzeba zatelefonować do polskich placówek wojskowych w Rybniku z informacją, że polscy żołnierze uwikłali się w strzelaninę z niemieckimi celnikami na granicy w okolicy Rybnika. Heydrich liczył na to, że na taką wiadomość polskie dowództwo w Rybniku wyśle żołnierzy na granicę.*

Taki plan Heydricha potwierdził również Mehlhorn w swoich zeznaniach:

*Następnie z pozycji wyczekiwania w Raudener Forst rzekoma polska jednostka Hellwiga po przekroczeniu [rzeczki] Rudy i granicy państwowej miała dotrzeć do polskiego urzędu celnego, stamtąd zaalarmować polski garnizon w Rybniku i zwabić w ten sposób polskie*



jednostki przez granicę w kierunku Stodół, gdzie miały zostać uwikłane w prawdziwą walkę przez rozwinięte na pozycjach bojowych jednostki policji.

### Ustalenie haseł

Hasło uruchamiające napad na radiostację gliwicką brzmiało: „Babcia umarła” (*Grossmutter gestorben*), natomiast jednobrzmiące hasła dla Buczyni i dla Stodoł to: „Mały głuszc” (*Kleiner Auerhahn*), co oznaczało pierwszy stopień gotowości – jednostki miały być w gotowości alarmowej i „Duży głuszc” (*Grosser Auerhahn*) – jednostki miały wymaszerować do rejonu koncentracji. Hasło „Agata” stanowiło sygnał do rozpoczęcia akcji w Stodołach i w Buczynie. Na marginesie warto odnotować, że błędne użycie lub nieprawidłowe zrozumienie hasła „Agata” niemal doprowadziło do kompromitacji służb SS podczas akcji 25 sierpnia 1939 r., ale to już inna opowieść. W kilku publikacjach pojawia się również hasło „Eule” (sowa), zapewne jest to jakieś przekłamanie, bo żadne źródło tego nie potwierdza.

### Kanały przepływu informacji

Centrum dowodzenia znajdowało się w Berlinie w siedzibie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Heydricha przy Wilhelmstrasse. Rozkazy następnie były przesyłane do siedziby Gestapo w Opolu. Szef Gestapo Schäfer znajdować się miał podczas samej akcji w budynku straży celnej w Stodołach i pilnować porządku na miejscu jako rzekomy „pracownik straży celnej”. Bezpośrednie rozkazy do dowódców trzech akcji kierowane miały być do placówki Gestapo w Gliwicach, a z tego miejsca poprzez specjalnego gońca na motorze do Sławięcic, Stodoł i Buczyni.

Do przeprowadzenia akcji potrzebne były polskie mundury, które miał dostarczyć Canaris z Abwehry. Dzięki osobistemu zaangażowaniu samego Hitlera – Heydrich otrzymał mundury, choć Wehrmacht nie sprzyjał tej koncepcji. Ponadto Hitler osobiście polecił podpułkownikowi von Frankenbergowi z Wydziału Ia SS (operacyjny) przygotować listę SS-manów do specjalnej misji. 19 sierpnia Frankenberg przygotował listę 364 ludzi, odkomenderowanych do tej potrójnej akcji.

### Szkolenie w Bernau

Szkoleniem miała się zająć Szkoła Sfechtunku SS w Bernau koło Berlina. Dowódcą jednego oddziału miał zostać komendant Szkoły w Pretzsch Hans Trummler, drugiego – Otto Hellwig, komendant Oficerskiej Szkoły Policji Bezpieczeństwa. Ich zadaniem było przygotować 120 wykonawców akcji. Prawdopodobnie duża część z powoła-

nych pochodziła z Górnego Śląska z dobrą znajomością języka polskiego.

Wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym były surowo zabronione. Uczestnicy szkolenia ćwiczyli przede wszystkim język polski, śpiewali, tłumaczyli z niemieckiego na polski, uczyli się drylu, salutowania; celem było upodobnić się do żołnierzy polskich. Wszyscy powołani podpisali zobowiązanie do zachowania całkowitej tajemnicy pod groźbą śmierci.

### Przejazd do Sławięcic

21 sierpnia 1939 roku grupę 80 esesmanów przetransportowano najpierw do Bytomia, a 24 sierpnia pojawili się oni w Sławięcicach. Szeregowych uczestników umieszczono w miejscowej gospodzie, natomiast oficerów u dobrego znajomego Himmlera: w pałacu księcia Maksy Hohenlohe-Oeringen. Wszyscy przebrani byli w drelichy. Osobnym samochodem wieziono mundury i broń polską. Podczas transportu obowiązywał absolutny zakaz wychylania się poza plandekę ciężarówki. 23 sierpnia Hitler po raz pierwszy wyznaczył datę ataku na Polskę: 26 sierpnia przed świtem. To oznaczało, że akcja w Stodołach powinna zostać przeprowadzona w nocy z 25 na 26 sierpnia, tuż przed wkroczeniem Wehrmachtu do Polski.

### Akcja „Puszka konserw”

Integralną częścią przygotowań była akcja „Puszka konserw” (*Konservedose*), czyli wyselekcjonowanie i transport więźniów obozu koncentracyjnego Sachsenhausen do Stodoł i Buczyni. Więźniowie tego obozu byli jedynymi ofiarami prowokacji w Stodołach. W wielkiej tajemnicy wybrano więźniów kryminalnych oraz politycznych z przeznaczeniem do likwidacji podczas tej akcji. W kartotece miało pozostać odnotowane „Konservedose”.

Po nieudanej pierwszej akcji w Stodołach 26 sierpnia, więźniowie wrócili

do obozu. Natomiast po drugiej akcji stodołskiej (z 31 sierpnia) 6 więźniów tego obozu miało już nie powrócić, bowiem specjalnymi limuzynami przetransportowano ich do Stodoł, po drodze zaaplikowano im zastrzyki zwiotczające, by w końcu ich zastrzelili. Zadanie polegało na biernym odegraniu roli „polskich dywersantów” podczas napadu w Stodołach. Tam zostali zabici.

### Gdzie pochowano „konserwy”?

Ciekawa jest historia ofiar akcji „Puszka konserw”. Autor artykułu, znając teren leśny wokół Stodoł, przeprowadził rekonesans w terenie i doszedł do następujących wniosków. Nazajutrz po drugiej akcji, tj. 1 września, esesmani wrócili ze Sławięcic do Stodoł. Po uzyskaniu informacji, że najbliższy cmentarz znajdował się w Rudach przy kaplicy św. Magdaleny, podjęto decyzję pozbycia się zwłok w lesie za Stodołami. Ciężarówka – z esesmanami w jednym pojeździe i z „konserwami” w drugim – skręciły w pierwszą drogę na lewo, tuż za Stodołami. Po przejechaniu 200 do 300 metrów esesmani zakopali zwłoki w lesie w odległości 20-30 metrów od duku leśnego, prawdopodobnie po prawej stronie. Zakopano ich w lesie, zwanym Pod Mokrym, pomiędzy Drogą Borową, kolejką wąskotorową i szosą do Rud.

Na sfinansowanym śledztwie, prowadzonym bezpośrednio przez berlińską centralę, szybko zakończono sprawę. Jednak – jak pisze Dennis Whitehead – miejscowy Bürgermeister Stodoł [Paul Kura], złożył skargę bezpośrednio do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa w Berlinie. W rezultacie przeprowadzono ekshumację i pochowano szczątki ofiar w nowym, ukrytym miejscu. Dziwi mnie to, bowiem Spiess nic nie wspomina o ekshumacji. Muszę jednak odnotować, że tym problemem nie zainteresował się dotychczas żaden zawodowy historyk polski ani niemiecki. Groby „Konserw” (pierwszy i drugi) mogą wciąż kryć ważne tajemnice.



## Nieudana akcja w nocy z 25 na 26 sierpnia 1939

W rozdziale *Falstart* była mowa o chaosie, spowodowanym akcjami różnych oddziałów (Abwehra, Freikorps) w rejonie Rybnika. Każdy wiedział, że „coś” trzeba zrobić, ale działania różnych służb i oddziałów ochotniczych nie były skoordynowane i nawet kolidowały z operacją główną, o której niżej.

Goniec na motocyklu przywiózł hasło rozpoczęcia akcji w Stodołach 25 sierpnia o godz. 22.00. „Polski” oddział Hellwiga miał się załadować na dwie ciężarówki. Przesłuchiwanie po wojnie członkowie tego oddziału po dotarciu na miejsce zauważyli przy skręcie na polanę 10 limuzyn (mercedesów), w których znajdowały się „Konserwy”. Na podstawie wielokrotnych wizji lokalnych – biorąc pod uwagę wzrastanie drzew i gospodarkę leśną – sędzę, że wymarsz nastąpił prawdopodobnie z polany między Paprocią a Stodołami nad rzeką Rudą.

Oddziały „celników” Trummlera oraz „polskich” dywersantów Hellwiga szły wzdłuż rzeki Rudy w kierunku Stodół, gdzie się rozdzieliły. Oddział Trummlera odbił na urząd celny, a grupa Hellwiga szła dalej wzdłuż młynówki (lewej odnogi rzeki Rudy), która stanowiła jednocześnie granicę państwową, począwszy od Chwałęcic. (Uwaga. Na publikowanych dotychczas planach napadu nie zaznaczano przebiegu młynówki!). Kilkaset metrów od urzędu celnego Hellwig oczekiwał hasła „Agata”. Z niewiadomych przyczyn podjął decyzję o wkroczeniu na terytorium polskie, gdy nagle nadjechał motocyklista z rozkazem odwołania akcji. Nie wiadomo dlaczego Hellwig (po otrzymaniu rozkazu wycofania się) kazał oddać strzałę w kierunku przejeżdżającego polskiego samochodu ciężarowego.

Mylnie twierdzi Delowicz, że Hellwig zaatakował polski urząd celny w Chwałęcicach. Z analizy publikacji Spiessa wynika, że „polscy” esesmani ostrzelali samochód ciężarowy, który przejeżdżał od urzędu celnego w Chwałęcicach do granicy lub odwrotnie. Całe zamieszanie spowodowane było odwołaniem ataku na Polskę 25 sierpnia przez Hitlera, gdy cała ekipa czekała na rozpoczęcie operacji. Zamiast hasła „Agata” było odwołanie.

Nazajutrz w Berlinie Heydrich odwołał Hellwiga i Mehlhorna. Do Stodół przed drugim atakiem na Polskę 1 września wyznaczono następnych dowódców. Całością dowodził od teraz dr Trummler, który od razu wybrał tylko 40 esesmanów. Poza tym nie należało dopuścić do konfrontacji z prawdziwymi Polakami w razie podobnej sytuacji jak 25 sierpnia. Dowodzenie „polskim” oddziałem przejął Karl Hoffmann.

### Powtórka 31 sierpnia

32

31 sierpnia dowódca oddziału w Sławęcicach otrzymał hasło „Mały



Głuszczyk”. Dr Trummler razem z Karlem Hoffmannem udali się do Stodół. Przed wsią skręcili w las i wzdłuż rzeki ruszyli w stronę budynku celnego w Hochlinden. Tym razem nie było mowy o wypadku za granicę. Część esesmanów w strojach Straży Granicznej zatrzymała się w restauracji Żyły (centrum wsi), co potwierdziła córka Waleśka Żyła. Mówiła ona, że słyszała strzały na krótko przed wybuchem wojny.

Podczas napadu „polskich żołnierzy” na niemiecki urząd celny, uczestnicy powinni mówić wyłącznie po polsku. Na lewo od drogi do granicy powinni zachowywać się głośno. Mają śpiewać pieśni antyniemieckie i polski hymn narodowy. W języku polskim wymyślać na Niemców, wznosić okrzyki: „Niech żyje Polska”, „Precz z Niemcami”. Powinni strzelać w powietrze. Po dojściu do niemieckiego urzędu celnego należy go zniszczyć całkowicie, a inwentarz zrabować. Niemieccy urzędnicy, znajdujący się przed urzędem celnym, mają być zastrzeleni. Tylko jedna osoba w budynku ma być pozostawiona w spokoju. Chodziło o (ryzykującego wiele) Emanuela Schäfera – szefa polskiego Gestapo.

Upozorowany atak na budynek celny w Stodołach powinien być zacząć się 1 września 1939 o godz. 4.00. W tym czasie drużyna funkcjonariuszy przebranych w polskie mundury gotowa była do rozpoczęcia sfingowanego ataku. Prowadząc silny ogień, strzelając w powietrze, robiąc hałas z przekleństwami i rozkazami wydawanymi w języku polskim, natarli na budynek Urzędu. Wybili szyby w oknach, wyłamali drzwi, strzelali w dach. Od pocisków spadły dachówki. Wewnątrz kolbami demolowali wyposażenie. Z drugiej strony żołnierze niemieckiej Straży Granicznej przybyli na czas i wzięli „polskich” żołnierzy

do niewoli. W tym czasie, gdy esesmani w polskich mundurach zajęci byli demolowaniem, niezauważona grupa gestapowców przywiozła ciała tzw. „Konserw”, czyli więźniów przebranych w polskie mundury. Jeszcze nocą wykonano zdjęcia „polskich agresorów” i wysłano je natychmiast do Berlina.

Podczas gdy po godz. 4.00 toczyła się sfingowana akcja w Stodołach, powoli w stronę granicy ciągnęła już V Dywizja Pancerna Wehrmachtu od Rud. Centralny organ NSDAP „Völkischer Beobachter” donosił: „Jak dotychczas ustalono ponad wszelką wątpliwość, że została zaatakowana Byczyna w pobliżu Kluczborka. Inny atak – na Stodoły – jeszcze trwa”. Nazwa Hochlinden była w tym kontekście podawana błędnie.

### Gdzie pochowano „konserwy”?

Pierwsze sześć ofiar z obozu Sachsenhausen pochowanych w ukryciu w lesie za Stodołami nie doczekało się identyfikacji, choć znamy nazwiska oprawców – autorów tej mistyfikacji. Najbardziej nieprawdopodobna wydaje się wiara nazistów w sens całego przedsięwzięcia. Akcja została zakończona około 4.30, gdy wojska Wehrmachtu już czekały nad granicą. Ochotnicy z Freikorpsu zaatakowali równocześnie posterunek graniczny w Chwałęcicach. W Bogunicach przez zieloną granicę wojska niemieckie wkroczyły niepokojone przez nikogo na tereny państwa polskiego.

Czy ofiary prowokacji stodołskiej wciąż leżą zakopane w bezimiennej mogile? Czy akcja w Stodołach jest znana historykom – nauczycielom z Rybnika i okolic? Czekają nas sporo pracy, by wyjaśnić wszystkie tajemnice Ziemi Rybnickiej. Czy znamy ofiary? Lista 12 więźniów KL Sachsenhausen wytypowanych do akcji w Stodołach i Gliwicach, którzy wówczas zginęli, może zawierać nazwiska 4 więźniów, podane przez Spiessa. Notuje on za świadkiem, który przeżył wojnę, imiona bez nazwisk z miejscem urodzenia. Udało się ustalić nazwisko jednego z nich, Harry von Borgen ur. 21.11.1904 r. w Altonie (dzisiejszy Hamburg; Altona to siedziba ostatniego rządu antyfaszystowskiego Republiki Weimarskiej). W księdze zmarłych brak daty śmierci!

Jarczewski A., *Provokado*, Gliwice 31.08.1939, Muzeum w Gliwicach, 2008.

Spiess A., Lichtenstein H., *Akcja „Tannenberga”*. Pretekst do rozpętania II wojny światowej, Warszawa 1990.

Delowicz J., *Ziemia Rybnicko-Wodzisławska i jej mieszkańcy w wojnie obronnej 1939 roku*, Zory 2009.

Whitehead D., *The Gleiwitz Incident*, [w:] „After the Battle” nr 142, 2008.

Plan „prowokacji stodołskiej”  
– na str. 33





ALEKSANDRA DĘBIŃSKA

# Bielski Festiwal Sztuk Wizualnych

**B**ielski Festiwal Sztuk Wizualnych to wydarzenie, które, miejmy nadzieję, na stałe wpisało się w kanon imprez w Bielsku-Białej powiązanych z szeroko pojmowaną sztuką. 29 czerwca 2018 r. w Bielsku-Białej odbyło się uroczyste rozpoczęcie czwartej już edycji Festiwalu zorganizowanego przez Galerię Bielską BWA przy współpracy z Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej, Fundacją Centrum Fotografii oraz Związkiem Polskich Artystów Plastyków Okręg Bielsko-Biała. W wydarzeniu bierze udział około 200 artystów z Bielska-Białej oraz okolic miasta. Mimo tego, że w tym roku wyraźnie dominuje malarstwo, podczas wydarzenia odbiorcy zetkną się z wszystkimi kategoriami sztuk wizualnych, takimi jak: rzeźba, instalacja, fotografia czy obiekty łączące kilka form na przykład słowo z przedmiotem rzeczywistym. Festiwal objął patronatem Prezydent Miasta Bielska-Białej, Jacek Krywult. Wystawie towarzyszy również katalog – zbiór informacji na temat bielskiego środowiska plastycznego.

Otwarcie festiwalu było niezwykle tajemnicze. Goście już niemalże po przekroczeniu progu Starej Fabryki wciągnięci zostali w performans Agnieszki Gołaszewskiej, który pozwałam sobie zinterpretować jako nawiązanie do wszechobecnej inwigilacji. Ciemność, błysk lampki oświetlającej zaledwie twarze, instalacja przypominająca bramki na lotnisku oraz towarzyszący temu rytm wybijany na bębnie niewątpliwie wzbudził w odbiorcach wiele różnorodnych emocji. Następnie, po wprowadzeniu przybyłych gości w swoisty nastrój, nastąpiło rozdanie nagród. Nagrodzona została Teresa Sztwiertnia. Artystka za pracę *Obrona Terytorialna Kraju* z 2017 roku otrzymała nagrodę główną ufundowaną przez Prezydenta Miasta Bielska-Białej, Jacka Krywultę. Jury zwróciło uwagę na „precyzyjny rysunek, iluzjonistyczne modelowanie głębi, pastelową kolorystykę, tematykę określaną jako realizm magiczny” obecne w pracach artystki. Krystyna Nikiel za obraz *Kamuflaż*, który pochodzi z cyklu pracy dyplomowej artystki, otrzymała nagrodę od sponsora wystaw, firmy Aqua SA. Przyznane zostały również cztery Nagrody Specjalne Festiwalu w postaci zaproszenia do wystaw indywidualnych. Dyrektor Galerii Bielskiej BWA, Agata Smalcerz, wyróżniła fotograficzkę, Joannę Chudy. Zwróciła uwagę na minimalizm towarzyszący zdjęciom artystki skonstrastowany z intensywnymi kolorami. Prezes Fundacji Centrum Fotografii oraz znawca sztuki, Inez Bature, nagrodziła Małgorzatę Fober, również fotograficzkę. Piotr Wisła, grafik, malarz, twórca logo czwartej edycji Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych, został wyróżniony przez Iwonę Purzycką, dyrektor Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej. Ostatnia nagroda powędrowała do Ewy Bergel, autorki tkaniny zatytułowanej *Portal*. Nagroda została przyznana przez Mirosława Mikuszewskiego, prezesa Bielskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Jednakże różnorodność prac jest naprawdę ogromna. Każda z nich prezentuje całkowicie inną wizję artystyczną, nie sposób ich zatem przywoływać, wybierać spośród tak wielu. Wszystkie obrazy, rzeźby, instalacje, itp. zasługują na oddzielny artykuł, który zawierałby próbę interpretacji czy chociażby sam opis danego dzieła. Idealnie pasują tu słowa Agaty Smalcerz, dyrektor Galerii Bielskiej BWA, zamieszczone we wstępie do wspomnianego katalogu: „Każda praca mówi coś o jej twórcy i o świecie, który go otacza. Język plastyczny nie ma swojego jedyne alfabetu. Może to być język abstrakcji, geometrii, metafory, realizmu, surrealistu. Niektóre prace pod-

dane są rygorowi struktury, w innych kompozycja jest swobodna, ekspresyjna. Są prace mimetyczne, odzwierciedlające rzeczywiste przedmioty czy pejzaże, są portrety mniej lub bardziej przekształcone czy uniwersalizowane, są prace skupiające się na własnym medium. Obok nieruchomych obrazów, których wnikliwe obejrzenie zależy tylko od wrażliwości widza, pojawiają się filmy czy prace wideo, na których poznanie w całości trzeba przeznaczyć określoną ilość minut”.

Przegląd dorobku artystów podziwiać można w galeriach oraz muzeum w Bielsku-Białej. Dzieła znajdują się w Galerii Bielskiej BWA, Muzeum Historycznym Starej Fabryce, Galerii Fotografii B&B, a także Galerii PPP. Oprócz tego aż do 26 sierpnia 2018 r. trwają różnorodne, niezwykle interesujące wydarzenia towarzyszące Festiwalowi. Dla przykładu 7 lipca br. odbiorcy ciekawi sztuki mogli podziwiać ją w dość niecodziennej przestrzeni. Na Szyndzielni miał miejsce wernisaż wystawy Beskidzkiego Towarzystwa Fotograficznego BTF 2017. Nieco później w dawnym schronisku na Dębowcu odbiorcy zetkną się mogli z projektem „Etno” Beaty Bojdy.

Co więcej, pierwszy raz w historii wydarzenia artyści wyszli naprzeciw odbiorcom sztuki i zaprosili ich do swoich pracowni, a zatem do miejsc, w których na co dzień tworzą, poddają się swojej wnie twórczej. Dni Otwartych Pracowni odbyły się w dniach 13-14 lipca br. Była to świetna inicjatywa pozwalająca zainteresowanym lepiej zapoznać się ze sztuką, z etapami jej wytwarzania oraz wizjami konkretnych artystów. Dodatkowo całość połączona była z możliwością stworzenia własnego dzieła pod czujnym okiem specjalisty.

Swoje miejsce pracy jako pierwsi zaprezentowali Tamara Berdowska oraz Leszek Oprządek. Z entuzjazmem opowiedzieli o tym, w jaki sposób patrzą na sztukę, którą sami kreują oraz jak przebiegają ich procesy twórcze. Jak sami twierdzą, całkowicie się od siebie różnią, a przez to uzupełniają. Podczas gdy Leszek Oprządek potrafi stworzyć rzeźbę niemalże z każdego materiału, Tamara Berdowska poddaje się aktom twórczym niczym inicjacji szamańskiej, bez reszty odcinając się od otaczającej ją rzeczywistości. Kolejną pracownią, do której mogliśmy zawitać było SOWA Studio. Właścicielka, Izabela Ewa Ołdak, to artystka, która specjalizuje się w tworzeniu mandali oraz hipnotyzujących obrazów. Jej pracownia to przestrzeń, która, jak sama twierdzi, służy odkrywaniu samego siebie oraz rozwijaniu naszych wewnętrznych, niejednokrotnie ukrytych talentów. Spędzenie czasu w tym magicznym, wypełnionym aromatem kadzideł miejscu było czystą przyjemnością. Remigiusz Gryt oraz Aleksandra Chmiel (Pracownia Ceramiki Keramos) także mile nas zaskoczyli, umożliwiając stworzenie własnego naczynia na kole garncarskim. Ostatnim punktem Dni Otwartych Pracowni była pracownia Bo Jaroszka, Galeria Foto-Bo. To właśnie tam powstało wiele dzieł fotografa. To tajemnicze miejsce niesie z sobą ślady różnorodnych procesów twórczych, o których skromnie opowiadał sam twórca.

Wśród festiwalowych imprez mieści się również panel dyskusyjny z udziałem artystów uczestniczących w Festiwalu, który odbył się 3 sierpnia br. w Galerii Bielskiej BWA. Wydarzenie połączone było z premierą katalogu.

Bielski Festiwal Sztuk Wizualnych to wydarzenie nietuzinkowe. Bez wątpienia porusza wiele zagadnień, ukazuje wielość sposobów patrzenia na sztukę, która przecież jest tak szeroko definiowana.

# Etnografia „fałszywego świadectwa”

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

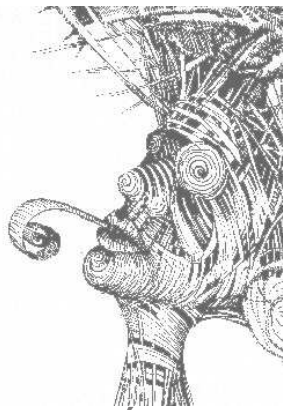
**Dziś** o mowie nienawiści ustawicznie wypowiadają się różnego rodzaju autorytety, zarówno prawdziwe, jak i te „zadekretowane”. Przestrzegają przed tą zgorączyłą zjawiskiem naszych czasów. Piszą o tym zjawisku socjolog, antropolog, politolog, publicyści. Jedni piszą „uczenie”, inni kompetentnie i uczciwie. Jest to temat modny, ale nader często zastępczy. A najczęściej jest swoistego rodzaju zasłoną dla czegoś innego, co wyrasta nie z przemysłu, czy wrażliwości serca a wyznawanej ideologii. Cokolwiek powiedzieć o mowie nienawiści to z całą pewnością zgodzimy się ze stwierdzeniem, że są to wypowiedzi negatywne, a nawet skrajnie negatywne. I zawsze emocjonalne. Są przejawem panujących stereotypów, dyskryminowania i negowania wszelkiej inności a tym bardziej obcości. O ważności problemu – czy może potrzebie poprawności politycznej – świadczy definicja mowy nienawiści podana przez Radę Europy. Głosi ona, iż termin ten określa „wszystkie formy ekspresji, które rozpowszechniają, podlegają, wspierają lub usprawiedliwiają nienawiść rasową, religijną, ksenofobię, antysemityzm lub inne formy nienawiści wynikające z nietolerancji, łącznie z nietolerancją wyrażoną za pomocą agresywnego nacjonalizmu i etnocentryzmu, dyskryminacją i wrogością wobec przedstawicieli mniejszości, imigrantów i osób obcego pochodzenia”. A my – czyli jak to mówi Teresa Hołowska, „szarzy ludzie” – uważamy, iż mowę nienawiści uprawiają inni. To znaczy politycy, dziennikarze, celebryci, aktorzy, biznesmeni... Ale przecież mowa nienawiści kształtuje nasze wyobrażenia. I tu kojarzy

mi się przypisywane Sokratesowi stwierdzenie, iż „Wielkie umysły rozmawiają o pomysłach, średnie o wydarzeniach, a małe o ludziach”. Zaś Eleanor Roosevelt ponoć dodawała, że mówienie o ludziach sprowadza się zazwyczaj do ich obmawiania. I tu rodzi się jeszcze inne skojarzenie. Z czym? Konkretnie z dawną etnografią, która u swego zarania – ale i później – zajmowała się tradycją, zwyczajami, obrzędami, obyczajami. A więc zachowaniami znormalizowanymi kulturowo, czyli czymś typowym. Bogata literatura dotycząca tych kwestii dostarcza nam sporo wiedzy o polskich realiach, o kulturze, o wartościach. A teksty pieśni chłopskich czy robotniczych obsługujące owe zwyczaje informują o ostrej linii demarkacyjnej między prawdą a fałszem. A zatem pisząc o etnografii „fałszywego świadectwa” warto zwrócić uwagę na to, że wiele współczesnych zachowań to ustawiczna obmowa, pomówienie, oczernianie, oszczerstwo, poniżanie i zniesławianie. A jak na to reagują ci, dla których bliska jest religia? Czyżby zapomnieli, że istnieje ósme przykazanie, które głosi: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Skąd się bierze u nas przekonanie, iż obmowa nie jest czymś nagannym. Przecież w ten sposób skazujemy tych, których oczerniamy na cierpienie. I zauważmy, że uprawiając owe zniesławianie innych tworzymy swoistego rodzaju naszą wspólnotę katów.

Czyżby to był dziś wzór zachowania części z nas? Przecież mamy aż nadto dużo przykładów, że z lubością i zajadłe mówimy źle o sąsiedzie, o pani z warzywniaka, o listonoszu.

Ale przyznajmy, że najchętniej obmawiamy i oczerniamy także najbliższych, dobrych znajomych a także przyjaciół. To dziwne, nacechowane złością zachowanie dotyczy także sfery rodzinnej. Wrogiem staje się dla nas siostra, która ze względów moralnych nie godzi się na pewnego rodzaju działania, czy rodzice, którzy nie chcą zgodzić się na kolejną funkcję usługową, czy może niewolniczą wobec swoich dzieci. Zostawmy jednak prezentacje dalszych przykładów. No, może poza jeszcze jednym. W zakładzie pracy odchodzi stare kierownictwo. Z godziny na godzinę demonstrujemy im naszą niechęć. To obłuda? No bo przecież przez całe lata przełożonych akceptowaliśmy, a dziś kiedy odchodzą nawet nie potrafimy im podziękować, a niepodanie im kwiatów jest po prostu dowodem naszej „uczciwości i odwagi”. No cóż, tacy jesteśmy. Mowa nienawiści to domena innych. My korzystamy tylko z klasycznych środków, takich jak: wspomniane obmawianie, oczernianie. A jeśli do tego dodamy jeszcze, że możemy skorzystać z hejtowania w Internecie to przyznajmy, że dysponujemy bronią niewyobrażalnie silną i skuteczną. Jakże w tym kontekście wydaje się być niedzisiejszy ów papież z Ameryki południowej gdy przestrzega i upomina, że naruszanie ósmego przykazania jest grzechem. Jeśli jesteśmy przy wspomnianej etnografii to z całą pewnością – ta dawna i współczesna – dostarczą nam bogatego materiału, który ilustruje sposób naszego dawnego godnego zachowania. Zatem warto zastanowić się nad wartościami realnie wyniesionymi z domu. Przecież każdy współczesny górnośląski dom to określona tradycja, ta lokalna, jak i ta kresowa, czy tradycja tych, którzy przybyli tu w poszukiwaniu pracy. Zwróćmy się zatem do naszych przodków. Nie zachowujmy się tak, jak pewien mój znajomy, który w gronie rodziny ordynarnie krytykował swojego zmarłego ojca. Za co? Za to, że miał inne poglądy polityczne. A potem obmawiał go także wśród innych, tak naprawdę – człowieka pracowitego, rodzinnego, wypędzonego z Kresów. A jak reagować na tego, który z ironią śmieje się z Górnoślązaków jako wice-Zydów. Zatem krytykujemy takie pełne hipokryzji postawy. Twórzmy wspólnotę niezgody na takie obłudne działania. W przeciwnym razie stworzymy i utrwalimy swoistego rodzaju normę społecznego przyzwolenia na czynienie Zła.





ŚLĄSKA  
OJCZYZNA  
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

# Płonki, wieprzki i świętojanki

Kiedy przed paroma tygodniami odbywałem spotkanie z mieszkańcami Wiszni Małej, położonej między Wrocławiem a Trzebnicą, nie mogłem im nie powiedzieć, że nazwa ich miejscowości odpowiada brzmieniowo pierwotnej postaci dzisiejszej wiśni, którą właśnie była wisznia. Zdecydowała się do niej nawiązać w roku 1945 Komisja Nazewnicza Urzędu Rady Ministrów, dysponująca zapisami *Wisna* z roku 1300 i *Wisna* z roku 1337.

Gdy z kolei mówię o *Trzemesznie*, starym grodzie wielkopolskim leżącym koło Gniezna, przypominam o jego pierwotnej formie *Czrzemeszno* – utworzonej przyrostkiem – *no* od wyrazu *czrzemcha*, którego odpowiednikiem we współczesnym języku jest *czerechcha*, a w gwarach wielkopolskich *trzemcha*. Zmiana *Czrzemeszna* na *Trzemeszno* to rezultat ogólnej zmiany grupy spółgłoskowej *czrz* na *trz*: również prymarna *czrzoda* zmieniła się na dzisiejszą *trzodę*, *czrzon* na *trzon*, *czrzop* na *trzop*, a *czrześnia* – na *trześnię* (por. nazwy miejscowości: *Trześń* w pow. tarnobrzesckim i *Trześnia* w pow. strzeelińskim). Obecne brzmienia *czerechcha*, *czereśnia*, *czerep* zostały wprowadzone koło XVII wieku pod wpływem ruskim. Nazwy *Trzemeszno*, także *Trzemesnia* (dawniej *Czrzemeszna*) – koło Myślenic, *Trześń*, *Trześnia* są, oczywiście, określeniami topograficznymi, oznaczającymi miejsce, gdzie rosła *czerechcha*, *czereśnia*.

Snując powyższe rozważania, biegę myślami do śląskich gwar, w których też funkcjonują nazwy owoców różniące się od słów stan-

dardowych, ogólnopolskich. Zaczniemy od *płonki* (*plónki*) – „jabłoni” („Latoś nóm plónki piyknie łobrodziły” – czytamy na str. 187 *Małego słownika gwary Górnego Śląska* z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec), „jabłka” („Majóm te plónki chroboki?” – tamże).

W pierwotnym znaczeniu natomiast – „drzewa płonnego, które nie rodzi owoców” – używa się *płonki* (*plónki*) w południowych stronach Śląska: „Muszymy sie na jesiyń nowe strómki (=drzewka) posadzić, bo te stare to sóm same plónki” (tamże). Informują również o *płonce* „drzewie płonnym, dziczcze” teksty staropolskie, np. „Z nasienia popolicie płonka się rodzi, a nie drzewo domowe” (Piotr Krescentyn: *Księgi o gospodarstwie*, Kraków 1549).

Chociaż ogólny *agrest* ma swoje fonetyczne warianty śląskie w postaciach *angryst*, *hangryś*, to przecież znane są również leksykalne warianty *sztachłoki* i *wieprzki*: „Nażar (ł) sie zielónych sztachłoków i rażno (=biegunka) go wziyna”, „Łoboc ino, eli wieprzki już dożrzały w łogródku”, „Zaprawiłach sztyry krauzy (=słoiiki) wieprzków” („Mały słownik...” str. 250, 282).

*Sztachłoki* to nawiązanie do niemieckiego wyrazu *Stachelbeere* – z charakterystyczną typologiczną substytucją: od niemieckiego złożeniu *Stachel* + *beere* urobiono przyrostkowy derywat *sztachłoki*. *Wieprzki* z kolei są leksykalnym skojarzeniem kształtu owocu *agrestu* z *wieprzkiem* „wieprzem, świnia”.

Niemiecka forma złożona *Johannisbeere* – „porzeczeki” – także ma swoje derywowane śląskie odpowiedniki w postaciach *świyntojonki*, *wiyntojonki*, *johanki*, *hanyskiś* („Słownik gwary śląskiej” z roku 1996 Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich). *Świętojanki* – dopowiedzmy – są znane również poza Śląskiem.

Na koniec przywołajmy jeszcze śląskie odpowiedniki ogólnopolskich *poziomek* i *truskawek*. Są to: *pozimki*, *pozim*, *podzimki* (czyt. pod-zimki lub podzimki), *bodzinki*: „Jak jo rada jym kómpot z podzimków”, „Mocie w łogródku pozimki?” (*Mały słownik...*, s. 191, 197).

A skoro zaczęliśmy dzisiejszy odcinek od *Wiszni Małej*, dopowiedzmy, że spośród drzew owocowych szczególnie produktywna jako podstawa słowotwórcza nazw miejscowych jest *jabłoń*. Mamy przecież *Jablonkę*, *Jablonną* (lub *Jablonnę*), *Jablonowo*, *Jabłoń* – tak jak do najpopularniejszych nazwisk w Polsce należy *Jabłoński*, do którego możemy dodać formy *Jabłonowski*, *Jabloniecki*, *Jablonkowski*, *Jablonka*, *Jablkiewicz*, *Jabczyk*, *Jabłczyński*, *Jabczyński*, *Jabłokow*, *Jabłuszko*, *Jabłuszewski*.

Ciekawe, że *grusza*, *gruszka* – sporadycznie będąca podstawą nazw miejscowych (*Gruszów*, *Gruszczycy*, *Gruszczyno*) – odznaczała się silniejszą produktywnością w tworzeniu nazwisk: *Grusz*, *Gruszak*, *Gruszek*, *Gruszowic*, *Gruszowiec*, *Gruszy*, *Gruszyca*, *Gruszyna*, *Gruszka*, *Gruszkiewicz*, *Gruszczyc*.

**O**d jesieni będziemy mieć nową panią dyrektor w NOSPR. Nazywa się Ewa Bogusz-Moore, jest menadżerem kultury, a także wiolonczelistką – absolwentką Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu. Zastąpi Joannę Wnuk-Nazarową – nazywaną w mediach już dziś „legendą NOSPR”. Joanna Wnuk-Nazarowa – kompozytorka (absolwentka klasy Krzysztofa Pendereckiego w uczelni krakowskiej), pedagog muzyczny, minister kultury i sztuki w rządzie Jerzego Buzka (1997-1999) prowadziła NOSPR przez 18 lat jako dyrektor naczelna i artystyczna, współpracując z Gabrielem Chmurą, Michałem Klauzą, a ostatnio Alexandrem Liebreichem jako pierwszymi dyrygentami. Jej udział – najpierw jako ministra, następnie dyrektor katowickiej orkiestry, w niezwykle ważnych przedsięwzięciach, jakimi były nadanie katowickiej „radiówce” statusu instytucji narodowej (1999) oraz przeprowadzka do nowej siedziby (2014), przesądził o ich sukcesie. Polskie środowisko muzyczne jest jej wszelako zobowiązane w pierwszym rzędzie za uruchomienie i konsekwentne rozwijanie bezkonkurencyjnej w skali światowej akcji promowania rodzimej twórczości. Nie bacząc na trendy związane z globalizacją, likwidacją barier czy „urynkowaniem”, które zdominowały polską politykę kulturalną przełomu stuleci, Wnuk-Nazarowa zaczęła ukierunkowywać NOSPR na współczesną muzykę polską. Zaczęło się od wykonania nowych utworów Krzysztofa Pendereckiego i Witolda Lutosławskiego w ramach koncertów abonamentowych, następnie przyszła kolej na dzieła Wojciecha Kilara i Henryka Mikołaja Góreckiego. Jeszcze w starej siedzibie przy placu Sejmu Śląskiego odbyły się pierwsze mini-festiwale dzieł tych kompozytorów, zaopatrzone w atrakcyjne, przyciągające publiczność nazwy: „Maraton twórczości Henryka Mikołaja Góreckiego”, „Dzień Kilara”, „Noc Kilara”. W roku 2004 zorganizowano wspólnie z PKP serię objazdowych koncertów pod nazwą „Pociąg do muzyki Kilara”. Autentyczny pociąg wiozł muzyków NOSPR ze Lwowa – rodzinnego miasta kompozytora do Częstochowy. Zatrzymywano się na dworcach i tam grano koncerty. Dwa lata później NOSPR-owicze wsiedli w Gdyni – rodzinnym mieście Wnuk-Nazarowej – na statek Dar Młodzieży, by odbyć podróż koncertową do portów bałtyckich.

W roku 2005 Wnuk-Nazarowa zorganizowała pierwszy festiwal no-

## Między nutami

MAGDALENA DZIADEK



# Koniec epoki

wych dzieł kompozytorów polskich pod nazwą Festiwal Prawykonania NOSPR. Ta zorganizowana z wielkim rozmachem impreza, obejmująca koncerty symfoniczne i kameralne i przyciągająca polskich kompozytorów wszystkich pokoleń, tworzących w kraju i za granicą, rychno stała się najważniejszym forum prezentacji współczesnej polskiej twórczości muzycznej. W tej funkcji z powodzeniem zastąpiła „Warszawską Jesień”, która w ostatnich dekadach stała się festiwalem, by tak rzec, mało-polskim. Ideą Festiwalu Prawykonania było udostępnienie estrady radiowej orkiestry wszystkim polskim autorom nowych dzieł, niezależnie od ich wieku, pozycji w środowisku, czy preferowanej estetyki. Impreza niezwykle pomogła autorom młodemu oraz tworzącym za granicą, nie mówiąc już o jej sukcesie towarzyskim. Przedtem jedynie w okolicach „Warszawskiej Jesieni”, tudzież w ramach odbywających się co cztery lata Walnych Zebrań Związku Kompozytorów Polskich polscy twórcy mieli okazję spotkać się w większej grupie. Przy Festiwalu Prawykonania tego rodzaju okazji było do woli; również i słuchacze mogli wreszcie zobaczyć, jak wygląda „w realu” ten i ów

kompozytor, czy krytyk. W starej siedzibie NOSPR – „Białym Domu” atmosfera była nieco sierniasta. Zamiast kadzidel wachaliśmy opary z kuchni restauracji Hipnoza, a do toalet i szatni schodziło się po z roku na rok coraz bardziej zdezelowanych schodach, omijając straszące pustką galerie sztuki (jedna z nich nazywała się właśnie Pusta). Po przeprowadzce na Plac Wojciecha Kilara zrobiło się bardziej elegancko, ale i – dzięki pani Joannie – bardziej przyjaźnie, swojsko, domowo. „NOSPR to dom polskich kompozytorów” – brzmiało ulubione powiedzenie pani dyrektor. Odnosiło się zresztą nie tylko do kompozytorów. Nowy gmach NOSPR otwarł bowiem podwoje dla wszystkich znaczących śląskich zespołów muzycznych. Swoje stałe sale i dni koncertowe mają tu Orkiestra Muzyki Nowej, Kwartet Śląski, Zespół Śpiewaków „Camerata Silesia”, muzycy jazzowi, muzyczna młodzież itd. W pięknych wnętrzach nowego gmachu, który ktoś figlarnie nazwał „nową perłą ziemi śląskiej”, skoncentrowało się de facto całe życie muzyczne Katowic. I nie tylko – miejsce to stało się także centrum życia towarzyskiego dla mieszkańców górnośląskiej metropolii i okolic, ciągnących się od Krakowa po Wrocław i Łódź. Przychodzą tu zarówno wytrawni melomani, jak i nowicjusze, uprawiający „performans tożsamościowy”, co oznacza, że widuje się świetne stroje i jeszcze świetniejsze miny. Przychodzą seniorzy i małe dzieci, wytrwale edukowane przez rodziców, krążą samotni, pary, formują się przyjacielskie kółka. Większość publiczności pojawia się na długo przed rozpoczęciem koncertu. Kwitnie życie towarzyskie, stoliki kawowe okupuje zadowolony, wręcz rozentuzjzmowany tłum. Obecność tego tłumy to najbardziej widoczny efekt pracy Joanny Wnuk-Nazarowej z NOSPR. Wystarczy sobie przypomnieć, że w latach 80. i 90. w Katowicach nie było mody na koncerty orkiestry radiowej, zresztą nie było ich dużo. To, że z placówki będącej w zasadzie ekspozyturą warszawskiej „centrali”, skoncentrowanej na pracy nagraniowej i właściwie zamkniętej „na miasto”, NOSPR stała się powszechnie dostępną, przyjazną i atrakcyjną dla ludzi instytucją publiczną, jest rezultatem świadomej polityki Joanny Wnuk-Nazarowej, osoby kochającej muzykę, kochającej artystów i publiczność – z wzajemnością. Cóż, w Katowicach skończyła się pewna epoka.



Rok olimpijski

# Dostatek bieli

RYSZARD JASNORZEWSKI

Tytuł ogłoszonego w 1999 roku tomu Barbary Grocholskiej-Kurkowiak – *Pod otwartym niebem* – sugeruje, że w plenerze rany zblizniają się nie mocą intelektualnej terapii, ale właściwie i zwyczajnie. Dla większej przejrzystości lirycznej oferty wybrano fotograficzną okładkę. Bez wątpliwości widzimy autorkę, uwiecznioną jednak nie przy biurku lub na tle wychodzącego na ogród okna, ale w kostiumie narciarki. Wszystko zatem wskazuje, że pragnęła przypomnieć czytelnikom o ważnej (wybitnie wykonywanej) roli. Ośnieżone wierzchołki gór na drugim planie są ponadczasowe. Jak zawsze, gdy zamierza się je wykorzystać w celach ilustracyjnych, zaświadczyają, że o portrety i autoportrety, a także o prowokacje literackie i przygody z natury wewnątrz – łatwiej we wnętrzu pejzażu.

Do takich przygód zaprasza się innych, a nawet z nimi rozmawia lub coś z przekonaniem komunikuje. Współautorem wiersza *Szkołka narciarska* jest mały adept gór i nart: „(...) mówiłam: / dobrze jest polubić trud // właściwie nic // a on / zobaczył skrzydła osłaniające / i wziął mnie za anioła stróża”. Nie dowiadujemy się, czy ta dziecięca deklaracja, niewątpliwie nie do końca tylko z tego świata, doczekała się odpowiedzi. Jej wariant czy możliwe echo zabłądziło do kolejnej notatki: „wyrzucamy pióropusze zimna / raz skrzydło anioła / raz nocnej fali rozprysk w skalne brzegi”. Zdarza się więc, że nie tylko sami gramy w życie, ale że o coś grają z nami góry bądź morza. Bywa tak nawet wówczas, gdy – w zgodzie z jeszcze jednym lirycznym zapisem – „nieba nie ma / tylko ściana i kamień i gład”. Na wiersz zatem otwiera nas nawet to niebo, którego nie widać albo którego nigdy nie będzie na pewno. Może zresztą coś ważnego i niegłupiego dzieje się z nami nie tyle pod niebem, ile przed nim, jak przed drzwiami, które zamknięto na głucho, na klucz lub opieczętowano tylko na chwilę.

Metafora sportowa, gdy po nią sięgnąć, niczego nowego w świecie nie jest w mocy odsłonić i nie przynosi żadnej szczególnej pociechy. W wierszu *Wnułkom* Barbara Grocholska-Kurkowiak pisze: „Już was nie dogonię / już się cofam / odpadam w przedbiegu // już się niczego nie nauczę”. Odpadanie u progu rywalizacji, w przedbiegu, to los tych, którzy przegrywają, nie mają na tyle talentu bądź determinacji, dla uzyskania w biegu na jakimś dystansie dobrego wyniku. W życiu, pod niebem danego wszystkim stadionu, jest chyba jeszcze trudniej, bo wszystko dzieje się przed biegiem głównym, przed finałem, przed śmiercią. Bohaterowie innej lirycznej fabuły – *Mistrzowie* – tylko pozornie mają lepiej, gdy uwiezieni „w okrzykach tłumu co wkrótce odpłynie”, przeżywają gorzką chwałę „z medalem ciężkim na piersi zdyszanej”. Może nawet, kiedy tak „stoją w hymnach i szarfach”, są bardziej od innych samot-

ni w swym losie, bo już wiedzą, że nawet doskonale przygotowani, silni i nawykli do znoszenia nieludzkich wysiłków, nie dogonią nigdy ani życia, ani własnego zmęczenia.

Wiersz *Trenerka* przynosi spostrzeżenie, że „(...) nie wystarczy / skórę wypolerować / kształt nadać ciału / iskrę mięśniom”. Dlatego, że zarówno uprawiając sport, jak i używając życia, trzeba sobą rozporządzać roztropnie. Tak ciała, jak i myśli, choćbyśmy najdłużej żyli, do końca naszych dni wystawiając siebie w zawodach, wystarczy na krótko. Zatrzymana gdzieś wzdziej, w innym tekście, refleksja podmiotu – „Jeszcze biegnę / i zbieram / czule / ślady twojej obecności” – jest może banalna, ale na swój sposób dramatyczna, bo zadawanie sobie pamięci uznaje się za kontrolę oddechu. Bez tej kontroli bieganie najprawdopodobniej nie ma sensu, a jeżeli coś zbierane jest „czule”, to dlatego, że odczuwa się ból, odczuwa się mękę banalną, gdyż zmysłową. W szczególnych, uzasadnionych uczuciowo – lub literacko – przypadkach rzeczą ludzką jest nigdzie nie dobiegać i niczego nie wiedzieć na pewno. Tak przynajmniej wynika z wiersza, którego tytuł – *Trzeciego lipca* – mógłby otwierać notatkę w dzienniku: „Już nie pamiętam / czy czas biegł przeskoczył / czy włókł się bez końca / od chwili jednej jak błysk”.

Umieranie z wiersza *Śmierć nad morzem* jest właściwie niewidoczne, jakby trochę onieśmielone, zawstydzone i pragnące ukryć się przed sobą. Utonął jedenastoletni chłopiec i ratownicy zanurkowali w poszukiwaniu topielca – „jak delfiny / miękko dotknąwszy stopą wody / w głębi znikają zielonkawej”. Jesteśmy pewni, że wykonają swoją pracę, wydobędą z wody ciało, przywrócą je bliskim i żałobie. W gadatliwym świecie nie będzie jednak żadnej pauzy, nic się nie zmieni. Mimo że „morze huć” – tak jak ma w zwyczaju albo dotkliwiej – ludzie czytają siebie z otwartej, słonecznej książki: „wesoło wskazują do fali / która wynosi ich na piasek sypki / a na zatoce rozpedzone żagle wesoło i sprawnie / krążą / zmagając się z wiatrem”. W igraszkach żagli, w ich sprawniej – z wiatrem lub pod wiatr – wędrówce jest życia tyle, ile trzeba, ani więcej, ani mniej. Jedenastoletni chłopiec nie

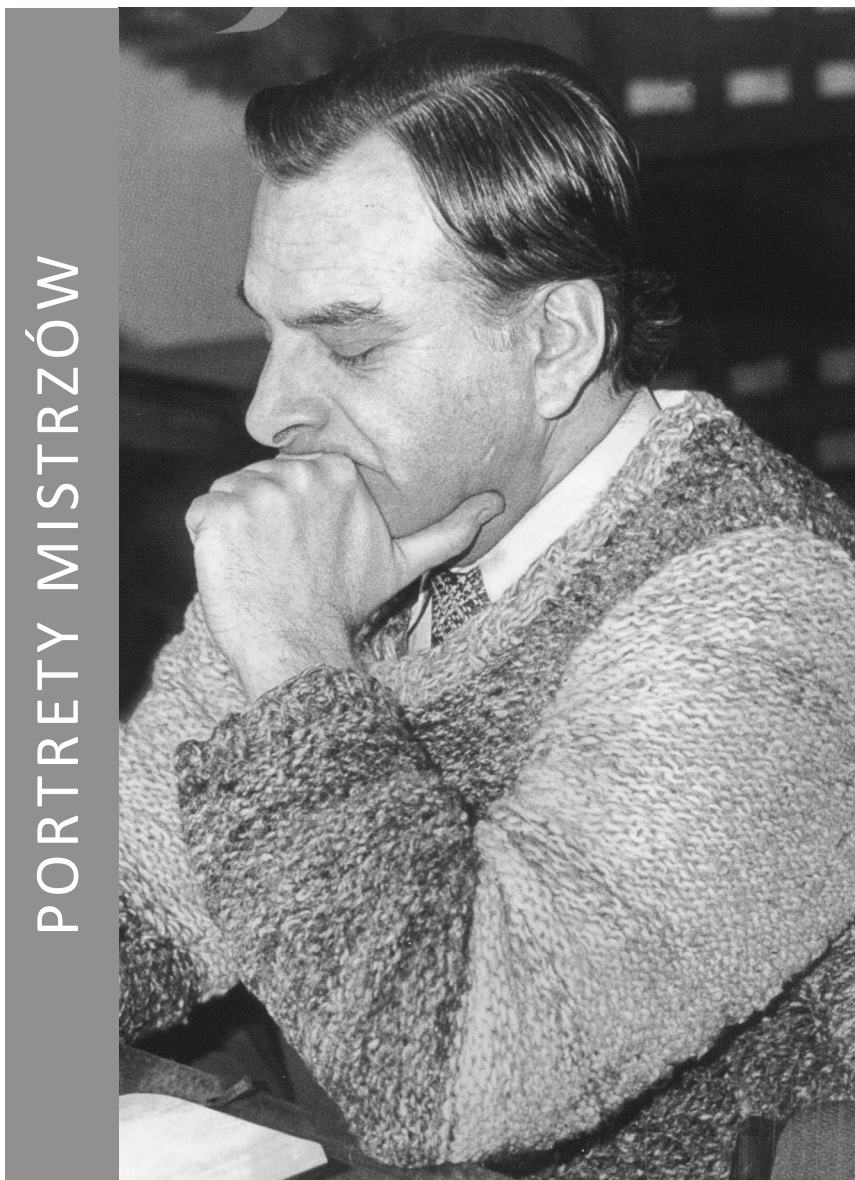
musi się już zmagać ani z wiatrem, ani z wodą. Utonął. Nie narusza porządku rzeczy. Nakryty jakimś płótnem odpoczywa na nieruchomym piasku plaży – jak we wnętrzu klepsydry, w której zatrzymał się czas.

Z biegiem czasu, z jego upływem, powtarzają się obrazy i krajobrazy, a widoki na życie odmieniają co najwyżej detale. Nawet na kameralnej nekropolii, odwiedzonej jesienią, można dostrzec już tylko – „w (...) pomieszaniu rzeczy / spadających i odlatujących” – czyjeś „duże przeźroczyście”. Może to nie dusze zresztą, a zamglone nagrobki. Któregoś dnia spadnie śnieg i będą przypominały zimne kamienie.

W lirycznych zapiskach Barbary Grocholskiej-Kurkowiak dużo jest śniegu i bieli, różnych walorów śniegu i bieli. W wierszu *Mówię ci o tych górach* zwierza się komuś obecnemu lub nieobecnemu: „Mówię ci o tych śniegach / nie żebyś zazdrościł / nie żebyś się smucił / żeś odległy // ale / żeby przed tobą chodził blask”. Taki blask, takie światło ma także wiele walorów. Może trzeba być wernym bieli i kiedyś – jak pragnie przypomnieć wiersz *O umieraniu* – do niej powrócić: „(...) otworzysz się biały jak karta / cały zwrócony ku światłości”. Ale silniej od tej lub jej podobnym obietnicą przemawia do mnie relacja z codzienności: „mieszam barwy i biele / w smugę słońca w dech wiatru // ręce grube ołowiane łączę z cieniem / czoło zanurzam w płamę chłodu”. Tej relacji dała autorka tytuł *Skończone pranie*. Gdyby wszystkie nasze prześcieradła, poduszki i kołdry zawiesić na tle gór, podobne by były do płatów śniegu, który śni się ludziom i Bogu. ■

Redakcja miesięcznika „Śląsk” przeprosza Autorkę wierszy opublikowanych na stronie 39 w numerze 7 (272) /2018 miesięcznika Śląsk zatytułowanych *Odejscie poety* oraz *Odejscie z życia* za błąd w druku. Prawidłowy zapis nazwiska Autorki powinien brzmieć Stanisława Kalus. Przepraszamy.

Redakcja



# Profesor Ireneusz Opacki

MARIAN KISIEL

**B**ył charyzmatycznym mówcą. Kiedy zaczynał wykład, wchodził w sobie znany świat. Pozornie nieobecny, rozmawiający tylko ze swoimi myślami, nie tracił kontaktu ze słuchaczem. Wiedział, że musi nad nim zapanować. Modulował głos na wiele sposobów, potakiwał głową, gdy chciał zaakcentować jakąś myśl, dla rozluźnienia wątku wplatał czasem

anegdotę. Niby tryskał energią, a jednak po wykładzie widać było jego zmęczenie. Tak jest, kiedy sztukę oracji traktuje się poważnie, a nie dla poklasku. Ireneusz Opacki uważał wykład za najwyższą formę akademickiego dyskursu. W odróżnieniu od sprawozdawców uniwersyteckich, którzy prowadzili kurs od linijki, on przedstawiał w nim swoją wizję lite-

ratury. Aleksander Nawarecki pisał o tych wykładach: „Przekroczenie progu mowy jest głośnie i dobitne. Ma być zdarzeniem. Słowa nabierają ciężaru i mocy. Mowa staje się przemową. Krzepnie w retorycznym kształcie. Łatwo ją zapamiętać, nie sposób jej zlekceważyć, trudno jej się przeciwstawić” (*Znajomym gościńcem*, 1993, s. 181). W swoich wykładach Professor koncentrował się zasadniczo na romantyzmie, skupiał na kwestiach dla tego czasu najważniejszych, na tym, co nazywał „romantycznymi przełomami”. Owe „przełomy” to – najogólniej rzecz ujmując – różnice między epokami, przemiany wewnętrzne bohatera, ewolucje form poetyckich, światopoglądowe spory i polemiki.

Na pytanie, jakie mu kiedyś zadałem (*Romantyzm to walka o oddech*, „Śląsk” 1996, nr 2): „Dlaczego romantyzm?” – i czym uwiiodła go ta epoka, że poświęcił jej swoje życie, „odnajdując romantyczne ślady zagrobne również w literaturze po romantyzmie? Światopoglądem? Specyficznym, na wskroś ludzkim odczuwaniem? Sferą narodowej mitologii? A może na tę miłość miało wpływ domowe wychowanie?” – odpowiedział tak: „Myślę, że wszystkie te czynniki decydowały. Pochodzę z domu kresowego, z Kresów Wschodnich, gdzie wiele rzeczy sprzyjało zapatrzeniu w dziedzictwo romantyzmu. Biblia domu mojego dzieciństwa: Mohort Wincentego Pola w pięknym, ilustrowanym wydaniu, rzecz o strażniku polskości Kresów. Zresztą „Mohort” to również okupacyjny pseudonim konspiracyjny mojego Ojca. Pejzaż polsko-ukraińskiego Podola, zrytego jarami – jak z *Marii* Malczewskiego. Atmosfera dzieciństwa z lat okupacji: ukraińskie rzeźby, realna replika *Zamku kaniowskiego* Goszczyńskiego. I niesłuchanie silne poczucie tożsamości narodowej, charakterystyczne chyba dla każdego polskiego domu na Kresach, formowanego w tyglu społeczności wielonarodowej, polskiej, ukraińskiej, żydowskiej... To dzieciństwo. Później tzw. repatriacja, przymusowa podróż na Ziemię Odzyskane. I bliskość klimatu literatury emigracyjnej polskiego romantyzmu, przenikniętej tęsknotą do utraconej „małej ojczyzny”, „kraju lat dziecinnych” – tym bardziej że pejzaż Śląska był tak odmienny od pejzażu rodzinnego Podola. Byliśmy, oczywiście, w Polsce – ale z dala od rodzimej „małej ojczyzny”, jakby na wygnaniu, na przymusowej emigracji. To rodiło bliskość tamtej, romantycznej literatury, niejako w sposób naturalny. A później jeszcze – młodość uniwer-



sytecka, okres studiów. Tak się złożyło, że moje pokolenie dojrzało i odbywało studia w latach pięćdziesiątych, w okresie najsilniejszych presji stalinizmu, w pierwszej połowie tych lat. Studiowałem w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, znanym w tamtych latach jako „przystanek Wolności” – ośrodek, w którym z jednej strony niesłuchanie silnie odczuwało się presję zewnętrzną, z drugiej o sprawach tych mówiło się otwarcie, językiem ludzi wolnych. I ta idea wolności, centralna idea właśnie romantyzmu, odczuwana i manifestowana jako bunt przeciw presji zaborcy, w tamtych latach na KUL-u była bardzo mocno odczuwana i kultywowana. I to również powodowało poczucie bliskości literatury właśnie romantycznej. Dobrze to oddają słowa Marii Janion, która na jakiejś późniejszej konferencji powiedziała, że romantyzm był tym, co pozwalało nam wtedy oddychać. My – na KUL-u – oddychaliśmy pełną piersią. Dzięki przede wszystkim studiowaniu poezji romantycznej u profesora Czesława Zgorzelskiego. Skądinąd – też kresowiaka wileńskiego”.

Profesor Ireneusz Opacki – badacz poezji polskiej XIX i XX wieku, jeden z głównych architektów zagłębiowskiej i śląskiej polonistyki. Jego portret właściwie należałoby zacząć od końca, a nie od początku. Kiedy umarł, nad Zagłębiem Dąbrowskim i Śląskiem rozpostarł się płaszcz piekielnej duchoty. Słońce prażyło nie miłosiernie jak w młodopolskich wierszach o zamieraniu świata. Żalobnicy, których przybyło więcej niż można się było spodziewać, nie weszli do – obliczonej na skromny najład – kaplicy w sosnowieckiej Dańdówce, nagłośnienie nie zdało egzaminu. Wszystko jakby wbrew prochom, jakie wystawiono na wprost ołtarza, wbrew kościelnej zwierzchności, której przewodniczył bp Adam Śmigielski – i wbrew temu dniu, który odsyłał do wspomnień, a nie do smutku. Bo tego dnia – dawno temu – zaczęła się bitwa pod Gołkowem, tego dnia Józef Piłsudski odmówił złożenia przysięgi cesarzom niemieckiemu i austro-węgierskiemu. Historia sprzed lat Profesorowi, który o niej pamiętał, przypomniawszy się w jego dniu ostatnim. Powiedziałem wtedy swoje pierwsze w życiu pożegnanie. Nie pamiętam, co powiedziałem. Zabierając się dzisiaj za ten portret, kilkanaście lat po zgonie Profesora i w czterdziestolecie znajomości z nim (okazjonalnej, dalszej, bliższej), chciałbym go przedstawić nie jako człowieka, choć o nim

także powiem, ale jako uobecnionej w przestrzeni kultury – osobowości. „To był ktoś”. Tak zwykł mawiać o ważnych personach naszego czasu Feliks Netz. Tak, Ireneusz Opacki – jakimś szatańskim chwytem – wszedł od razu w zagłębiowsko-śląskie środowiska nauczycielskie, naukowe i kulturalne i zdominował je swoją osobowością. Kiedy przyszedł do Uniwersytetu Śląskiego w roku 1973, było tu raczej ubogo. Prowadzone badania literaturoznawcze były skromne, a ich wynik słaby. Niezależnie od dobrych opinii, jakimi obdarzają uczniowie swoich nauczycieli, nie było tu lidera. Mądrzy i dowcipni wykładowcy nie potrafili stworzyć szkół badawczych, ponieważ ograniczeni własną wyobraźnią, bądź możliwościami, nie dążyli do wyrazistości. Nawet na obszarze badań śląskoznawczych nie pojawiły się żadne znaczące teksty, do których moglibyśmy sięgnąć. Do polonistyki czasów WSP można by odnieść słowa, jakie skierował w roku 1974 do środowiska młodoliterackiego Edward Zyman: „cisi nad wyraz nie wadzą nikomu”.

Była to polonistyka przyczynków i koniektur, zamknięta w kręgu paru nazwisk. Może tak widziano rolę uczonego w WSP, ale jeśli tak, to było to widzenie absolutnie minimalistyczne. Stara szkoła historycznoliteracka nie wpuszczała w swoje szeregi myślenia nowoczesnego, nad interpretację przedkładała faktografię, wpływolegię i nużącą recepcję. Zamiast błysków indywidualności – nudne referowanie stanowisk. Zamiast odkryć – zgoda na odkrycia innych. Przybycie Opackiego (ale nie tylko jego) było więc dla tego środowiska zbawienne i okropne. Czterdziestolatek – ambitny, elokwentny, sprawny retorycznie, czupurny, znający swoją wartość, mający dobre kontakty z ogólnopolskim środowiskiem polonistycznym, nieuznający przyczynków i akademickiej mimikry – to musiało cieszyć i zgrzytać. Ciesząc, zgrzytało. Krzysztof Kłosiński napisał: „Profesor Opacki istnieje w naszej świadomości jako osobistość życia naukowego i kulturalnego, a także życia, jak to powiedzieć, akademickiego, edukacyjnego, wychowawczego na Śląsku i w Zagłębiu. Akcentując wymiar osobowy, chcę podkreślić właśnie osobność, bycie osobą, której nie da się w żaden sposób sprowadzić do jakiejś zbiorowości, niepowtarzalności, brak determinującego zabarwienia kolorowym lokalnym”.

Magisterium napisał u Czesława Zgorzelskiego, wówczas docenta

i niebawem profesora, ale wtedy te różnice stanowisk – profesor, docent – liczyły się mniej, bo czas był inny i inaczej patrzono na osobowość naukową. Zgorzelski był Mistrzem nie dlatego, że stał za nim ogólnie znany i trudny życiorys, ale dlatego, że włączył w główny nurt myślenia humanistycznego najważniejsze osiągnięcia literaturoznawstwa swojego czasu. Było wiadomo, że strukturalizm (a wcześniej rosyjska szkoła formalna) zdominuje myślenie polonistyczne. To była alternatywa dla wąsko zorientowanego marksizmu, który – przecież nie tak głupi – redukował jednak podmiot do socjologicznej osoby, jakże niemieszczącej się w obrębie jej przeżyć i doznań. A przeżycia i doznania to właśnie – romantyzm. Zgorzelski wiedział, że strukturalizm z matematycznymi związkami relacji nie zabije literatury. Bo strukturalizm to także otwarcie na sztukę interpretacji. Zgorzelski strukturalistą nie był, choć go cenił. Opacki wyniósł z tej szkoły szacunku ideę związania: struktura jest podstawą do dalszych starań o wyjaśnienie sensów.

Magisterium powstało w roku 1957, a cztery lata później opublikował je pod tytułem *Ewolucje balladowej opowieści. Zagadnienie narratora i narracji w balladzie lat 1822-1920*. W tej rozprawce zaznaczone zostały główne pola zainteresowań badacza i jego warsztat. Przede wszystkim pokazał się tu jako zwolennik takiego tłumaczenia literatury, gdzie prawdy ogólne wyprowadza się z „materiału analitycznego”, ten zaś – jak czytamy – „z jednej strony pozwala na oparcie rozumowania o konkret, z drugiej na zarysowanie indywidualnych konkretyzacji zbieżnych zasad strukturalnych w poszczególnych utworach” (s. 9). Mówiąc inaczej: najpierw zbieramy materiał, a następnie szukamy historycznoliterackiego konkrety i odnosimy go do struktury utworu. (Pisał o tym Opacki w studium *Genologia i historycznoliterackie konkrety*, 1959). Nie wyobrażnia preceptora zatem, ale oparcie się na literackim „pewniku” stanowi punkt wyjścia funkcjonalizacji „pewnika” w dziele. W stuletnich dziejach polskiej ballady idzie więc o to, aby zobaczyć jak zmienia się „stosunek narratora do świata przedstawionego” i – tym samym – odkryć, że jest on „zasadą strukturalną utworów”. *Eo ipso*: „Nie nowość elementu, ale nowość funkcji elementu stanowi główny czynnik ewolucji” (s. 9).

Już tutaj została zaznaczona silna więź ucznia i mistrza – Opackie-



go ze Zgorzelskim. Uczeń przyjął też mistrza, że gatunek nie jest czymś stałym i niezmiennym, ale odwrotnie: charakteryzuje go „płynność i zmienność w czasie rozwoju” (s. 8). Rozwinięcie tej obserwacji stanie się podstawą klasycznego w dorobku badacza studium *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako wyznacznik ewolucji poezji* (1963; przedruk w tomie *Odwrócona elegia*, 1999), gdzie – oprócz istotnej kwestii przenikania „postaci gatunkowych” – zaakcentowana zostanie niebywale ważna dla badacza sfera naukowego dyskursu: na obszarze poezji wieków XIX i XX zwłaszcza, historia literatury jest zasadniczo historią form poetyckich (gatunków), a nie tylko tematów czy światopoglądowych idei, oderwanych od strukturalnej zasady utworów.

Opacki wprowadza w swoim studium o „postaciach gatunkowych” poezji następujące ustalenia: „Cechy konstytutywne niezmiennie, stałe, gatunkowi nie przysługują. Po pierwsze – ze względu na zachodzące »przepostaciowanie« w trakcie ewolucji. Po drugie [...] ze względu na przesuwające się ważności dystynkcyjnych poszczególnych cech struktury w zależności od literackiego kontekstu epoki czy prądu. W trakcie ewolucji zmienia się nie tylko jeden gatunek, lecz wszystkie, stanowiące dlań kontekst. I na przejściu między jednym prądem literackim a drugim następuje przewartościowanie hierarchii gatunków: gatunek dawniej uboczny, dzięki posiadaniu cech specjalnie przydatnych dla nowego prądu, wychodzi na czoło. O tym jego

awansie decydowały cechy dlań dystynktywne w poprzedniej fazie rozwoju. Teraz – stając się gatunkiem koronnym – udziela on tych właśnie cech dystynktywnych, które o jego awansie zadecydowały, gatunkom innym. Stają się te cechy charakterystyczne dla całego prądu literackiego, przestając być tym samym czymś dystynktywnym dla tego gatunku, stają się cechami nie wyróżniającymi, lecz upodabniającymi go do gatunków innych” (*Odwrócona elegia*, s. 66-67).

Uprościmy ten wywód: gatunek jest historycznie zmienny i ma na niego wpływ historycznoliterackie otoczenie (epoka, prąd). Każdy czas ma swoją hierarchię gatunków, na ich czele stoi „gatunek koronny”, z którym inne gatunki wchodzą w „związki krwi”. Dzięki temu poezja może się rozwijać, a nowe gatunki lśnić w nowej formie. Ta, wydawałoby się, oczywista dzisiaj konstatacja, w czasie kiedy się rodziła – była rewolucyjna (ewolucja też czasem bywa rewolucją). Zmieniała dawne spojrzenie na gatunek jako zespół stałych cech, czyniąc z niego to, co Kenneth Burke nazywa „formą” świata, dającej temu światu swoje „tak” lub „nie”. Opacki zaledwie przeczuwał, że „uwydatnienie” formy stanie się rygorystyczną zasadą literatury drugiej połowy XX wieku, położył jednak pod literaturoznawcze myślenie ewolucjonistyczne. Zapewne dziwił się później, że obleka się ono we wciąż nowe stroje.

Pisząc o balladzie (w studium magisterskim, potem w edycji w ramach Biblioteki Narodowej współ-

z Czesławem Zgorzelskim, a wreszcie – również razem – w osobnej pracy w ramach serii *Poetyka. Zarys encyklopedyczny*), Opacki najpierw wyodrębniał strukturalne reguły gatunku (epickie, dramatyczne, liryczne), a następnie – w łańcuchu cytatów – pokazywał zmienność tych reguł. Tak teoria literatury (poetyka historyczna) łączyła się ze sztuką interpretacji (podobny sposób pisania uwyrażniali w tym czasie Jerzy Kwiatkowski i Maria Podraza-Kwiatkowska, odwołujący się wszelako do francuskich teorii wyobraźni).

Co badacza interesowało najmocniej? Indywidualność utworu. W napisanym wspólnie z Anną Opacką słowie wstępnym do zbioru *Ruch konwencji. Szkice o poezji romantycznej* (1975), dowodził, że „Wszystkie [...] pytania, skierowane pod adresem konkretnych utworów literackich, pozwalają wprawdzie na zarysowanie ich pozycji historycznoliterackiej, ale też odbierają tym utworom po trosze ich **indywidualność** (ściślej: przechodzą mimo niej, nie dążą do jej wydobycia). Są to bowiem pytania bardziej o wzorce w tych utworach utrwalone niż o sposób i jakość konkretnej, niepowtarzalnej realizacji tych wzorców. Stąd płynie unikanie ocen estetycznych, które przysługują utworom ujmowanym jako »indywidualności«, ale w znacznie mniejszym stopniu przysługują ujawnianym przez te utwory **ponadindywidualnym** wzorcom czy regułom poetyckiego postępowania. Tu właściwszy wydaje się język opisu i interpretacji niż język oceny estetycznej” (s. 7-8). Konkret, indywidualność, ponadindywidualne wzorce. Te trzy kategorie doprowadzą badacza do sformułowania trzech poziomów „ruchu konwencji”, wobec których niepodobna się nie określić, albowiem mają swoją niepodrabialną dynamikę. Pierwszy poziom to konwencja jako pole możliwości (ujęcie teoretycznoliterackie); poziom drugi – konwencja w ruchu, w ujęciu diachronicznym (ujęcie historycznoliterackie); poziom trzeci – konwencja jako przestrzeń dialogu: „Konkretne dokonanie poetyckie zostaje ujęte jako **indywidualna konfiguracja** przejętych z tradycji elementów konwencji” (s. 12). Innymi słowy: trzeci poziom konwencji należy do sztuki interpretacji. I owoż właśnie dotykamy – chyba – istoty literaturoznawczej misji Opackiego, on chce być tłumaczem sensów utworu literackiego. Nikim innym. Aleksander Nawarecki ujął to bardzo zgrabnie: „Wybór takiej postawy jest pochwałą bliskości tekstu



i bezpośredniej służby literaturze” (*Znajomym gościńcem*, s. 185).

„Pochwała bliskości tekstu”, albo „radość czytania”, uwyraźniła się w kilku mistrzowskich interpretacjach, z których dwie – *Zadymki* Juliana Tuwima i *Z legend dawnego Egiptu* Bolesława Prusa – weszły do kanonu dwudziestowiecznej polskiej sztuki interpretacji. „Interpretacja jest dla niego [Opackiego] – pisał Krzysztof Kłosiński – zdarzeniem, w którym ujawnia się to, co niebywałe, więc nie zdarzające się” (*Tkani- na*, 2003, s. 349). Błyskotliwość stylu, nerw przytoczeń, dowcip narracyjny i, jednocześnie, trzymanie czytelnika w napięciu – to sygnatury wyjątkowości owego „zdarzenia”, które nie boi się odesłać nas na różne poziomy wiedzy, a jednocześnie mocno uwyraźnia, że tym, co najważniejsze jest – poprzez konkret – indywidualność utworu, napisanego przez indywidualność twórczą. Bo dla Opackiego obydwaj twórcy – pisarz i jego dzieło – musiały odkryć swoją osobność. Nie dla tego czasu, w którym żyją pisarz i jego dzieło, ale dla tego innego czasu, który on nazywał – „ponadindywidualnym”.

Czas określony w pierwszej broszurze Opackiego, 1822-1920, wyznaczył obszar jego zainteresowań badawczych. Początkiem był romantyzm, końcem wiek XX. Jurij Łotman pisał, że „Kategorie »początku« i »końca« stanowią punkt wyjściowy, z którego mogą następnie rozwijać się zarówno konstrukcje przestrzenne, jak i czasowe”, ale „mocne nacechowanie którejs z tych kategorii (początku lub końca) niekoniecznie musi zakładać analogiczną pozycję strukturalną pozostałej kategorii, albowiem nie we wszystkich syntezach tworzą one parę opozycyjną”. I owóż u Opackiego te dwa czasy były z sobą niebywale silnie powiązane. Dwie zasadnicze jego książki (w ostatnich redakcjach, bo miały one wcześniejsze warianty): „*W środku niebokręga*”. *Poezja romantycznych przelomów* (1995) oraz *Król Duch, Herostrates i codzienność. Szkice* (1997) przynoszą w jakimś sensie sumę prac o dwu poprzednich stuleciach. Książka pierwsza jest hołdem oddanym Mickiewiczowi i Słowackiemu, a także Norwidowi w błyskotliwej interpretacji *Bema pamięci żałobnego rapsodu*; książka druga – Skamandrytom (Lechoniowi, Tuwimowi, Balińskiemu), choć także i Baczyńskiemu, i Brzechwie. Wielki romantyzm i międzywojenne dwudziestolecie staną się w ten sposób znakomiczemu odbitymi w biografii prywatnej Profesora.

O jego interpretacji poezji romantycznej Czesław Zgorzelski pisał, że jest „dociekliwa, rewizjonistyczna wobec utartych poglądów, a w odkrywczosci swojej niezmiernie sugestywna”. Zofia Stefanowska dodawała uwagę o „oryginalności inwencji krytycznej”, a Stanisław Pigoń – czytając studia Opackiego – „radował się w sercu chlubnymi perspektywami naszej polonistyki”. Tych szkiców nie będzie ostatecznie wiele, raptem złożyć się mogą na dwie średniej grubości książki. Ich istotę zrozumiemy wtedy, kiedy przypomnimy sobie, co Opacki pisał o odkryciu przez romantyzm „człowieka historycznego”. A pisał tak: „Staje się poezja narzędziem »unieśmiertelniania« ludzi w historii, narzędziem skutecznego wprowadzania ich w ciągłość narodowej pamięci, staje się dla terażniejszości »transmisją w przyszłość«. Także dla nich – »prywatnych«. Przypatrując się historii, dostrzegli też romantycy niszczącą siłę działania czasu historycznego, zobaczyli, że historia jest też – »przemijaniem«. [...] Zrozumieli romantycy, że historia dotyczy nie tylko spraw »wielkich«, spraw »narodów«, ale że dotyka życia osobistego, prywatnego. Że ono też jest zakorzenione w biegnącym »czasie historii«, że nic z karbów historii nie może się uwolnić. Że nie ma człowieka poza historią” (*Poznać mnie po głosie*, 2006, s. 45). I właśnie ów nierozzerwalny styk historii i terażniejszości, owo romantyczne „czucie czasu”, stanie się dla Opackiego najważniejszą sprawą do odkrycia: pokazania podmiotu historii w jego terażniejszości.

Nie inaczej będzie w studiach skamandryckich, w których badacz najpierw odkryje »dramat narodowej wyobraźni« (Lechoń, Wierzyński) i temu wątkowi dziedzictwa romantycznego przyglądał się będzie najdłużej. Mity polskie, odżywające na nowo i burzone z impetem u progu II Rzeczypospolitej, a następnie dające pociechę na emigracji, doczekają się pod piórem Opackiego wielu wnikliwych opinii. Ale podmiot historii ujęty w jego czasie rzeczywistym najsilniej objawi się w analizie poezji Tuwima i Balińskiego, gdzie owo »czucie czasu«, »przemiany terażniejszości« staną się tym, co wyznaczy miarę poetyckiego widzenia. O Tuwimie badacz napisze, że akceptujący cywilizację mieszczańską witalizm Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Kazimierza Wierzyńskiego został w twórczości autora *Czyhania na Boga* przeciwstawiony witalizmowi antycywilizacyjnemu, natomiast pro-

blematykę jego poezji można „sprowadzić do kilku podstawowych opozycji: natura – kultura, indywidualizm – zbiorowość, autentyzm – pozory, samotność – wspólnota” (*Skamander*, I, s. 44). Alternatywy te, wzięte z myśli Jana Jakuba Rousseau, przekładają się z kolei na takie kwestie, jak: koncepcja zuniformizowanej wspólnoty, świat wartości pozornych, tragizm osobowości rozbitej na »być« i »wydawać się«, przeciwstawienie miasta i prowincji, języka intymnego i publicznego, koncepcja powrotu do natury i sentymentalnego buntu, rozumianego jako manifestacja samotności. O poezji Balińskiego powie jako dążącej ku »neosemantyzmowi«. „Poezji, w której odwołanie do tradycji bezustannie jest niesłuchanie silne – ale też jest to odwołanie tradycję tę odmieniające w jej znaczeniach, przetasowujące »punkt wyjścia« z pozycji »teraz«, wnoszącego nowe hierarchie i nowe elementy, ale zawsze zderzone z tradycją, wyraziście przywoływaną. „Teraz”, obarczone pamięcią o swoim »wczorajszym« punkcie wyjścia, zmieniające sploty owych »wczorajszych« nici, dopełniające je niemi nowymi – ale nici tych nie zrywające, zachowujące **ciągłą** tożsamość” (*Skamander*, X, s. 12).

Tak oto dwudziestowieczny podmiot historii przeżywa swój czas.

Pisząc sylwetkę Profesora mam świadomość, że dotknąłem zaledwie niewielkiej części jego myśli i natury. Był żywiołowy, dynamiczny, ekspresyjny. Widać to w jego stylu – jakże nielekającym się powtórzeń, podkreśleń, szyku przestawnego, zdań rozpoczynających się od „że”. To wszystko, co chciał powiedzieć czy napisać, rozgrywało się w mowie, w wykładzie, w bezustannym, niebywałym zderzaniu myśli, które każdorazowo musiały być interpretacyjnym zdarzeniem. Odszedł na miesiąc przed swoimi 72. urodzinami, powalony przez nieubłaganą chorobę. W tym roku, w sierpniu, miałby 85 lat. Wiek – dzisiaj – normalny, nie budzący zdziwienia u kogokolwiek.

Wtedy, w lipcu 2005 roku, dzień po wiadomości o śmierci Profesora, szliśmy z żoną pasażem uniwersyteckim, obok Instytutu Fizyki im. prof. Augusta Chełkowskiego. Żona, uczennica Profesora, powiedziała wtedy, że pięknym zwieńczeniem bogatego życia uczonego byłoby nazwanie Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej jego imieniem. Byłem wtedy dyrektorem tego Instytutu. I tak się stało.





niepisany kodeks honorowy, zakłócały groteskowe i sensacyjne „wydarzonka”: w 1932 roku Jedno z nich odnotował baczny sprawozdawca tej samej „Gazety Robotniczej”.

„We wtorek w godzinach południowych siedział przy otwartym oknie kawiarni »Liborius Otto« p. Przybyła, pociągając z zadowoleniem kłęby dymu z cygara. W tem do okna podszedł jakiś pan i na całą ulicę oraz na całą kawiarnię zwrócony do niego krzyknął »Zapłać mi Pan za cygara! Hochstapler Przybyła! Złodziej!«, poczem oddalił się. Na Przybyłe ta demonstracja nie zrobiła żadnego wrażenia. Dalej siedział i zadowolony pociągał dym z cygara. Widocznie dobre musiało być cygaro!”

W tamtych latach, pod okiem wyższych rangą kelnerów – z niemiecka tytułowanych „ober” a po polsku „panie starszy” – na eleganckie sale konsumpcyjne katowickiej gastronomii po raz pierwszy wkroczyły dorodne i filuterne kelnerki, urodą i obyciem podobne do bogini wiecznej młodości Hebe, która podawała do stołów na mitycznych ucztach swego ojca olimpijskiego Zeusa. Rzymianie nazywali ją Juventus i uznawali za opiekunkę młodzieży męskiej.

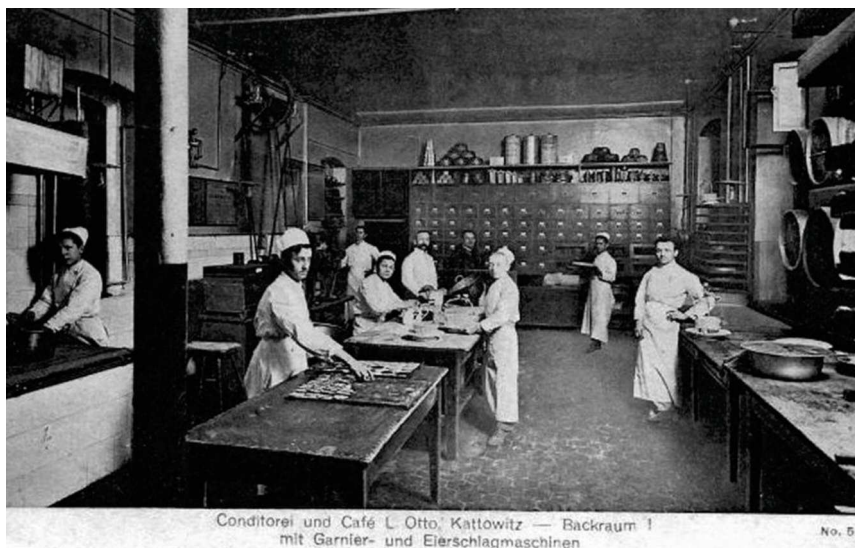
„Od owego czasu Hebe jest opiekunką Cukierni i Kawiarni, bo w jej rękach i pod jej kluczem są nektar i ambrozja, ten napój i posiłek bogów” – w 1845 roku, historyczny sekret zdradził dziennikarz „Kuriera Warszawskiego”, który odwiedził sławną konfiserię Szymona Belli przy ulicy Senatorskiej i z ukontentowaniem dodawał: „wywołano z kawiarni kelnerów, a zastąpiono ich kawiarkami, bo nie mężczyźni, ale tylko młode zgrabne i piękne kawiarki mogą reprezentować Hebe na ziemi”.

Lokal pana Belli, emigranta z legendarnego kantonu Grison w Szwajcarii, uchodzącego za kolebkę europejskiego cukiernictwa, zrobił na dziennikarzu wrażenie „przybytku cukrów, konfektów i chłodników” czyli ciast, cukierków oraz lemoniad, nalewek i innych trunków chłodzących, znużonym zjadaczom chleba powszedniego uprzyjemniających porę letniego zmięczenia.

Dziś w Katowicach, zupełnie inaczej przyrządzone chłodniki serwuje „Piekarnia i cukiernia Michalskiego” przy placu Karola Miarki. Kontynuuje tradycje dawniej mieszczących się tutaj konfiserii. Można tu zjeść „chłodnik arbuzy” albo „Kremowy chłodnik z ogórka i avocado z dodatkiem domowych lodów koperkowych”.

We wczesnych latach la belle epoque w Rynku, pod dachem kamienicy Frölichów zaczęła funkcjonować najstarsza w mieście – cukiernia Alberta Danzigerera. Na krawędzi wieków zmieniła branżę na modniejszą wtedy kafeterię. Jej kolejnymi właścicielami zostali: Juliusz Ollendorfer – zięć Danzigerera, a w okresie poplebiscytowym – Franciszek Liczbiński.

W książkach telefonicznych i anonsach reklamowych występowała pod adresem Rynek 1. U schyłku stulecia ambitni konfiserzy prócz kawiarenki ze świeżo paloną i parzoną kawą, otworzyli pionierską i modną wtedy czekoladeryję czyli pijalnię kakao i gorącej czekolady. Do tych delicyj



Cafe und Conditorei Otto, wnętrze piekarni

podawali chrupiące „VPB” – „Veritable Petit Beurre czyli – maślane herbatniki z Nantes. Tak jak katowickie kafeterie miała secesyjne umeblowanie w wiedeńskim stylu.

Około 1927 roku przy ulicy 3 Maja 5 w Katowicach, cukiernikę z kącikiem kawowym otworzyła Paulina Schlesinger, wnuczka Louisa Borinskiego, legendy katowickiego kupiectwa. Lokal pod szyldem „Royal” dedykowała sportowcom i kibicom różnych dyscyplin olimpijskich. Czy ćwierć wieku później, jej pomysł był natchnieniem dla inwestorów katowickiego Domu Sportowca, wzniesionego vis à vis na fundamentach kamienicy, w której u schyłku XIX stulecia spotykali się założyciele miejscowego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”?

Obiecująco pachnący lokalik o unikatowej – jak na Katowice – nazwie, przez ścianę sąsiadował z budynkiem sławnych Delikatesów dziadka Louisa. Promowała go jako miejsce sekretnych „Rendez-vous dla sportowców”. Prócz małej czarnej i ciasteczek oferowała nigdzie indziej nie serwowane „miody mieszane”. Dziś ponętymi aromatami, smakoszy wabi tam popularna cukiernia „Słowik”. Specjalizuje się w wypieku wyłącznie pączków w zaskakująco licznych i przepysznych odmianach.

„Wenecja” była gelaterią czyli lodziarnią to jest cukiernią specjalizującą się w produkcji i sprzedaży mrożonych przysmaków w postaci sorbetów lub klasycznych lodów w wafelkach. Wyróżniała się oryginalną ofertą i popularnością. Nie bez znaczenia dla tego rozgłosu był osobisty urok szefa zakładu, przystojnego Włocha Umberto Dalasta i korzystne usytuowanie – na najbardziej uczęszczanym katowickim corso czyli ulicy Dyrekcyjnej. Pod numerem 4 – naprzeciw kawiarnianego ogródka hotelu „Monopol”.

Wcześniej w salach tego lokalu Cukiernik Alojzy Domin prócz doskonałych wyrobów czekoladowych sprzedawał także kwiaty a nad wejściem umieścił jedyny w Katowicach szyld z napisem „Confiserie”, który przypominał o powrocie tej nazwy i jej francuskich tradycjach.

## Legends and memoirs

Od wielu pokoleń w rodzinach katowickich piekarzy, babcie i mamy opowiadały bajkę o bogini Szarlenke:

„Na ziemię górnośląską napadły obce narody, pustoszyły kraj i plądrowały. Naród uciekł i schował się do lasów i żywił się grzybami i poziomkami. W jego największej biedzie ukazała mu się bogini górskich ostępów – Szarlenka i poprowadziła do skał, w których wykute były otwory, do pieców piekarskich podobne. Naród wołał: piecy! piecy! (piece). Bogini prowadziła ich dalej i wskazała ukryte zapasy mąki, poczem znikła, a naród szczęśliwy, napalił piece i zaczął wyrabiać chleb. Kiedy w kraju nastąpił spokój i nowy król Bolesław III, zwany Krzywousty, zwiedzał Śląsk, znalazł się w pobliżu lasu, w którym wypiekano chleb. Zdziwiony ogromnymi chmurami dymu, pytał, co to znaczy. Piekary! (piekarnie) odpowiedział naród. Od tej chwili powstała miejscowość Piekary na pamiątkę odwiedzin króla, a ku uczczeniu bogini Szarlenki, sąsiednią wioskę nazwano Szarlej.”

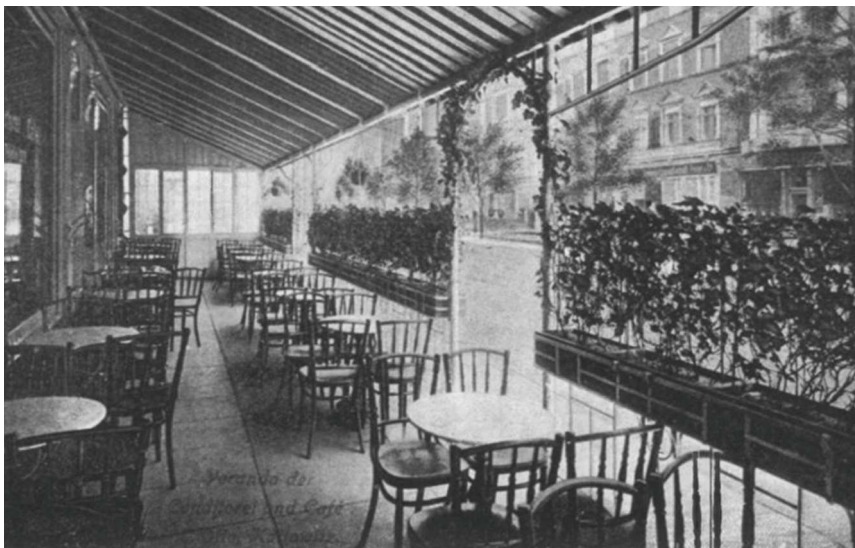
Za patrona swego cechu katowiccy piekarze i cukiernicy obrali św. Klemensa Dworzaka, pobożnego mnicha i rzetelnego piekarza żyjącego w XVIII wieku w Tasowicach na Morawach, a za patriarchę tutejszej konfraterni – piekarza mistrza Gnielińskiego, który w 1859. wraz z sołtysiem Trollem wchodził w skład zarządu wsi Katowice i brał udział w negocjowaniu zmian gminnego statutu.

Chleb, bułki i wyroby cukiernicze z jego pieców trafiały na stoły probostwa w Bogucicach, do hoteli „Welta” i „De Prusse” oraz na lady miejscowej karczmy Frölichów przy katowickim targowisku nad stawem Hutniczym. Kronikarze katowickiego rzemiosła twierdzą, że mistrz Gnieliński wraz z kolegami po fachu oraz innymi rękodzielnikami już w 1858 roku założył wielobranżowy cech, do którego należeli Piekarze, Piernikarze i Cukiernicy. Jako najstarsze w mieście wymieniają: piekarnię „Danzigera” (później Kronesa) oraz „Rosenbaum” w domu Ulricha. Kronesowie do 1914 roku mieli kamienicę





*Café Otto około 1912 widok z zewnątrz*



*Ogródek letni przed kawiarnią Otto 1913*



*Café Otto, wewnątrz około 1914*

i konfiserię w Rynku pod siódmką. Tam też swoją siedzibę miało niemieckie Bractwo Cukierników.

W 1901 roku godność Starszego Cechu piekarzy w Katowicach, koledzy powierzyli cechmistrzowi piekarskiemu Juliuszowi Pokornemu z Katowic. Organizacja liczyła wtedy 120 członków, zatrudniających ponad 80 czeladników. W lipcu 1907 roku jego liderzy byli organizatorami kilka dni trwającej Śląskiej Wystawy Piekarsko-Cukierniczej.

Cech cukierników w Katowicach powstał w 1927 roku. W rok później bracia piekarska i cukiernicza zorganizowała uroczyste poświęcenie nowego, polskiego sztandaru cechowego. W 1932 roku skupiał wokół siebie 29 członków. W tym czasie na czele Cechu stał starszy cechmistrz Artur Klupsch, zastępcą jego był Antoni Bonin, a skarbnikiem Ludwik Krömecke.

Pierwszym Starszym cechu Piernikarzy w polskich Katowicach został cechmistrz Paweł Kurzik. W 1932 roku jego stowarzyszenie liczyło 36 członków.

Zarząd Cechu Piekarzy i cukierników prowadził biuro na Mariackiej 9, gdzie Antoni Sadłowski, generalny sekretarz Związków Piekarskich miał „skład, piekarnię i cukiernię” a ponadto ulokował tutaj biuro Związku Cechów Piekarskich wraz z redakcją „śląskiego piekarza i cukiernika”.

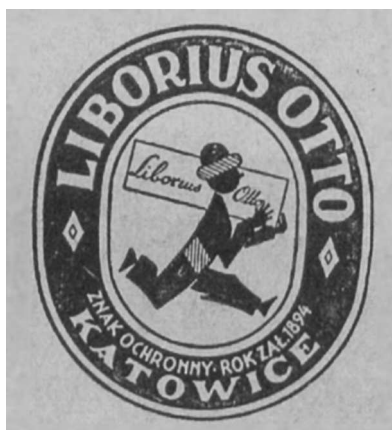
### Café Otto

Pod nazwiskiem swego założyciela, kawą, ciastkiem bądź wiedeńskim śniadaniem witała gości w latach 1905 do 1945. Potem przez kilka sezonów zapraszała jako „Lotos”, a w pamięci kilku pokoleń katowiczian przetrwała jako „Kryształowa”. Popularną nazwę zawdzięcza powojennym gastronomikom i aktorom katowickiego teatru, po drugiej wojnie światowej przybyłym ze Lwowa. Zauważyli, że wiedeńską architekturą i mahoniowo-orzechowym wnętrzem jest zdumiewająco podobna do „Kryształowej”, jaką pozostawili w stolicy polskich kresów wschodnich. Jeszcze na początku XXI wieku, do jej staroświeckiego wnętrza oświetlanego lampami osadzonymi w kandelabrach ze szkła kryształowego wchodziło się przez zabytkowe drzwi obrotowe z równie piękną świetlistą szybą. Dawniej stał przed nimi garson w zielonej liberii. Witaił i wprowadzał konsumentów do zarezerwowanych stolików.

Kawiarnię i cukiernię pod szyldem z własnym nazwiskiem założył Liborius Otto, który jako gastronomik zadebiutował w 1894 roku, w uzdrowiskowym Wiesbaden nad Renem. Z żoną Zuzanną z domu Masur oraz dwójką dzieci Antoniną i Franciszką zamieszkał w apartamencie nad cukiernią. W 1929 roku po sprzedaży firmy Spółce Handlowej Antoniego Balcera, wyjechał do Niemiec. Wkrótce potem z „Café Otto” rozstał się kierownik lokalu Antoni Radeczki i kierownik piekarni Kurt Dethe.

W 1929 roku właścicielem i dobrym duchem kawiarni i całej prawdziwie mieszczkańskiej kamienicy zamieszkałej przez znanych lekarzy i adwokatów został Sta-

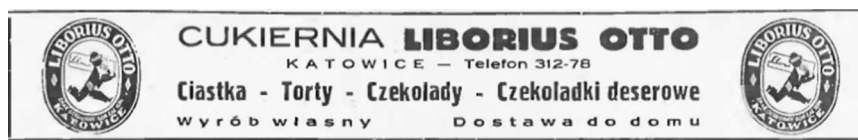




Liborius Otto znak firmowy rok założenia 1894



Legion 1934 nr 4 kawiarnia Liborius Otto życzy dosiego roku



Anons reklamowy cukierni Liboriusa Otto opublikowany w: Teatr im. St. Wyspiańskiego w Katowicach. Program na sezon 1938-1939. „Carmen”. Opera w 4 aktach. Muzyka Jerzego Bizet'a. Libretto Meilhac'a i Halevy'ego. W 100-letnią rocznicę urodzin Bizeta.



„Głos Górnego Śląska” 1922, wydanie jubileuszowe, reklama Liborius Otto

niśław Beszczyński, dyrektor generalny Spółki Handlowej, której przewodniczył Antoni Balcer. Beszczyński był synem Stanisława, współzałożyciela Towarzystwa Górnośląskich Przemysłowców i Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Katowicach; uczestnikiem Powstań Śląskich, konsulem honorowym Królestwa Węgier, pionierem przeszedł ciężkoatletycznego w Polsce i prezesem kilku organizacji sportowych: Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Polskiego Związku Motocyklowego oraz Śląskiego Okręgowego Związku Atletycznego.

Dla upamiętnienia swego poprzednika – nowy posesjonat zachował dawny szyld „Cafe Otto”.

Na drugim piętrze, w obszernym apartamencie z numerem 5 – zaaranżował gabinet dyplomatyczny, w którym gościł Węgrów i Polaków, niezmiennie żyjących w przyjaźni jako „dwa bratanki – i do szabli i do szklanki”. Koszty swojej misji zleconej przez ministra spraw zagranicznych Węgier pokrywał z własnych środków. Zajmował się promocją gospodarczą, handlową i kulturalną, ale przede wszystkim troszczył się o sport i sportowców. W 1939 roku niemieccy faszyci nie uszanowali jego immunitetu. W czasie okupacji więzili go w myśłowickich i krakowskich kazamatkach przy Montelupich.

#### Nie masz jak u Liboriusa

Lokal mistrza Otto legitymował się marką ochronną czyli zastrzeżonym znakiem towarowym. Miał bufet i sklep. Mieścił się w czterech salach na parterze staroświec-

kiej kamienicy. Zawsze rozbrzmiewał popularnymi melodiami wygrywanymi przez koncertującego tapera. Wypełniały go aromaty świeżo parzonej kawy i egzotycznych owoców.

Okazały bufet z kontuarem – w tym lokalu był tak ważny jak ołtarz w kościele. Na półkach lśniły różnego kształtu i wielkości flaszki z wyłoczonymi, wysrebrzonymi bądź wyłożonymi nazwami wytwórców a w nich czerwone, błękitne, przezroczyste i inne trunki z całego świata. W szklanych słojach kłębiły się najrozmaitsze cukierki i pomadki a za kryształową szybą gablot zdumiewała prawdziwa galeria ciast i tortów o oryginalnej kolorystyce i wymyślnej architekturze. W osobnej, oszklonej szafie rezydowały soki, likiery, bombonierki, czekolady oraz owoce kandyzowane. Ważne miejsce zajmowała waga. Cukiernia prowadziła sprzedaż na wynos i na telefoniczne zamówienie, z dostawą do domu. Przy kontuarze najczęściej kupowano torty. Były najważniejszym przysmakiem na przyjęciach rodzinnych i świątecznych, na bankietach wydawanych przez znaczące instytucje miasta. Po mszy niedzielnej, Katolicy i Ewangelicy szli na ciastka do pana Liboriusa. Można tu było zamówić słodycze na weselne, cukrowe kolacje, celebrowane przy łóżnicy państwa młodych w ostatnich kwadransach poprzedzających noc poślubną. Struclę Liborius oferował na Boże Narodzenie a mazurki na Wielkanoc. Kto nie posmakował wyrobów Liboriusa, ten nie wiedział, że żyje!

Kunszt artystyczny piekarzy i cukierników „Cafe Otto”, również w czasach nowej polskiej obsady za Beszczyńskiego ma-

terializował się w rzeźbie i kunsztownej budowie okazałych, trójwymiarowych ciast i tortów wyobrażających kwiaty, drzewa, zwierzęta, ptaki i cuda architektury. W 1936 roku, z okazji jubileuszu uruchomienia pierwszej katowickiej stacji kolei żelaznych, na wystawie popularnej cukierni, klienci i przechodnie oglądali wysoką na pół metra czekoladową lokomotywę z tendrem i kominem a 2 lata później wiosenną również z cukrów, ciasta i czekolady wyczarowaną kolekcję kwiatów, liści i gałązek pomiędzy którymi przycupnęły złotawobrazowe chrabąszcze – wyglądające jak żywe.

Nie wszystkim się to podobało. Pozbawiony poczucia humoru, dyżurny malkontent „Gazety Robotniczej” kontestował: „choć w bieżącym roku z powodu zimy na nie »obrodziły« się też tak chrabąszcze. Widocznie boleje nad tem cukiernia katowicka »Liborius Otto« przy ulicy Marszałka Piłsudskiego, bo brak chrabąszczy naturalnych stara się zastąpić sztucznymi, takimi z cukru i czekolady. »Hoduje się« zaś je w oknie wystawowym między ciastami i innymi słodyczami. Bywałcom tego lokalu życzymy »smacznego«.

Przed bufetem stanowiącym swego rodzaju wystawę cymesów i promocyjnych niespodzianek firmy, znajdowało się kilka stolików, przy których zajmowali miejsce niezdecydowani klienci. Ten bufet i niewielki salonik z kwiatami na przeciwległej ścianie zapamiętała pani Małgorzata Cebula, która jako studentka wstępowała do cukierni „Kryształowej” i przy stoliku z kawą po turecku spędzała długie kwadransy na lekturze ulubionych powieści z epoki Bolesława Prusa. Jest pewna, że na ścia-





Café Otto zbliżenie na fasadę 1915



Café Otto około 1922 kartka kolorowana



Liborius Otto 1939 widok z zewnątrz

nach oglądała obrazy ale nie przypomina sobie co przedstawiały.

– W pomieszczeniach domu tylnego pan Liborius osobiście a potem jego uczniowie wypiekali cukiernicze smakowitości. Na szerokim trotuarze przed kamienicą – już w dniu św. Jana zapraszał ogródek uciech dziecięcych, gdzie łakomczuchy w krótkich spodenkach zasiadały przy stolikach z torcikami i lemoniadą – wspominał dr Andrzej Rożanowicz, który w 1925 roku urodził się w apartamencie nad słodko pachnącą cukiernią i mieszkał w nim całe życie. Jego rodzice wprowadzili się tam w 1910 r. a ojciec stomatolog nad popularnym lokalem miał gabinet dentystryczny. Doktora Stanisława Rożanowicza katowiczanie zapamiętali jako prezesa katowickiego gniazda „Sokoła” a jego syna Andrzeja jako żywą historię miasta i wybitnego działacza Związku Harcerstwa Polskiego.

Dr Czesław Rymer, syn Józefa Rymera, pierwszego wojewody śląskiego, po raz pierwszy do „słodkiego Liboriusa” trafił jako nastolatek:

– „Do kawiarni Liborius Otto chodziłem już jako uczeń gimnazjum, pod koniec lat 20. XX w, ze starszą siostrą albo kolegą i jego ojcem, wicedyrektorem Wyższego Urzędu Górniczego. Tam było wszystko. Ja zwykle tam piłem herbatę, ale można się było oczywiście napić kawy, czekolady, kakao, zjeść ciasto. To była najelegantsza kawiarnia w Katowicach. Chodziła tam śmietanka ówczesnych Katowic, na czele z marszałkami Konstantym Wolnym i Karolem Grzesikiem. Bywali tam adwokaci, lekarze, sędziowie. Pamiętam jak dziś, że w środku pięknie pachniało kawą, jak w najlepszych wiedeńskich kawiarniach. Meble były wyściełane, pod oknami stały małe kanapy do siedzenia. Na podłodze – dywany. Były też duże figury, np. leżącego tygrysa. W pierwszej sali można było kupić ciasta na wynos, były tam też miejsca do siedzenia, w kolejnych salach – już typowa kawiarnia. Pamiętam, że kawa biała, najprostsza, kosztowała tam 55 groszy, sama kawa – 50 groszy plus 10 proc. napiwku dla kelnera, doliczane go przez nich samych. Kelnerzy, wyłącznie mężczyźni, nosili fraki, a latem – białe marynarki. Panie też tam pracowały, ale już za barem. Mąż gosposi mojej siostry był kelnerem w Krysztalowej, stąd wiem, że średnio zarabiali oni tam 800 zł (tylko z napiwków, bo pensji nie mieli). To było mnóstwo pieniędzy, dla porównania starszy radca wojewódzki, człowiek z wyższym wykształceniem, zarabiał 550 zł na miesiąc.”

W międzywojennych Katowicach kawiarnia pana Otto nie była lokalem artystycznym. Ulokowała się w kamienicy osnutej legendą żydowskiego domu modlitwy, ale nie stała się kultowym zakamarkiem orszaku 9 Muz Apollina. W poprzednim stuleciu należała do zamożnego kupca Salomona Goldsteina.

W mieście mieszkała spora gromadka twórców sztuki – malarzy, muzyków, literatów i aktorów, jednak wśród nich zabrakło owego tajemniczego spiritus movens, który w tych ścianach wykreowałby scenkę kabaretową, galerię malarstwa czy grafiki podobne do tych jakie krakowianie wyzarowali



przy Floriańskiej, w przesławnej „Jamie Michalikowej”, od katowickiej kawiarni starszej zaledwie o 10 lat.

Namiastką podobnych natchnień pozostaje wciąż rozproszona kolekcja rysunków i karykatur, które wyszły spod ręki Mieczysława Roleckiego, piórkciem lub ołówkiem portretującego właścicieli i gości katowickich zakładów gastronomicznych. Poczet jego modeli i modelek, w albumie *Karykatury śląskie*, w 1932 roku uwieczniło wydawnictwo „Polonia”. W katowickich kawiarniach Rolecki pokazywał swoje prace na kilkudniowych wystawach. Wśród nich był także jego autoportret, do którego Stanisław Janicki dopisał rymowanek:

„Niebezpieczny malarz główek  
Brusi stepiony ołówek,  
Kto mu rysunki zaczepi,  
Temu jeszcze mocniej wlepi..”

Z „Księgi gości” wzmiankowanej tylko we wspomnieniach sebrnowłosych gawędziarzy wynika, że w „Cafe Otto” przy stolikach z marmurowym blatem zasiadały gwiazdy artystycznego i politycznego firmamentu lat 20. i 30. Kawę po wiedeńsku podawaną w porcelanowych filiżankach raczył się tutaj Ludwik Solski, wojewoda Grażyński, (obydwaj pochodzący z Gdowa nad Rabą), Pola Gojawiczyńska, autorka powieści *Ziemia Elżbiety*, w 1931 roku mieszkanka Piekar Śląskich, aktorka Irena Kwiatkowska, oklaskiwana na scenie Teatru Polskiego a także debiutujący warszawski poeta Konstanty Ildefons Gałczyński ogłaszający swoje wiersze na łamach katowickiej „Polonii”.

Do cukierni podobnej do lwowskich lokali w wiedeńskim stylu na torcik Sachera lub Radetzky’ego z ampulką dobrego francuskiego koniaku zachodził dyrektor Śląskiego Instytutu Rzemieślniczo Przemysłowego, inżynier Mieczysław Bizoń z żoną Martą z Krantzów. Oboje byli miłośnikami opery i kolekcjonerami malarstwa. Często towarzyszyli im siostrzeńcy: Jan Krantz właściciel śląskiej wytwórni witraży i oszkleń artystycznych „Antique”, (w latach 50. XX wieku wyemigrował do USA i otworzył własną pracownię w Nowym Jorku. Zasłynął z „Czarnej Madonny”, mozaiki podarowanej prezydentowi Stanów Zjednoczonych i do dziś będącej ozdobą kościoła w Pannie Marii – najstarszej, polskiej świątyni Ameryki.) oraz Kazimierz Gruss, autor słów do tanga „Trudno” i kilku innych przedwojennych przebojów. Obydwaj uwielbiali jeść pieczone włoskie kasztany. Ostatnim przedstawieniem jakie oglądali na scenie Teatru Wyspiańskiego była „Carmen” Georga Bizeta wystawiona na stulecie urodzin wielkiego kompozytora.

Możemy się domyślać, że bywali tutaj aktorzy pobliskiego teatru a także poeci, pisarze i laureaci Śląskiego Towarzystwa Literacko-Artystycznego; Zofia Kossak Szczucka, Gustaw Morcinek i ponad dwudziestu innych mistrzów pióra zaliczonych do tego gremium. Jako prezes przewodził im Włodzimierz Żelechowski. Jak do tej pory nie udało się dotrzeć do kawiarnianych wspomnień zapisanych przez muzyków i śpiewaków Śląskie-

go Konserwatorium Muzycznego ani też przez malarzy albo grafików skupionych w wokół Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku im. Aleksandra Gierymskiego przy ulicy Kościuszki 26.

Wdzięcznymi konsumentami specjalów mistrza Liboriusa byli miejscowi adwokaci, notariusze i sędziowie a wśród nich dziekan Kazimierz Czaplą ze swoją piękną żoną Marią z Szeliskich, Senator RP Stanisław Kobylński i marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny. Najczęściej zasiadał z nimi – serdeczny ich przyjaciel – dr Bogusław Parczewski, znakomity ginekolog i największy filantrop tamtych czasów. W pobliżu mieli kancelarie a dr Parczewski – gabinet przy Teatralnej. W Rynku znajdowała się siedziba Śląskiej Adwokatury a na rogu Dyrekcyjnej i Dworcowej – Wydział cywilny Sądu Okręgowego. „Cafe Otto” upodobałi sobie oficerowie wyższych szczebli wojskowych – od pułkownika w górę. Niższe szczeble bawili w pobliskiej „Teatralnej” lub w „Europie”.

Cukiernia była miejscem familijnych biesiad i towarzyskich spotkań wymagającego i zamożnego mieszczaństwa. Jedna z plotek głosi, że największy apetyt wybrednych smakoszy – jej wyroby zaczęły wzbudzać, dopiero po 1928 roku, gdy Liborius Otto zatrudnił wielkopolskiego cukiernika Antoniego Radeckiego i kilku jego kolegów.

„Z tych uroków wielkomięjskich, które zresztą w latach kryzysu mocno przybladły, korzystało przede wszystkim „górnich dziesięć tysięcy” o wysokich dochodach, częściowo także średniacy” – zauważył przedwojenny dziennikarz August Grodzicki.

Poza przysmakami, na stolikach konsumenci znajdowali najnowsze wydania kolorowej prasy krajowej i zagranicznej. Już od wczesnych godzin porannych czekały na nich dzienniki warszawskie. Obok leżały bliskie sercu publikacje „Polski zachodniej” i „Polonii” ale także „Zarania Śląskiego”, w którym swoje teksty publikowały takie asy jak: Jan Zydydor Sztaudynger, Emil Zegadłowicz, Julian Przyboś czy Kornel Filipowicz.

Nie każdego było stać na korzystanie z usług takiego lokalu. Niedostępny był dla bezrobotnych i bezdomnych. Oni musieli się obejść czytaniem przez szybę kawiarnianej witraży.

„W kawiarniach Lamii i Liboriusa można było przeczytać niemal całą prasę polską, w tym również literacką, oraz kilka gazet zagranicznych. Największe dzienniki wywieszały codziennie w gablotach swoje świeże kolumny, od „Kattowitzer Zeitung” i „Oberschlesischer Kurier” po „Polonię” i „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”. Moja poranna wędrówka po Katowicach zaczynała się na ulicy Mariackiej, gdzie czytałem te dwa polskie dzienniki, a kończyła na ulicy Stawowej, gdzie w gablocie wisały stronicy „Oberschlesischer Kurier”. Wielu takich jak ja, bezrobotnych lub po prostu żądnych wieści z niepokojącego świata, wystawało przed szybami, tłoczyło się w milczeniu, szukało prawdy, nie znając jej, niestety, w nadmiarze” – zwierzał się Wilhelm Szewczyk, wspominający swoje pierwsze kroki na katowickim bruku.

W „Cafe Otto” obok bufetu palacze papierosów i tytoniu fajkowego mieli ciasną i niezbyt szczelną separatkę „za dwoma schodkami”. Stamtąd zalatywały odurzające wonie i peływały smużki błękitnego dymu. Dystyngowani panowie wzorem popularnego wtedy Freda Astaire’a na wytworne fraki zakładali jeszcze jedwabne lub aksamitne smoking-jackety chroniące ubranie przed popiołem i jęlczejącymi osadami nikotyny. Ubijali interesy, negocjowali transakcje, grali w pokera i w coraz modniejsze go brydża.

Panie zajmujące osobną salę przeglądały żurnale mód i kroniki towarzyskie, rozmawiały o przedstawieniach katowickiego teatru, opowiadały co i jak się tańczy, dzieliły się towarzyskimi sensacjami, ploteczką i anegdotą.

W wywiadzie na łamach katowickiego „Wieczoru”, pan Paweł Ostrowski, wieloletni pracownik kawiarni „Otto” w czasach Beszczyńskiego, wspominał:

„Krótko przed otwarciem lokalu odbywało się tak zwane „wykazanie”. Polegało ono na tym, że kelner obchodził wszystkie pomieszczenia z rozżarzoną kawą w rękę. W sali głównej obowiązywał całkowity zakaz palenia, tak aby nieprzyjemny zapach tytoniu nie opanował kawiarni. Palacze mogli oczywiście palić, jednak w specjalnie wydzielonej ku temu sali. W »Lotosie« spotykała się nadal cała śmietanka towarzyska powojennych Katowic i wciąż przybywali tam kupcy i handlowcy z różnych krajów. Kelnerzy obowiązkowo musieli znać języki obce. W kawiarni bez problemu można było składać zamówienia po angielsku, niemiecku, francusku i włosku. Kelnerzy podawali gościom kawę, herbatę, wino, piwo i różnego rodzaju ciasta. Wszystko przygotowane i udekorowane w odpowiedni sposób. Wśród ciast znaleźć można było takie przysmaki, jak torty Sachera, sękacze czy drożdżowe babki warszawskie. Właściciele, czyli Beszczyński, a później jego żona dbali o to, by surowce były najwyższej jakości. Wszystko smażono i pieczono na klarowanym maśle sprowadzanym specjalnie z województwa poznańskiego. Każdy pączek i każde ciastko, tego samego typu musiało wyglądać identycznie, jak dwie krople wody. Tak zwane »resztówki«, czy nieudane wypieki pracownicy rozdawali za darmo ubogim.”

Ta dobra powojenna passa nie trwała jednak zbyt długo. Skończyła się około 1949 roku. Stanisław Beszczyński mieszkał przy Poniatowskiego 23. Zmarł w 1947 roku. Jego żona Aniela, zabytkową kafenię z konfiserią w przedwojennym stylu – teraz o nazwie „Lotos” – prowadziła do 1949 roku. Potem jako „Kryształowa” funkcjonowała pod zarządem Katowickich Zakładów Gastronomicznych. Atrakcją była jeszcze na początku III tysiąclecia. Funkcjonowała do 2010 roku.

W ciągu ponad stu lat oryginalnej działalności gastronomicznej zasłużyła na tytuł nestorki i na trwałe wspomnienie w pamiętnikach życia obyczajowego katowickich inteligentów, którym zapewniała komfortowy poczęstunek i ulubioną rozrywkę.

KATARZYNA NIESPOREK

# Jubileusz 85-lecia urodzin Bogdana Dworaka

26 lipca 2018 roku w klubie *Novum* w Zawierciu świętowano 85-lecie urodzin Bogdana Dworaka. Ten urodzony w 1933 roku poeta, felietonista, publicysta, założyciel grupy poetyckiej „Szale” oraz organizator „czwartków literackich” jest jedną z najbardziej znanych postaci ziemi zawierciańskiej. Na jego jubileusz przybyli nie tylko znajomi i przyjaciele, ale także przedstawiciele władz miasta, instytucji kultury (m.in. Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej w Zawierciu oraz Miejskiego Ośrodka Kultury „Centrum” im. Adama Mickiewicza) oraz nauki.

„Tłumaczył nam ważność tradycji regionalnych, obrzędów, muzyki, literatury. Aranżował wiele twórczych spotkań dla tych, którzy chcą poszukiwać swojej tożsamości, którzy odczuwają sentyment do rodzimego krajobrazu” – mówiła jedna z uczestniczek spotkania, wręczając Solenizantowi bukiet kwiatów z jurajskich łąk. „Co można powiedzieć wobec Jubilatą o Jubilate?” – rozpoczął swoje wystąpienie profesor Marian Kisiel – „Takiego gawędziarza jak on, nie ma wśród nas. Bogdan Dworak opowiada o tym, co go najbardziej pasjonuje, czyli o tej ziemi, o ludziach, o przeszłości. Co decyduje o sile jego wypowiedzi? Talent. Ale ten talent nie bierze się sam z siebie. Mowa Jubilatą wyrasta z określonej tradycji, konkretnego podglebia. Przez całe życie słuchał ludzi. On umie słuchać, lubi słuchać, chociaż jeszcze bardziej lubi mówić. Druga rzecz, która sprawia, że nasz Solenizant potrafi mówić tak zajmująco – kontynuował badacz z Uniwersytetu Śląskiego – to wiedza, którą wyniosło się z poznawania rodzimego krajobrazu. Jest ona związana z dwiema kolejnymi cechami, którymi może poszczycić się nasz szanowny Jubilat – z miłością do ludzi oraz z szacunkiem do przeszłości. Piąta cecha to otwartość: na świat, na innego, na cudzą odmienność”. Profesor Marian Kisiel w swojej wypowiedzi przypomniał także ważne słowa profesora Włodzimierza Wójcika, który w wyimkach głosów o twórczości Solenizanta w tomie *Obliczone z metafor* pisał: „Dworak osobiście ujmuje mnie tym, że chodzi tymi ścieżkami życia, którymi ja chodziłem i dalej chodzę. Te „domowe” ścieżki wiodą nas przez pejzaż zawierciański, Katowice, Dąbrowę Górniczą, Olkusz, brzegi Warty, Czarnej i Białej Przemszy czy Brynicy. Przez Zagłębie i Śląsk, a więc przez bliskie sercu regiony, które stanowią ważny i urokliwy komponent Polski, Europy i świata”.

Po tych słowach uznania zostały przypomniane wiersze Jubilatą z nowych wydań arkuszy poetyckich *Obrzęk* oraz *Obliczone z metafor*. Odczytywał je sam poeta na zmianę z aktorką Ewą Trzewicarz. Uwagę zebranych przykuł szczególnie jeden z utworów, którego interpretację przedstawił profesor Marian Kisiel. Swoją opowieść rozpoczął od odniesienia do tomiku, z którego pochodzi liryk *Pojmowanie dziejów*: „Zbiorkowi temu – za podpowiedzią Stanisława Swena Czachorowskiego – został nadany tytuł *Obliczone z metafor*”. Badacz wyjaśnił, że autor *Kłęczników oriońskich* to „w polskiej poezji twórca niebywale oryginalny, nieporównywalny z nikim. Łączono go tylko z Mironem Białoszewskim – także poetą lingwistą, ale mocniej koncentrującym się na metaforze. Jeżeli Mirona Białoszewskiego, mimo wszystko, dałoby się zobaczyć jako poetę bardziej realistycznego, to Stanisław Swen Czachorowski był poetą poetyckiego symbolu. W jego pierwszych tomikach była bardzo mocno eksponowana problematyka Zagłady. W zbiorze Bogdana Dworaka liryk *Pojmowanie dziejów* jest poświęcony również Zagładzie. Jubilat napisał ten wiersz w roku 1961, a więc w dwudziestolecie powstania getta na ziemi, na której obecnie się znajdujemy. Utwór ten jest poświęcony pamięci Żydów zawierciańskich. To wiersz dramatyczny”. Profesor Marian Kisiel po tym wprowadzeniu odczytał ów liryk:

pojmowanie dziejów

*pamięci żydów zawierciańskich*

tauba miała nogi podobne do nóg słonia i niewidomego ojca  
 pewnej nocy taubę zabrali za druty do getta  
 działo się to w trzecią jesień drugiej wojny światowej  
 a jej niewidomego ojca zastrzelono na progu mieszkania  
 minął niecały rok nadeszło upalne duszne lato  
 ludzi z getta Niemcy wywozili w długich pociągach  
 do oświęcimia  
 – pójdziemy się przejść koło torów – powiedziała matka  
 prawdopodobnie ubijają ich w wagonach  
 niczym śledzie w beczkach  
 długi pociąg wyjeżdżał z magazynów luftwaffe  
 lokomotywa ciężko sapała  
 z jednego wagonu rozlegało się wołanie  
 był to głos tauby  
 – pani heleno pani heleno oni nas wiozą na mydło  
 niech pani syn doczeka ludzkich czasów  
 niech wyrośnie na bohatera  
 niech pani nie zapomni pozdrowić męża jak wróci z obozu  
 niech go pani nie zapomni pozdrowić od tauby  
 co mu dawała macę a teraz wiozą ją na mydło  
 – mamusiu czy to prawda że z nich zrobią mydło  
 – tak  
 – to dlatego Niemieccy zandarmi są zawsze tak czysto wymyć!  
 –.....!

Warszawa 1961

Po zarecytowaniu wiersza badacz skonstatował: „ten wiersz powstał w roku 1961, kiedy pamięć o tym, co się zdarzyło, była pamięcią powszechną. Niewielu jednak pamiętało Taubę. W młodej pamięci Bogdana Dworaka została ona uwieczniona. To był czas niebywale trudny. W 1942 roku wywożono z okolic Zawiercia, Jędrzejowa, Szczekocin wszystkich w tę jedną stronę – do obozu koncentracyjnego. To był okres likwidacji owych skupisk, które nazywały się gettami. Ten wiersz ma w sobie porażającą moc dlatego, że nie ma w nim upiększeń. Powiedziałbym, że utwór ten, odwrotnie niż tytuł zbioru *Obliczone z metafor*, jest odarty z metafory i wypowiedziany tylko i wyłącznie trzema głosami: głosem Tauby, głosem matki i głosem małego chłopca, który to wszystko widzi. Dzisiaj, kiedy literatura na temat Zagłady jest tak obszerna, że przestajemy się już w niej orientować, warto pamiętać szczególnie o jednej kategorii – *bystandera*. Kto to jest *bystander*? To jest ktoś, kto patrzy na to, co się dzieje i jest wobec tego wszystkiego obojętny, postronny. Otóż w wierszu Dworaka nie ma *bystandera*. Tu jest ten, który jest bezpośrednio obecny w tym, co można by nazwać okolicznościami Zagłady i równocześnie, który ocala pamięć tej jednej o „słoniowatych nogach” kobiecie, która równocześnie jest wielkim przypomnieniem wszystkich tych, których już nie ma, lecz pozostali w pamięci”.

Rozmowy o poezji Bogdana Dworaka były przeplatane muzyką. Piosenki z repertuaru m.in. Andrzeja Zauchy, Bogusława Meca, Bułata Okudźawy wykonywali Piotr Gołjat (wokal i klawisz) wraz z Sebastianem Rucińskim (gitara) oraz Piotrem Górką (kontrabas). Spotkanie zakończyło się wspólnym toastem i odśpiewaniem tradycyjnego „Sto lat”, po którym zabrał jeszcze głos Witold Grim, burmistrz Zawiercia. Po złożeniu Jubilatowi życzeń ogłosił, że Rada Miejska podjęła starania o nadanie Bogdanowi Dworakowi miana Honorowego Obywatela Miasta Zawiercie. ■





Dwieście lat temu znajdował się w tym miejscu chylący się ku upadkowi dwór. Położony wśród naturalnych rozlewisk oraz stawów, wkomponowany w parkowy krajobraz, nad którym górowały ponad stuletnie dęby, stał się inspiracją do wybudowania na jego miejscu pałacu. Ten wzniesiony został w latach 1810-26 dla radcy królewskiego Erdmanna von Rödern. W roku 1842 rezydencja przeszła w posiadanie hrabiego Carla von Pourtalès. Najwyraźniej i on został urzeczony pięknem tego miejsca, ponieważ obiekt pozostał w rękach tej rodziny do 1945 roku.

Na przestrzeni wieków obiekt był przebudowywany, w efekcie czego powstała rezydencja o powierzchni ponad 2,5 tys. metrów kwadratowych, rozlokowana na planie litery U. Była to dwukondygnacyjna budowla z mieszkalnym poddaszem i bardzo rozbudowanym systemem piwnic. Te notabene w większości są drożne do dziś, choć z bryły pałacu niewiele się zachowało. Patrząc na stan, w jakim pałac znajduje się obecnie, trudno sobie nie zadać pytania o to, kto przyczynił się do takiej sytuacji. Ciężko wytypować bezpośredniego sprawcę upadku obiektu, na jego zagładę złożyło się wiele czynników, które były efektem zaniedbań i źle podejmowanych decyzji.

Po wojnie w pałacu stacjonowali czerwonarmiści, którzy kierując się prawem zwycięzców, grabili i niszczyli co się dało. Odarty z cennego wyposażenia, które zostało najprawdopodobniej wywiezione, sprzedane lub wymienione na alkohol, obiekt został przekazany władzy ludowej. Później nastąpiła era PGR, gdzie obiekt służył jako mieszkania pracownicze. Mieszkańcy wychodząc z założenia, że „to i tak poniemieckie” nie kwapili się do remontów. We wnętrzach zachowana była część mniej cennego wyposażenia. Drewniane, zniszczone boazerie stały się źródłem taniego opału, elementy metalowe jak nie trudno przewidzieć wycinano, osłabiając tym samym konstrukcję obiektu. W momencie, gdy całość chyliła się ku upadkowi i zarastała krzakami, mieszkańców wysiedlono. Nowym właścicielem znajdującego się już praktycznie w ruinie obiektu został „Dolpasz”. Powstały plany rewitalizacji całego założenia pałacowo-parkowego, jednak bardziej trafnym określeniem obrazującym ówczesną sytuację byłoby stwierdzenie, że dla pałacu nastał okres cudów – podczas remontu, który przyniósł więcej strat niż korzyści, za sprawą jakiejś nadprzyrodzonej siły z pałacu zniknęły ozdobne posadzki, większość zdobionych w sztukaterię sufitów wyparowała jak kamfora. W końcu zaś środkowa część sufitów runęła.

Początek lat dziewięćdziesiątych i nowobogacka moda na kupowanie tego rodzaju obiektów spowodowała, że obiekt został nabyty przez prywatną firmę od Agencji Nieruchomości Rolnych. Rozpoczęto kolejny remont, który ograniczył się do zamurowania wejść i okien. Dach bez poszycia istniał jeszcze po roku 2000, ale obecnie próżno by szukać jego choćby małego kawałka, natomiast sam obiekt

# Śląskie tajemnice cz. 8

## Ruiny pałacu w Głębowicach

JULIA MONTEWSKA

wygląda jakby przeżył bombardowanie. Wszystkie kondygnacje zmielone z rumoszem ceglany leżą wśród kikutów ścian. Podziemia, piwnice, tajemnicze przejścia i pomieszczenia – tych jest naprawdę sporo, ale i one noszą ślady plądrowania, rozkuwania ścian i stropów w poszukiwaniu skarbów. Czy takie tu były? Trudno dociekać, wszak utworzono tu majorat, a później państwo stanowe Głębowice o powierzchni 1736 hektarów. Tymczasem siedem powojennych dekad wystarczyło, by z braku pomysłu i zwykłej głupoty obrócić w ruinę rezydencję, która w okresie swej świetności była uważana za jedną z piękniejszych budowli tego typu wybudowanych na Śląsku, która została objęta ochroną konserwatorską i wpisana do rejestru zabytków, podobnie jak park znajdujące się w nim mauzoleum, dom ogrodnika i oranżeria.

Przyroda sama zabiera to, co kiedyś jej wydarto pod budowę pałacu, i teraz powoli przejmując nad nim władzę sukcesywnie rozsadzając korzeniami wszystko, co wznosił człowiek na chwałę swej pozycji społecznej i rodu. Powoli zaciera się ścieżki krajobrazowego parku, coraz trudniej znaleźć pozostałości po oranżerii i domu ogrodnika. W cieniu starych drzew skrywa się mauzoleum z kaplicą, którą zdobią piękne polichromie i cytaty z biblii. Wyblakłe, ledwo widoczne odchodzą tak jak wszystko, o co nie zadbano w Głębowicach. ■

*Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.*

W zarośniętym parku krajobrazowym zalewanym przez wylewające stawy i cieki wodne kończy się historia pałacu, który dwieście lat temu uchodził za jedną z piękniejszych rezydencji Dolnego Śląska. Pomimo, że czasy jego świetności bezpowrotnie przeminęły, jest to miejsce pełne uroku, któremu magii dodają stare dęby szypułkowe. Niektóre z nich liczą sobie 350 lat. Tak jak pałac, również i one powoli umierają, będąc siedliskiem kozioroga dębosza: chrząszcza znajdującego się pod ścisłą ochroną, którego larwy na miejsce żerowania wybierają tylko stare dęby, zjadając w świetle prawa drzewa, które winny stać się pomnikami przyrody. Zнали się od zawsze, pałac i drzewo. Nierozłączni, skazani na swą obecność od wieków, pozostali sobie wierni aż po życia kres. Dziś stary, uschnięty dąb o rozłożystych konarach wskazuje, w którym miejscu znajdują się ruiny po tym, co kiedyś było pięknym klasycystycznym pałacem w Głębowicach. Frontowa ściana nadal jest piękna, ale schody zupełnie przejął w posiadanie park, najpierw pokruszył kamienne stopnie korzeniami, a potem zapuścił mchem by nasączyć ściany wilgocią. Potężne korzenie starych dębów kruszą kamienne fundamenty i burzą ściany.

Parkowy starodrzew skrzętnie skrywa swoje tajemnice. Położony wśród plataniny ścieżek, rozlewisk i stawów dom ogrodnika z przepiękną oranżerią jest dziś trudny do odnalezienia. Ruina, jaka po nim została niczym już nie przypomina oszklonego obiektu z tropikalnymi roślinami, jakie tu hodowano. W niepamięć też odeszli ci, którzy pokochali Głębowice, a na miejsce swego wiecznego spoczynku wybrali kilkusetletni park, gdzie w towarzystwie starych dębów pamięć o nich miała przetrwać wieki. Piętrowe mauzoleum z kartuszem herbowym wielkiego rodu i przyległa doń kaplica opatrzona cytatami z biblii miały podkreślać majestat rodu i chwalić Boga. Wysokie schody prowadzą do izby pamięci o tych, których złożono w niszach grobowych mauzoleum. Pęknięta zimna kamienna płyta, na niej nazwiska i zastygły w czasie kurz. Pośmiertne inskrypcje i już dziś nic nieznaczące daty, wyrze dłutem nieznanego kamieniarza. Opieczętowane wejścia do krypt już dawno zostały rozbite, zmarli nie zaznali spokoju. Sprofanowane szczątki, ograbione z kosztowności i odarte z godności złożono do jednej z dwóch nisz mauzoleum, a wejście zamurowano.

# EUGENIUSZ SIKORSKI

## PROLOG

Dla ciebie niosę  
kilka prostych słów  
Rzeka  
Drzewo  
Dom

Na słowach tych niosę  
swój lęk  
o tobie myśl  
pokorę

Dlaczego więc zamykasz drzwi  
a skobel broni wejść

## ŁAŃCUSZEK

Podaję ci łańcuszek  
Jeżeli chcesz to weź  
Pierwsze ogniwo – źdźbło  
Drugie ogniwo – krzew  
Trzecie ogniwo – dąb  
Czwarte ogniwo – las

Jeżeli chcesz  
Tym łańcuszkiem mnie skuj

Potem postawię dom  
Ty zawieszysz firanki  
A czytał będzie nam Leśmian

## KWIATY

Z kamieni nic nie wyrośnie,  
one uparcie bezpłodne.

Kwiaty  
to co innego,  
każdy zdolny  
i niepowtarzalny

jak kamień.



Rys. Anna Pawłuszkiewicz



## KOŁATKA

A dom  
niech pożar pochłonie,  
niechaj powali go trzęsienie ziemi,  
wreszcie do piekła zniosą go.

Byle ostała się  
kołatka słowa.

Coś w trwożnym świecie  
muszę przecież mieć.

## WIEK XXI

Pejzaże lasów,  
łąk i traw,  
dotknąć ciał  
gdzieś się zapodziały.

Teraz  
ręka ugięta w łokciu,  
dłoń z metalem przy uchu,  
palce na klawiaturze.

Oczy uwięzione  
w srebrze monitora.

## MĄKA

Gdy wyjechałaś z miasta,  
nic tutaj się nie zmieniło.

Staruszka wyprowadza psa,  
patrol leniwie sunie ulicą,  
po czerwonym  
jak zwykle zapala się zielone,  
dzieci grają w klasy,  
nie nadciąga burza.

Zapobiegliwi piekarze  
porcjują mąkę  
na jutrzejszy chleb,

Wojny nie będzie.

## WÓZEK

Gdy mają lat już dziesiąt,  
a ich naiwność naście,  
ciągną pieszczotą oczu  
strach umierania gaśnie.

Gdy on popycha wózek,  
by ulżyć jej w boleści,  
jej dobrze tak jak w ten czas,  
gdy rzeczywiście pieścił.

Pamięta, co powiedział  
pod ich młodości bramą,  
jest spokojna, wie, dzisiaj  
powiedziałby ro samo.

## UTOPIA

Raskolnikow zawiesza  
siekiere w powietrzu.

Złodziej puka do drzwi,  
aby oddać łup.

Prostytutka wraca  
do matki i ciepłego domu.

Pijak wylewa z butelki  
do zlewu.

Prokurator  
ma uśmiech na twarzy.

Tomasz Morus nas pozdrawia,  
pyta o gościńię i sen.

**EUGENIUSZ SIKORSKI** – urodził się w Katowicach w 1957 roku. Absolwent polonistyki w Uniwersytecie Śląskim. Nauczyciel języka polskiego w Szkole Podstawowej Fundacji Elementarz w Katowicach i II LO im. J. Matejki w Siemianowicach Śląskich. W latach 1975-1989 kierownik artystyczny Studenckiego Teatru 12a w Klubie Puls w Katowicach. Jako twórca teatralny zadebiutował w 1975 roku przedstawieniem Białoszewskiego Teatr Osobny. Twórca przedstawień Bez nieba otwartego, Bomba, J. Smutny zrealizowanych z grupą metodą kreacji zespołowej, które prezentowane były w największych ośrodkach akademickich w Polsce, w klubach „Stodoła” w Warszawie, „Rotunda” w Krakowie, „Żak” w Gdańsku, „Chatka Żaka” w Lublinie. Autor wydanych własnym sumptem tomików wierszy *Erotyki* (1995), *Kamieniołom* (2005), *Balustrada* (2018).



Z prof. **ZYGFRYDEM NOWAKIEM**  
– laureatem nagrody ONZ-UNEP „Global 500”,  
rozmawia **TADEUSZ SIERNY**

# Zrównoważony Rozwój – co to dzisiaj znaczy?

– Zaczę od intrygującej mnie informacji: Jak Pan się znalazł na tej liście „500 w ochronie środowiska” z całego świata?

– Zaczniemy od przypomnienia definicji zawartej w tytule pięknego pojęcia „Zrównoważonego Rozwoju” sformułowanego przez Komisję ONZ p. Brundtland pt. „Our Common Future” w 1987 roku: „*Sustainable Development czyli Zrównoważony Rozwój – ZR* to taki, w którym rozwój obecnych pokoleń nie odbywa się kosztem następnych (definicja ZR przyjęta przez ONZ do stosowania w Światowej Konferencji RIO’92 i zapisana również w naszej Konstytucji 1997).

Początek dała konferencja ONZ w Sztokholmie w 1972 roku, gdy Szwedzi poznali już przyczyny zakwaszenia swoich jezior tzw. kwaśnymi deszczami niesionymi w znacznym stopniu przez wiatr z Wielkiej Brytanii. Wtedy powołano UNEP czyli Agencję Ochrony Środowiska ONZ. Tę datę można uznać za początek światowego, prawnego ruchu na rzecz ochrony środowiska, chociaż i wcześniej prowadzone były liczne działania w różnych krajach. Szczególnie aktywni w tym zakresie byli Szwedzi i takimi pozostali do dzisiaj. Miałem możliwość wiele się nauczyć, gdy zaprosili mnie do składu Rady Naukowej „Stockholm Environment Institute”. Między innymi dzisiejsza, uprawiana w Polsce tzw. „wierzba energetyczna” jest moim „importem” z tamtych czasów.

A wyróżnienie wręczono mi w Moskwie w 1998 roku w czasie Światowego Dnia Ochrony Środowiska, ale droga do nagrody jest bardzo długa i zaczęła się w harcerstwie tuż po wojnie, gdy przestralaliśmy Prawo Harcerskie głoszące:

„*Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać*” a później jako uczniowie „*Katowickiego Mickiewicza*” sadziliśmy drzewka na apel Wojewody Jerzego Ziętka – pomysłodawcy Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku. Można powiedzieć, że był to w Polsce pierwszy projekt rekultywacji terenów poprzemysłowych. I dzisiaj ze wzruszeniem dotykam w parku bardzo rosłe drzewa pytając: A może to moje?

Moja zawodowa droga ma swój początek w 1956 roku – wtedy otrzymałem dyplom w Katedrze Przeróbki Mechanicznej Kopalni Politechniki Śląskiej i zostałem zaliczony przez mojego promotora śp. Prof. Tadeusza Laskowskiego do „Jego Drużyny”.

To wspaniały człowiek i wychowawca – znany również jako założyciel i pierwszy dyrektor Głównego Instytutu Górniczego a także wieloletni rektor Politechniki Śląskiej i członek Rady Naukowej GIG, gdzie opiekował się młodą kadrą naukową. Był promotorem mojej pracy doktorskiej.

„*Przygotowanie do racjonalnego użytkowania czystego węgla*” było Jego dewizą życiową i obszarem zawodowym którym kierował także w GIG, a ta dewiza to najbliższa droga do bycia „ekologiem” na dzisiejszym Śląsku. Wraz z gronem kolegów dołączyliśmy „z ówczesnym nakazem pracy” do GIG, tworząc pod Jego kierunkiem „drużynę zawodową” – ale również sportową, bo wiem Profesor był wielkim entuzjastą sportu. Otrzymałem od Niego opaskę „kapitana” ale w drużynie było wielu „mistrzów asysty” jak to dzisiaj mówią piłkarze. Do naszej „drużyny” został również zaproszony inż. Jan Olszowski, którego tu wspominam ponieważ był to człowiek z wieloletnim stażem w polskim

i niemieckim górnictwie o olbrzymiej wiedzy praktycznej.

Z przyjemnością chcę również wspomnieć, że swoimi absolwentami – a byliśmy 1-szym rocznikiem magisterskim Wydziału Górniczego – prof. Laskowski obdarował inne rozwijające się śląskie instytuty: Instytut Metali Nieżelaznych, Instytut Metalurgii Żelaza, Instytut Materiałów Ogniotrwałych, Instytut Chemii Nieorganicznej czy Instytut Ciężkiej Syntezy Organicznej – wszystkie one były odpowiedzialne za racjonalną gospodarkę surowcami, które zostały im przypisane.

– Ekologia – jakie znaczenie ma to słowo?

– Ekologia – to połączenie dwóch słów tak starych jak europejska cywilizacja. Bowiem „oikos” to starogreckie określenie na „domostwo wraz z jego mieszkańcami” a „logos” ma wiele znaczeń ale najbardziej chyba pasuje słowo „rozumność” czyli mądre działanie. Można w związku z tym powiedzieć, że Ekologia to rozumne działanie na rzecz ludzi i otaczającej ich przyrody. My dzisiaj pod tym pojęciem rozumiemy wszelkie działania – bezpośrednie i pośrednie na rzecz ochrony środowiska przyrodniczego, a miano „ekolog” przyłgnęło do tych, którzy zajmują się szeroko pojętą ochroną środowiska przyrodniczego.

– Świat znalazł się dzisiaj na zakręcie w zakresie ochrony środowiska, szczególnie gdy chodzi o tzw. zmiany klimatu – jak to wytłumaczyć?

– Zaczniemy od sformułowania najbardziej przemawiającego do ludzkiej wyobraźni: konsumujemy co roku zasoby ziemi o 50% większe od zdolności do ich odtwarzania. Polska należy do krajów o jednym z najwyższych wskaźników naruszających ten stan (tzw. *Ślad ekologiczny*) – wyrażających nieracjonalne użytkowanie zasobów ziemi. Znajdujemy się – cała ludzkość – na zakręcie naszej historii rozwoju. Zmiana klimatu jest najgroźniejszym zakrętem, gdyż jest nieprzewidywalny i jako taki kwestionowany przez liczne kraje a nasze umysły przyzwyczajone są do zwalczania skutków, a nie przewidywania przyczyn.

Ale ten zakręt jest znacznie, znacznie większy bowiem obejmuje wielki spis naruszeń stanu przyrody, której człowiek jest najistotniejszą częścią.

Piękna zadaniowa definicja „Zrównoważonego Rozwoju” rozpisana przez Unię Europejską w postaci AGENDY EU 2030 obejmuje aż 17 zobowiązań, które na tę definicję się składają i mają być celami do zrealizowania:

Agenda EU 2030:

„*Przekształcenie naszego świata na rzecz zrównoważonego rozwoju*”

1. Likwidacja głodu
2. Eliminacja ubóstwa



3. Poprawa jakości życia i zdrowia
4. Podniesienie jakości edukacji
5. Eliminacja różnicowania płci
6. Zapewnienie zdrowych warunków sanitarnych i czystej wody
7. Zapewnienie dostępu do czystej energii
8. Zapewnienie wzrostu gospodarczego i miejsc pracy
9. Rozwój infrastruktury przemysłu i jego innowacyjności
10. Ograniczenie nierówności społecznych
11. Rozwój zrównoważonych miast i społeczności miejskich
12. Zwiększenie odpowiedzialności w zakresie produkcji i konsumpcji
13. Intensyfikacja na rzecz kontroli zmian klimatycznych
14. Zwiększenie troski o jakość i życie w zbiornikach wodnych
15. Racjonalizacja gospodarki przestrzeni lądowej
16. Wzmocnienie instytucji odpowiedzialnych za pokój i sprawiedliwość na świecie
17. Wzmocnienie i wspieranie współpracy międzynarodowej

To w sumie ma dać zrównoważony rozwój i ta Agenda zobowiązuje Polskę do jej wdrażania jako członka europejskiej społeczności ale również jako członka społeczności świata – gdyż ww. zalecenia są również zaleceniami ONZ. Cóż można jeszcze powiedzieć? – 30 lat i ciągle w „powijkach”!

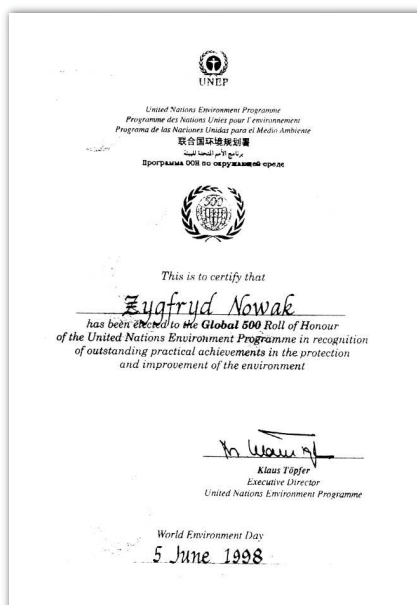
#### – Dlaczego zaległości są tak duże i co dalej?

– Wystarczy spojrzeć na powyższy spis zadań. Problem tkwi w naszej kulturze śródziemnomorskiej i nazywa się „**antropocentryzm**”. Zbudowaliśmy go zgodnie z zasadą biblijną „**Idźcie i rozmnażajcie się i czyńcie ziemię sobie poddaną**” – co może było ale przestało już być od wielu, wielu dziesięcioleci dobrą wskazówką rozwoju. Na szczęście pojawiło się – choć bardzo spóźnione „**Laudato Si**” – encyklika Papieża Franciszka, z której wynika nowe posłanie: „**... nieracjonalne użytkowanie zasobów ziemi jest zamachem na dzieło Stwórcy**”. Wracamy do pojęcia „**geocentryzmu**” choć według całkowicie innej definicji: „**Troska o ziemię staje się troską o nasze istnienie**”.

#### – Wróćmy jednak do przeszłości i do „drużyny” prof. Laskowskiego – jak wyglądała Wasza praca w latach 50. i dalszych?

– Słyszałem kiedyś takie powiedzenie: „**Na Śląsku wszystko co dobre i co złe zaczyna się od górnictwa**”.

Dużo w tym prawdy patrząc z perspektywy nawet kilkuset lat. W okresie powojennym zaległości w rozwoju górnictwa były szczególnie duże. Pojęcie „ochrona środowiska” przytłumione było pojęciem „produkcja”, pięknie oddanym przez Juliana Tuwima:



Dyplom ONZ-UNEP „Global 500”

...

Dymią się bure kominy,  
Piece hutnicze płoną  
Dudnią, dudnią maszyny,  
Łuną palenisk czerwoną  
Czarna zasnuwa się dal.  
Śląsk śpiewa,  
Głos ma węgiel i stal...

w poemacie „*Śląsk śpiewa*”.

Ale równocześnie Polska trafiła na dobry okres dla górnictwa, bowiem surowce były wtedy dla Polski w zasadzie jedyną walutą, którą można było pozyskać w handlu zagranicznym. Dlatego kierownictwo resortu górnictwa i energetyki zaczęło formułować konkretne pytania wobec tzw. zaplecza badawczego i projektowego dotyczące eliminacji technologicznych zaległości oraz negatywnego oddziaływania na otoczenie kopalni.

Na potrzeby realizacji takich zadań szczególnie wskazywał ówczesny minister górnictwa i energetyki Jan Mitrega – wspaniały organizator; nazwałem go kiedyś „selfmademan”, który z prostego górnika drogą własnej edukacji i rozwoju doszedł do funkcji ministra i wicepremiera. Doktor Honoris Causa Śląskiej Akademii Ekonomicznej.

Dla „drużyny Laskowskiego” zadania dotyczyły w większości tematów, które dzisiaj można by zaliczyć do zadań z zakresu szeroko pojętej racjonalnej gospodarki surowcami i ochrony środowiska. Wymienię przykładowo kilka z nich:

- Obniżenie zanieczyszczenia wydobywanego urobku i poprawa jego uziarnienia decydującego o jego cenie.
- Udoskonalenie procesów wzbogacania węgla dla obniżenia szkodliwych dla środowiska strat węgla w odpadach składowanych na hałdach kopalnianych.
- Całkowita zmiana prowadzenia gospodarki wodnej górnictwa, gdyż śląskie ciekły „płynęły węglem” i trzeba było wy-

eliminować zrzuty mułów węglowych do rzek.

- Odsiarczanie węgla czyli usuwanie z nich piryków jako minerałów towarzyszących węglom.
- Wykorzystanie odpadów i/lub ich bezpieczne składowanie.

Mieliśmy w tym czasie już do współpracy i pomocy znakomity zespół konstruktorów prowadzony na Politechnice Śląskiej a potem w górniczych biurach projektowych przez prof. Janusza Dietrycha – „humanotechnika” jak siebie pięknie nazywał, spełniając się znakomicie w tej roli łączenia humanistyki z techniką. Pamiętam i często powtarzam Jego definicję wolności: „Wolność to prawo do samoograniczenia”. Jakże nam dzisiaj często takiego myślenia brakuje. Zespół pod Jego kierunkiem skonstruował i doprowadził do produkcji większości najważniejszych maszyn potrzebnych do wzbogacania węgla.

Byłem z Nim zaprzyjaźniony i wiele się w kontaktach osobistych nauczyłem.

Mieliśmy także dobrze zorganizowaną współpracę z uczelniami górniczymi w Gliwicach i Krakowie.

Za każdym z tych zadań stali kierownicy zadań i zespołów wykonawczych. Od 1966 roku byłem również koordynatorem pracy tych zespołów a później z mojej inicjatywy doszło do połączenia zespołów GIG zajmujących się jakością i przetwórstwem węgla i Biura Projektów „Separator”. Utworzyliśmy wtedy „Centralny Ośrodek Badawczo-Projektowy Wzbogacania i Utylizacji Kopalni SEPARATOR”.

#### – Przyszły lata siedemdziesiąte, dobre dla środowiska i górnictwa?

– Wtedy – w 1971 roku – doszło też do poszerzenia tematyki badawczej o program „**Kompleksowe Przetwórstwo Węgla**” w ramach uruchomionych z mojej inicjatywy tzw. Programów Rządowych, gdzie „**Kompleksowe Przetwórstwo Węgla**” było PR1, „**Racjonalne Wykorzystanie Węgla Brunatnego**” PR2, a „**Kompleksowemu Wykorzystaniu Surowców Towarzyszących i Odpadów**” nadano PR3.

W ramach PR1 zbudowaliśmy na terenie nieczynnego szybu kopalnianego w Wyrach pod kierunkiem znakomitych chemików prof. Włodzimierza Kotowskiego i doc. Ludwika Sobolewskiego doświadczalną instalację „upłynniania węgla”. Zdecydowano również o zakupie inwestycyjnym i budowie instalacji zgazowania wysoko zsiarzonego węgla kop. Janina i transporcie gazu do ówczesnych Zakładów Chemicznych „Oświęcim”.

Do tego programu włączył się z licznymi inicjatywami Instytut Przeróbki Chemicznej Węgla z prof. Henrykiem Zielińskim a także Biuro Projektowe „Prosynchem” wykonując odpowiednie prace projektowe. Sprawowałem nadzór nad pracami PR1.

PR2 – zmierzający do uporządkowania wydobycia węgla brunatnego – koordynował generalny dyrektor w ministerstwie dr Jan Stowski – nadzorujący pracę górnictwa węgla brunatnego. Opiekę i koordynację PR3 podjął doc. dr inż. Emanuel Romańczyk – współautor technologii zamkniętych obiegów wodnych i przyszły wicemarszałek województwa śląskiego.

Rośnie w tym czasie międzynarodowa pozycja polskiego węgla.

Prof. Bolesław Krupiński jest wieloletnim przewodniczącym Komitetu Węglowego Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, gdzie racjonalna gospodarka węglem jest jednym z ważniejszych tematów. Za rekomendacją prof. Krupińskiego zostaje członkiem Komitetu, potem Jego następcą po przejściu prof. Krupińskiego na emeryturę.

**– Z punktu widzenia treści dzisiejszej definicji ochrony środowiska jakie etapy transformacji musiała przekroczyć świadomość społeczeństwa i działacze gospodarczych?**

– Powojenny rozwój Polski – w moim rozumieniu dla potrzeb tej publikacji i mojej pracy zawodowej i społecznej – miał kilka okresów:

– **1945 – 1956:** pilnej odbudowy zniszczonego wojną kraju i rozwoju powszechnej edukacji oraz szkolnictwa wyższego dla nadrobienia przedwojennych i wojennych strat i zaległości („drużyna Laskowskiego” była produktem tego okresu),

– **1957 – 1974:** nawiązywania współpracy gospodarczej z powojennym światem, w której szczególną rolę odgrywał Śląsk i jego najważniejszy produkt tj. węgiel jako najlepszy zamiennik walutowy.

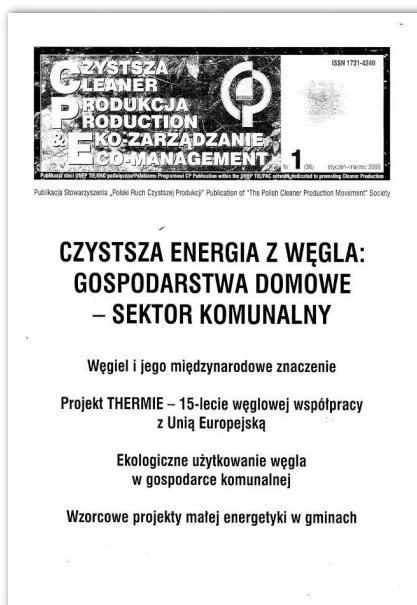
Warto w tym miejscu wspomnieć również o „Systemie Stypendialnym ONZ”, który wielu polskim naukowcom dawał szanse szybszego rozwoju.

Podjęto również – w związku z uzyskanymi pożyczkami – liczne inwestycje, ale niektóre niekoniecznie potrzebne w tamtym czasie. Były to bardziej decyzje polityczne niż gospodarcze.

– **1975 – 1979:** budzenie się świadomości ekologicznej w drugiej połowie lat 70., gdy dochodziło do naruszeń zarówno godności ludzi pracy (wydłużony czas pracy górników) jak i stanu środowiska (intensywna eksploatacja węgla) – co spowodowane było przede wszystkim rosnącymi trudnościami zwrotu zagranicznych pożyczek z początku lat 70. i potrzebnym w związku z tym wzrostem eksportu węgla.

– **1980 – 1989:** okres rosnącej aktywności społeczności zarówno robotników jak i ówczesnej inteligencji (koniec lat 70. i lata 80.); był to również okres zagranicznych ofert współpracy w dziedzinie ochrony środowiska,

– **+1989:** okres budowy niezależnego bytu państwowego ale także okres wiązania rozwoju kraju ze światowymi tendencjami w ochronie środowiska (po 1989 roku)



– **+2003:** okres normalności po wejściu do Unii Europejskiej i uczestnictwie w tworzeniu i wdrażaniu jej polityki ekologicznej i to zarówno w zakresie przywilejów – ale także obowiązków.

**– Można znaleźć pozytywne efekty tamtej działalności proekologicznej i niestety, stracone szanse?**

– Dla takiego podziału „epoki PRL i po niej” można zapisać dla społeczności, z którą pracowałem i żyłem osiągnięcia i porażki w dziedzinie dzisiaj pojmowanej ochrony środowiska na Śląsku – a oto niektóre z nich

– **1945 – 1956:**

Uzyskaliśmy wykształcenie i podjęliśmy pracę podejmując także aktywność społeczną.

– **1957 – 1974:**

Udało się wprowadzić pojęcie „**półbrutta**”, godzące zapłatę za ciężką pracę górnika urabiającego z konieczności węgiel wraz ze skałą płoną, z obniżeniem zawartości odpadów w urubku kierowanym do zakładu wzbogacania a także poprawić procesy urabiania pod kątem zwiększenia zawartości cennych grubych sortymentów. Udział prof. Jana Kuhla, prof. Włodzimierza Sikory znacznie do uzyskanych wyników się przyczynił. Oba tematy były dla nas młodych równocześnie lekcją praktycznego górnictwa, które znaliśmy dotychczas jedynie z praktyk studenckich.

Przeprowadziliśmy także – wspólnie z zapleczem projektowym i wykonawczym – **modernizację wszystkich starych zakładów przeróbczych** i zbudowaliśmy niezbędne nowe, szczególnie w nowo budowanych kopalniach. Poziom strat węgla w odpadach był porównywalny z podobnymi wynikami górnictwa angielskiego i niemieckiego. Szczególna była w tym zasługa dr. Jerzego Ambrożego z „drużyny” oraz Generalnych Projektantów B.P. Separator z dr. Jerzym Średniawą jako głównym łącznikiem między grupą badawczą a projektową.

O właściwym wykonaniu kolejnego zadania świadczy Zespołowa Nagroda Państwowa z 1974 roku, którą otrzymaliśmy za „**Technologię Zamkniętych Obiegów Wodno-Mułowych**”, (i doktoraty uzyskane przez Henryka Aleksy’ego, Czesława Kozłowskiego, Zygryfda Nowaka, Emanuela Romańczyka i Andrzeja Tobicyzka). Inż. Janowi Olszowskiemu – wspinałemu praktykowi – podziękowałem wpisując odpowiednią dedykację do książki, którą napisałem po zakończeniu „zadania” pt. „Gospodarka wodno-mułowa w zakładach przeróbki mechanicznej węgla”.

Opracowaliśmy także technologię odsiarczania węgla, ale jej sprawność była niewystarczająca dla rosnących wymagań środowiskowych i dopiero wdrożone przez energetyków zakłady odsiarczania i odazotowania spalin spełniają wymogi światowe.

**Racjonalna gospodarka odpadami górnymi** – to zadanie trwa do dzisiaj szczególnie jeżeli chodzi o rekultywację starych hałd a zaniebdania są tutaj bardzo znaczne. Chociaż warto podkreślić, że wzorcowa współpraca górników i energetyków z Łazisk – dyrektora kop. Bolesław Śmiały Stanisława Gałeczko i dyrektora Elektrowni Łaziska – Klemensa Ścierańskiego dała technologię stosowania mieszanek odpadów górniczych, popiołów lotnych i piasku jako mieszaniny do wypełnienia pustek poeksploatacyjnych.

Oddzielnym rozdziałem zapisanym w tym zakresie przez Jana Mitręę oraz prof. Laskowskiego jest powołanie – istniejącej do dzisiaj – Węgiersko-Polskiej Spółki „HalDEX” dla zagospodarowania hałd węglowych wraz z odzyskiem zawartych w nich resztek węgla.

Swoje osiągnięcia zapisały również zespoły innych jednostek śląskiego zaplecza badawczego – każde w swojej specjalności – gdyż moim zdaniem był to okres wielkich potrzeb przemysłu ale także ambicji osobistych (doktoraty, habili-tacje, publikacje itp.).

Warto wymienić również wielkie „ekologiczne” osiągnięcie energetyków, którzy doprowadzili do tego, że w czasie budowy i rozbudowy lat 1950 – 1975 prawie wszystkie elektrownie śląskie stały się elektrociepłowniami, co zwiększa około dwukrotnie sprawność wykorzystania węgla przez elektrownię, dostarczając czystą energię cieplną dla gospodarki komunalnej. Szczególna w tym zasługa Bolesława Bartoszcza – wiceministra odpowiedzialnego za energetykę w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki.

**– Nadeszła burzliwa druga połowa lat siedemdziesiątych.**

– Okres lat 1975-1979 otwiera odwołanie dwóch Ślązaków z funkcji kierowniczych: Wojewody Jerzego Ziętka i Wicepremiera i Ministra Górnictwa i Energetyki Jana Mitręgi. Zaczyna się nieracjonalna, ekstensywna eksploatacja węgla, której rezultaty odczuwamy do dzisiaj. Jakiegokolwiek opory kończy-



ły się karami dyscyplinarnymi. Zamknięto w zasadzie wszystkie inicjatywy badawcze związane w jakikolwiek sposób z decyzjami Jana Mitreği. A więc programy przetwórstwa węgla, wspomniane programy rządowe łącznie z zatrzymaną budową zakładu zgazowania węgla. Ale pojawiają się także nowi sprzymierzeńcy. Do techników zajmujących się ochroną środowiska dołączają lekarze i historyczną staje się alarmująca interwencja Prof. Hager-Małeckiej wraz z lekarką Jolantą Król w sprawie chorób dzieci, szczególnie na obszarach wytopu cynku i ołowiu. Efektem jest zamknięcie pieców hutniczych, co należy uznać za wielki sukces ówczesnych ekologów.

Ta aktywność miała później piękny dalszy ciąg w powołaniu w Miasteczku Śląskim „Fundacji na rzecz dzieci Miasteczko Śląskie” – z inicjatywy Mieczysława Dumieńskiego oraz Naczelnego Dyrektora Huty Miasteczko Śląskie Joachima Ganszyńca.

W tym okresie zostało również zaproszony przez prof. Kazimierza Kopeckiego do Komitetu Problemów Energetyki PAN, co umożliwiło wprowadzenie tematyki śląskiej energetyki do prac Komitetu.

Następny okres 1980-1989 wspominać jako początek społecznego niezadowolenia rozpoczętego w 1978 roku w Radomiu i rozlewającego się na cały kraj. Ale jest to równocześnie okres rosnącej świadomości społecznej odpowiedzialności za kraj a także jego przyrodę. Dla mnie oczywiście godną upamiętnienia jest jesień 1988 i 1989, gdy zostałem zaproszony do organizacji Seminarium UNEP, przygotowującego kraje ONZ do przyszłego „Szczytu Ziemi” – Rio’92.

#### – Ale nie tylko o ochronie środowiska w tamtym czasie Pan Profesor pamiętał?

– W tym gorącym politycznie okresie udało nam się również zorganizować akcję: „Budowa Pomnika Harcerzy Śląskich”, który stanął na katowickim rynku w 1983 roku. Podkreślam tutaj szczególne zasługi druhów Bernarda Szafranka – w zasadzie inicjatora tej budowy – oraz Juliusza Szaflika – przewodniczącego Komitetu Budowy. Wymienię także ówczesnego „Komisarycznego Wojewodę” Generała Romana Paszkowskiego, „organizatora” znacznej części funduszy na budowę pomnika.

#### – Wróćmy pod koniec lat 80. do działań proekologicznych i ich efektów.

– To okres pięknego sukcesu moich koleżanek i kolegów i oczywiście mojego w uruchomieniu „Polskiego Programu Czystszej Produkcji” – 1989, ale również wielkiej mojej porażki, gdyż mimo sojuszu z producentami pieców domowych z Witoldem Bartnikiem na czele i powołanego stowarzyszenia „Ekoenergetyka” nie udało nam się rozpowszechnić technologii „Pieców do Bezdymnego Spalania Węgla”, którą otrzymałem „w prezencie od Ambasadora Wspólnoty Europejskiej”. Utworzenie rządowego



programu „Antysmogowego” musiało czekać 25 lat a dzisiaj w pierwszej 10-tce najbardziej „smogowych” miast jest aż 6 z naszego województwa.

#### – Dziś program antysmogowy jest jednym z naczelných zadań naszego państwa.

– Program Antysmogowy mogliśmy rozwinąć ćwierć wieku wcześniej bowiem mieliśmy nawet wsparcie tzw. „Funduszu Szwajcarskiego” i uruchomiliśmy wspólnie z Śląskim Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej „Eksperymentalną Linie Kredytową”. Na całe szczęście – 1. prawdopodobnie „dar” przyszłej UE – nie został zmarnowany, gdyż inż. Eligiusz Biel z Rudy Śląskiej opracował – za zgodą brytyjskich twórców pieców – dokumentację odtworzeniową, która została rozpowszechniona – a prof. Marek Ściążko i dr Krystyna Kubica podjęli w Instytucie Chemicznej Przeróbki Węgla prace atestacyjne i dzisiaj działa w Instytucie wysoko cenione Laboratorium Atestacji Paliw i Urządzeń.

Podobnie odmową zakończyła się akcja budowy – pierwszej w Polsce – spalarni odpadów komunalnych na Śląsku z dotacją UE chociaż jako przykład podany był Wiedeń z taką spalarnią w śródmieściu.

Dla mnie jednak ten okres to może najbardziej dynamiczny w moim życiu zawodowym ale także najbardziej dynamiczny dla głównego tematu niniejszej publikacji czyli Polityki Ochrony Środowiska w Polsce i nie tylko.

#### – Teraz powiedzmy naszym czytelnikom o Polskim Programie Czystszej Produkcji.

– W 1989 roku uruchamiamy w Polsce „Polski Program Czystszej Produkcji” jako narodowy program UNEP Cleaner Production Program – o jego zakresie i wspianych ludziach i insty-

tucjach z nim związanych w oddzielnym artykule.

Zostają powołany na UNEP Senior Advisor, co wymaga licznych kontaktów i wyjazdów za granicę i pomaga w przenoszeniu dobrych przykładów do Polski.

Odchodzę z GIG i podejmuję pracę na Politechnice Śląskiej organizując Katedrę Zarządzania Środowiskiem na Wydziale Organizacji i Zarządzania, poszerzoną później o elementy Bezpieczeństwa Pracy.

Nauczanie o ochronie środowiska wchodzi na Śląsku do całego systemu edukacji.

Udostępniamy naszą metodologię prowadzenia programu innym zainteresowanym krajom.

Uczestniczymy w seminariach co 2 lata, organizowanych przez kraje, które podjęły program UNEP. Nasze organizujemy w 1994 roku.

#### – Dotarliśmy do XXI wieku, jak Pan Profesor postrzega perspektywę tego „nowego, wspaniałego świata”?

– Dożyłem dwóch pięknych zdarzeń: Polska jest w Unii Europejskiej – wspólnocie, która była marzeniem każdego dziecka wojny oraz dożyłem emerytury i odtąd staję się wolnym człowiekiem zajmującym się wyłącznie pracą społeczną.

Znajduję także czas na myślenie o moim Śląsku – patrz inicjatywa nowego cyklu wydawniczego (*Poczet Gwarków Śląskich*).

Wydałem również książkę o „moich” Bogucicach i powszechnej edukacji w tej samodzielnej do 1924 roku śląskiej gminie („Dzieje Bogucic w kronikach szkoły 1865-1975”) i oczywiście z wielką radością uczestniczę w comiesięcznych spotkaniach „Seniorów Bogucic” w bogucickim Domu Kultury.

Dałem przykłady obietnic i tysiący słów rzuconych na wiatr. Oby nasi następcy dowiedli, że wiedzą iż mamy tylko jedną planetę i działali zgodnie z zasadą Zrównoważonego Rozwoju zapisaną w „Raporcie ONZ” z 1987 roku.

#### – I na koniec: Jak wygląda taki dyplom, który stanowi piękne uznanie międzynarodowej społeczności dla „organicznej pracy” na rzecz środowiska?

– Dyplom otrzymałem z rąk Zastępcy Sekretarza Generalnego ONZ prof. Klaus-a Toepfera.

Polskie Ministerstwo Środowiska napisało piękne wyrazy uznania dla całej społeczności Polskiego Ruchu Czystszej Produkcji:

„Prestiżowa nagroda stanowi wspaniały wyraz docenienia i uznania wspólnych wysiłków wszystkich uczestników Polskiego Programu CP, którzy stali się jej udziałowcami jako realizatorzy programu”.

Powyższe wyrazy uznania ważne są także dzisiaj dla kilkudziesięcioletniej społeczności związanej od prawie 30 lat z Polskim Programem Czystszej Produkcji.

– Dziękuję za rozmowę. ■



Z dr. hab. inż. **JANEM B. SKOWRONKIEM**,  
Dyrektorem Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych (IETU)  
w Katowicach, rozmawia **TADEUSZ SIERNY**



# Adaptacja do zmian klimatu

– Instytut, którym kieruje Pan Profesor kontynuuje tradycje badawcze powstałego w 1972 roku katowickiego Centrum Ochrony Środowiska, a więc działa już ponad 46 lat.

Kto tworzył ten Instytut i jakie przeobrażenia przechodził Instytut w ciągu prawie pół wieku jego funkcjonowania?

– W latach 70. ubiegłego wieku Śląsk był regionem, w którym najwcześniej bardzo silnie ujawniły się skutki nadmiernego zanieczyszczenia środowiska spowodowane działalnością przemysłową. Zwrócili na to uwagę agendy międzynarodowe – Światowa Organizacja Zdrowia oraz Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju. Z ich inicjatywy w 1972 roku rozpoczął się projekt badawczy UNDP/WHO/POL/RCE-001 „Ochrona Środowiska”. Jednym z jego zadań było utworzenie Centrum Ochrony Środowiska, które scałiło potencjał badawczy kilku rozproszonych oddziałów regionalnych jednostek badawczych. Siedzibę Centrum zbudowano na terenach poprzemysłowych na Załęskiej Hałdzie. Dzięki pomocy WHO wyposażono je w aparaturę badawczą, pomiarowo-kontrolną oraz zorganizowano staże szkoleniowe dla pracowników w wiodących ośrodkach naukowych Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Efektem tego projektu było wypracowanie podstaw wielu nowatorskich narzędzi systemowego zarządzania środowiskiem na terenach uprzemysłowionych i zurbanizowanych Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego.

Przez dwadzieścia kolejnych lat Centrum było oddziałem warszawskiego Instytutu Ochrony Środowiska. A w 1992 roku nad-

szedł czas na Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowionych, samodzielną jednostką naukową, instytut badawczy, nadzorowany przez Ministra Środowiska.

– Misją Instytutu jest dostarczanie rozwiązań korzystnych dla środowiska i gospodarki, zapewniających dobrostan społeczeństwu. Skąd czerpicie Państwo środki finansowe na prowadzenie tak ważnej dla społeczeństwa, nie tylko Śląska – wieloletniej, konsekwentnej działalności organizacyjnej, badawczej, naukowej i integracji zespołu badawczego?

– Jesteśmy instytutem badawczym, zgodnie z ustawą i statutem – samodzielnie finansującym się. Sami więc musimy szukać pieniędzy na prowadzenie badań i utrzymanie naszego potencjału. Jest to coraz trudniejsze, głównie ze względu na rosnącą konkurencję. Większość funduszy zdobywamy aplikując o nie w konkursach w kraju i w Unii Europejskiej. Na szczęście, wieloletnie doświadczenie w realizacji projektów w konsorcjach międzynarodowych spowodowało, że marka IETU jest rozpoznawalna w Europie. Z tego względu prawie 2/3 naszych przychodów pochodzi z realizacji projektów międzynarodowych, finansowanych przez programy UE. Jesteśmy w nich nie tylko partnerem, ale i koordynatorem wielonarodowych konsorcjów. Kolejnym źródłem finansowania są krajowe fundusze na naukę, którymi dysponuje minister nauki i szkolnictwa wyższego. Bezpośrednio z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego otrzymujemy dotację na utrzymanie potencjału badawczego, ale stanowi ona jedynie około 1/5 naszych przychodów. Kolejne

źródło finansowania to rynek, rozumiany jako realizacja badań, ekspertyz, usług analitycznych zamawianych przez przemysł, administrację państwową, a zwłaszcza samorządową.

– Jakie są główne pola badawcze Instytutu, czy poza innymi zagadnieniami zajmujecie się Państwo także modnym dziś tematem zwalczania smogu i działaniami na rzecz poprawy jakości powietrza, atmosfery? Jakimi własnymi instrumentami badawczymi dysponuje Instytut, kto realizuje te najważniejsze badania?

– Działalność naukowo-badawcza naszego Instytutu ma charakter interdyscyplinarny i jest związana z wieloma specjalnościami dziedziny ekologii, ochrony środowiska, zarządzania czy biotechnologii.

Obecnie IETU prowadzi badania w pięciu obszarach obejmujących: (1) gospodarkę odpadami i zasobami, w kontekście gospodarki obiegu zamkniętego, (2) przekształcenia środowiska zurbanizowanego, (3) diagnozowanie stanu i prognozowanie zmian jakości środowiska, (4) remediację środowiska, (5) mikrobiologię środowiskową.

W każdym z tych obszarów koncentrujemy się na kilku wybranych kierunkach, związanych z głównymi trendami badawczymi i technologicznymi oraz najważniejszymi wyzwaniami społecznymi, w zakresie których IETU już posiada potencjał wiedzy lub pragnie ją rozwinąć. W tych obszarach mamy także własne osiągnięcia i doświadczenia oraz wielu krajowych i zagranicznych partnerów naukowych.

Poprawą jakości powietrza Instytut zajmuje się od początku swej działalności. To w Instytucie na początku lat 70. ubiegłego wieku powstała koncepcja regionalnej sieci średniodobowych pomiarów jakości powietrza. Na jej podstawie uruchomiono w ówczesnym województwie katowickim pierwszą w Polsce sieć monitoringu. W latach 80. opracowaliśmy pierwszy wojewódzki program ochrony środowiska, który uwzględniał działania w sektorach gospodarki służące ograniczeniu emisji pyłów, tlenków azotu oraz dwutlenku siarki do powietrza. Czyli Instytut miał olbrzymi wkład w planowanie ograniczenia emisji przemysłowych w regionie, a w kolejnym okresie również komunalnych. Dla tych ostatnich opracowaliśmy w 2011 roku metodę optymalizacji redukcji emisji na obszarze gminy. Jej zastosowanie przez samorządy powinno przyczynić się do zwiększenia efektywności działań służących zmniejszeniu niskiej emisji, a co za tym idzie występowania smogu.

Prace badawcze i usługowe realizuje zespół kilkudziesięciu pracowników naukowych, badawczo-technicznych i inżynierjno-technicznych, w tym 7. profesorów i doktorów habilitowanych i 16. doktorów. Dysponują oni nowoczesnie wyposażonymi stacjonarnymi (chemiczne, mikrobiologiczne) i ruchomymi laboratoriami, poligonami doświadczalnymi w Bytomiu, Gliwicach, Piekarach Śląskich, Katowicach oraz stacją monitoringu zintegrowanego w Brennej, w Beskidzie Śląskim. Infrastruktura ICT pozwala nam zarówno gromadzić bezpiecznie dane pomiarowe, jak i analizować je i na ich podstawie prowadzić modelowanie oraz prognozowanie zjawisk zachodzących w środowisku, w tym wspomnianych zjawisk smogowych. Nasz księgozbiór i zbiory prac naukowych udostępniamy również na platformie biblioteki cyfrowej.

W strukturach IETU jest też Jednostka Weryfikująca Technologie Środowiskowe dla gospodarki wodno-ściekowej. Jednostka działa w ramach Programu Weryfikacji Technologii Środowiskowych Unii Europejskiej – EU ETV. Współpracuje z podobnymi





mi jednostkami w Europie i na świecie (Korea, Kanada, Japonia, USA).

Prowadząc badania zdobywamy wiedzę i doświadczenie, aby wzmacniać pozycję IETU jako eksperta i doradcy w planowaniu działań strategicznych oraz wykorzystania dla administracji państwowej i samorządowej w zakresie ochrony powietrza, adaptacji do zmian klimatu, gospodarki odpadami i ponownego zagospodarowania terenów zdegradowanych. Staramy się być partnerem biznesowym przedsiębiorstw w realizacji działań z zakresu: fitoremediacji terenów zanieczyszczonych oraz wykorzystania mikroorganizmów w procesach oczyszczania środowiska i biotechnologii. Dlatego niezwykle ważne są dla Instytutu współpraca i budowanie partnerstwa w kraju i za granicą z wiodącymi jednostkami naukowymi oraz z administracją publiczną, przedsiębiorcami, organizacjami otoczenia biznesu.

**– Instytut zrealizował wiele międzynarodowych projektów, proszę przykładowo wskazać kilka z nich, te które były najbardziej ciekawe poznawczo, stały się największymi sukcesami badawczymi Instytutu?**

– Wszystkie te projekty są dla nas istotne, bo budują nasz potencjał. Pozwalają także na doskonalenie naszej oferty dla samorządów i przedsiębiorców. Powiem o tych, które realizujemy obecnie.

W szczególności wymieniałbym tutaj projekty dotyczące przekształcania terenów zdegradowanych i zurbanizowanych, w których poza partnerami naukowymi współpracujemy ściśle z lokalną administracją. Pozwala to na bezpośrednie wykorzystanie wyników projektów w praktyce. Przykładem jest LUMAT, w ramach którego opracowano plan działań dla Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego Rudy Śląskiej, Chorzowa i Świętochłowic w zakresie rozwoju błękitno-zielonej infrastruktury. A w samej Rudzie Śląskiej prowadzona jest rekultywacja i przekształcenie hałdy pocynkowej w teren rekreacyjny.

W projekcie INSPIRATION uczestniczyliśmy w opracowaniu Europejskiej Strategicznej Agencji Badawczej mającej na celu integrację gospodarki przestrzennej, wykorzystania terenów i zarządzania glebą. W tym projekcie IETU był liderem prac nad kierunkiem gospodarka przestrzenna.

Kolejnym przykładem są dwa międzynarodowe projekty MISCOMAR oraz PHYTO-2ENERGY, w których zajmujemy się wykorzystaniem roślin energetycznych do zagospodarowania terenów zanieczyszczonych metalami ciężkimi oraz nieużytków. Są to zagadnienia niezwykle ważne dla naszego regionu. Obydwa te przedsięwzięcia są źródłem nowej wiedzy o możliwościach zastosowania tych roślin zarówno jako odnawialnego źródła energii jak i do celów usuwania zanieczyszczeń z gleb.

Nasze doświadczenia w gospodarowaniu odpadami komunalnymi wykorzystujemy w projektach realizowanych na rzecz krajów trzeciego świata. Przykładem jest projekt Care4Waste wspomagający wdrażanie polityki odpadowej w krajach Ameryki Łacińskiej i Karaibów.

Patrząc z perspektywy globalnych wyzwań IETU angażuje się w projekty dotyczące gospodarki obiegu zamkniętego, czyli takiej w której odpady postrzegane są jako źródło surowców do odzysku i wykorzystania. Uczestniczyliśmy m.in. w opracowaniu dla Komisji Europejskiej Strategicznej Agencji Badań i Innowacji na rzecz efektywnego recyklingu odpadów pochodzących z takich strumieni jak złomowane samochody, elektrośmieci i zużyte opakowania.

Obecnie rozpoczynamy pracę w kolejnym dużym, międzynarodowym projekcie CINDERELA, dotyczącym opracowania modelu biznesowego gospodarki o obiegu zamkniętym dla wzmocnienia zrównoważonego budownictwa miejskiego. Co prawda IETU nie zajmuje się budownictwem i materiałami budowlanymi, jednak główny cel projektu to wykorzystanie surowców odzyskanych z odpadów wytwarzanych w miastach i na terenach podmiejskich do produkcji innowacyjnych materiałów budowlanych. Projekt pokaże również jak można te materiały zastosować np. do budowy dróg czy w budownictwie. Model biznesowy ma uwzględniać specyfikę regionu i umożliwiać w maksymalnym stopniu lokalne zagospodarowanie surowców odzyskanych z odpadów oraz materiałów z nich wytworzonych w sposób opłacalny ekonomicznie i przy udziale miejscowych przedsiębiorców. Tymi rozwiązaniami będziemy chcieli zainteresować władze naszego regionu.

To tylko kilka przykładów z ostatnich lat. W każdym z naszych obszarów badawczych moglibyśmy wymienić ich znacznie więcej. Zainteresowanych zapraszam na naszą stronę internetową [www.ietu.pl](http://www.ietu.pl) lub do bezpośredniego kontaktu.



**– IETU współpracuje z samorządem regionalnym i lokalnym. Jaki „pożytek” z Państwa obecności w Katowicach ma Samorząd Województwa Śląskiego i Prezydent Miasta Katowice? Czy może Pan wskazać konkretne rezultaty tej współpracy?**

– Rozumiem, że przywołał Pan te jednostki, bo siedziba Instytutu są Katowice. Dla Zarządu Województwa Śląskiego opracowaliśmy już po raz trzeci, Wojewódzki Plan Gospodarki Odpadami, wysoko oceniony przez administrację rządową. Kilka lat temu opracowaliśmy Program Rewitalizacji Terenów Poprzemysłowych woj. śląskiego. Oba zostały przyjęte do realizacji przez Sejmik Samorządu Województwa Śląskiego.

Przy tej okazji warto wspomnieć o opracowanym przez nasz zespół narzędziu wsparcia procesów decyzyjnych związanych z remediacją i planowaniem działań naprawczych na terenach zdegradowanych chemicznie. Wykorzystujemy w nim ocenę ryzyka zdrowotnego, która pomaga w szybkim uzyskaniu informacji, który obszar wymaga oczyszczenia w zależności od jego planowanego sposobu użytkowania – mieszkaniowego, przemysłowego czy rekreacyjnego. To usługa dla inwestorów oraz właścicieli i zarządzających terenami zdegradowanymi. Warto skorzystać z naszej oferty ponieważ dokładne określenie obszaru wymagającego remediacji oszczędza czas i pieniądze.

Dla Katowic wspólnie ze specjalistami z Urzędu Miasta przygotowujemy Miejski Plan Adaptacji do zmian klimatu. Współpracujemy z tym miastem w pracach dotyczących gospodarki odpadami komunalnymi oraz w pracach nad rejestrem historycznych zanieczyszczeń powierzchni ziemi. Staramy się je wspierać w podejmowanych przez nie inicjatywach, np. organizacjach wydarzeń towarzyszących konferencji klimatycznej,

ubieganiu się o tytuł Zielonej Stolicy Europy, imprezach środowiskowych Ekoodpowiedzialni czy Dni Energii.

**– Czym są Miejskie Plany Adaptacji do zmian klimatu?**

– Adaptacja do zmiany klimatu to znalezienie sposobów przystosowania się do zmian klimatu, których nie jesteśmy w stanie uniknąć we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Miejskie Plany Adaptacji do zmian klimatu (MPA) są istotnym narzędziem kształtowania polityki miejskiej w kontekście zagrożeń wynikających ze zmian klimatu. Celem nadrzędnym MPA jest przygotowanie władz miast i ich mieszkańców do odpowiedzialnego reagowania na obecne i przyszłe zmiany klimatu i ich skutki. W MPA miasto otrzymuje identyfikację najpoważniejszych zagrożeń związanych ze zmianami klimatu oraz najbardziej wrażliwych sektorów i obszarów miasta, a także pakiet wyselekcjonowanych, sugerowanych działań zwiększających odporność miasta na zagrożenia związane ze zmianami klimatu, wraz z oceną ich efektywności. MPA umożliwia również samorządowi aplikowanie o środki zewnętrzne na działania adaptacyjne wynikające z planu.

Polska posiada „Strategiczny Plan Adaptacji dla sektorów i obszarów wrażliwych na zmiany klimatu do roku 2020 z perspektywą do roku 2030” (SPA2020). W ślad za tym Ministerstwo Środowiska zleciło naszemu zespołowi opracowanie ekspertyzy: „Ocena wrażliwości terenów miejskich na możliwe zagrożenia wynikające ze zmian klimatu” oraz „Opracowanie wytycznych do przygotowania miejskiej strategii adaptacyjnej dla miast powyżej 100 tys. mieszkańców”. Na tej podstawie powstał „Podręcznik adaptacji dla miast – wytyczne do przygotowania Miejskiego Planu Adaptacji do zmian klimatu”. Obecnie realizowany jest, z naszym udziałem, projekt „Opracowanie planów adaptacji do zmian klimatu w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców”. W ramach tego projektu dla 44 największych miast w Polsce zostaną opracowane miejskie plany adaptacji. W naszym województwie projekt obejmuje szesnaście miast. Dla ośmiu z nich nasz zespół jest wykonawcą planu, oczywiście w ścisłej współpracy z samorządem tych miast i działającymi tam organizacjami i przedsiębiorstwami.

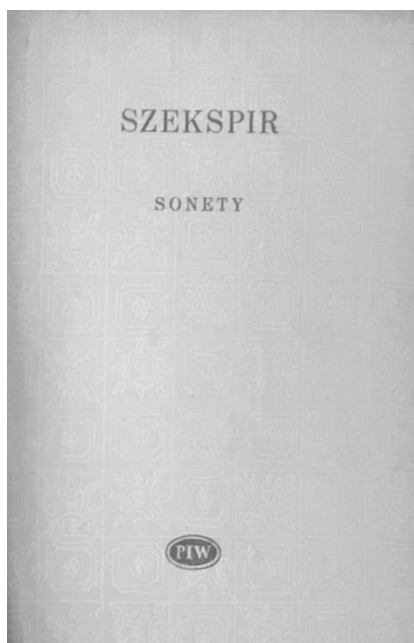
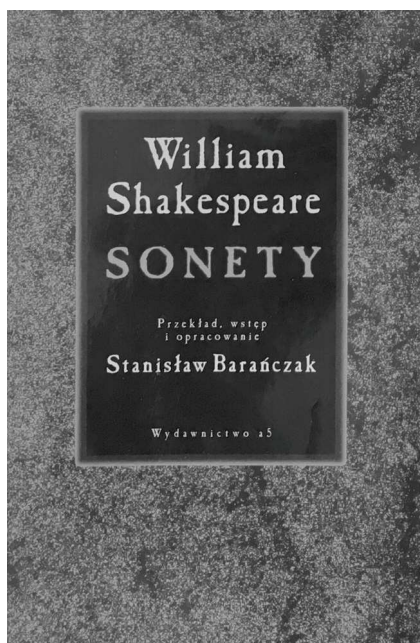
**– Swego czasu prasa chętnie podejmowała temat stężeń radonu i wpływu produktów rozpadu tego pierwiastka na jakość naszego życia. Wiem, że ta tematyka była bliska Panu Profesorowi. Dziś media milczą na ten temat. Radon już nam nie szkodzi?**

– W tej sprawie nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu WHO uważa radon i jego pochodne za drugą – po paleniu papierosów – przyczynę nowotworów układu oddechowego. Aktualne przepisy wymagają, by kontrolować to zagrożenie w miejscu pracy i także w budynkach mieszkalnych. Dlaczego nie mówi się o tym w mediach – to już pytanie do mediów.

**– Dziękuję za interesującą rozmowę.**

**dr hab. inż. Jan B. Skowronek**, dyrektor IETU, jest specjalistą i ekspertem od zagadnień bezpieczeństwa pracy, ochrony radiologicznej, radioekologii, technicznej fizyki jądrowej. Absolwent AGH; doktoryzował i habilitował się w Głównym Instytucie Górnictwa w Katowicach.

# BLASK ARCYDZIEŁ



## Blask SONETÓW

JERZY PASZEK

Szekspir w pierwszym okresie swej twórczości napisał sporą ilość 14-wersowych liryków, które zapewne bez jego przyzwolenia opublikował Thomas Thorpe w roku 1609 jako zbiór 152 utworów: *Shakespeare's Sonnets. Never before Imprinted*. Tytułowa informacja nie jest prawdziwa, bo już 10 lat wcześniej wydawca-pirat William Jaggard ogłosił dwa sonety (noszące potem numery 138 i 144), a końcowe dwa barokowe filigrany o Amozie i nimfach Diany są prawdopodobnie wytworem obcego pióra (vide: S. Barańczak: *Wstęp: Nie igraszka losu* w tomie: W. Shakespeare: *Sonety*. Przekład, wstęp i oprac. S. Barańczak. Kraków 1993, s. 6-8; cytując ten tom, używam skrótu SB).

Przemysław Mroczkowski stwierdza, iż na przełomie XVI i XVII wieku w Anglii panowała moda na pisanie całych serii sonetowych, co zapoczątkowali dwaj znani poeci, a mianowicie sir Philip Sidney i Edmund Spenser (wybór ich utworów – z tomików *Astrolfel* i *Stella* oraz *Amoretti* – zawiera antologia *Poeci języka angielskiego*. T. I. Wybór i oprac. H. Krzeczowski, J. S. Sito, J. Żuławski. Warszawa 1969, s. 210-214 i 166-169; w spisie tytułów sonety zajmują tu po dwie strony: 895-897 i 916-918). Wydaje się, iż Szekspir pojawił się w tych szrankach

poetyckich, by ukazać swoje zdolności retoryczne i kompozycyjne, bo rama sonetowa wymaga zachowania konsekwentnej i zdyscyplinowanej konstrukcji: 10-sylabowce (a wyjątkiem bywają linijki dłuższe) mają rytm jambiczny, układając się w trzy strofy po cztery wersy (kwartyny) oraz dwuwersowe pointy (końcowe dystychy). W dalszych wywodach będą się starał wskazać jeszcze inne reguły, kierujące strukturą całego tomu.

Czy wszystko to (sekwencja 152 lub też 154 sonetów) nie było objawem czystej zabawy i fikcyjnych – niemających jakichkolwiek powiązań z otaczającą Szekspira rzeczywistością lat 90. XVI wieku – wprawek pisarskich? Czymś w rodzaju modernistycznej „sztuki dla sztuki”? Albo wysublimowanej i wyrafinowanej gry literackiej, zaproponowanej w słynnych *Ćwiczeniach stylistycznych* Raymonda Queneau (1947: *Exercices de style*)? Tak czy inaczej, rację ma Mroczkowski, iż „Szekspir jest w swych sonetach takim trochę Benvenutem Cellinim, sprężonym z platerzem. Przede wszystkim uderza kunsztowność jego dzieła, pomysły za pomysłami wybiegają mu spod pióra, choć zawsze są ściśnięte w gęstą plecionkę o bogatym wzorze. Zmysł konstrukcji rozkazuje twardo” (P. Mroczkowski:

*Szekspir elżbietański i żywy*. Kraków 1966, s. 89).

Anglista krakowski, wystawiający dramaty Szekspira wraz ze studentami w brzmieniu oryginalnym, do wyodrębnianej zwykle „obsady” cyklu sonetowego, czyli Arystokraty-Adonisa, Czarnej Damy, Poety i Rywala Poety, dodaje jeszcze dwie postacie: Czas-Śmierć oraz Człowieka, „którego imieniem mówi czy pisze poeta” (Mroczkowski, op. cit., s. 88). W pierwszej sekwencji 17 sonetów pojawiają się dwie osoby (Adonis i Poeta), a mowa jest głównie o trzeciej, wirtualnej i oczekiwanej postaci – Synu Arystokraty. Incipitem całej 17-częściowej namowy, zachęty i perswazyj jest zdanie, mieszczące się w początkowym tetrastychu: „Od pięknych stworzeń chcemy, by ich przybywało – / By kwiat urody nie wiadł, lecz trwał jak najdłużej / W swoich nowych wcieleniach; by różę dojrzałą, / Gdy przekwitnie, zastąpił młodziutki pąk róży” (SB 29). Pointa tego wywodu brzmi u Barańczaka: „Pozwól, by choć w potomstwie twoim świat syciła / Uroda, którą pożre zachłanna mogiła” (SB, ib.). Marian Hemar niewyszukane rymowo (powtarzanie pary rymowej „be – thee”) oryginalne zakończenie wzbogaca o dwuznaczną formę rzeczownika/czasownika „pogrzebie”: „Zmiłuje się nad światem, dawaj mu co z siebie, / Zanim on cię na zawsze ze wszystkim pogrzebie” ([W.] Shakespeare: *Sonety*. Przeł. M. Hemar. Warszawa [1993], s. [7]; cytuję tę edycję jako MH). Tłumaczenie tegoż dystychu u Macieja Słomczyńskiego jest najbardziej zwarte (bo wybrał 11-zgłoskowiec!) i dźwięczne, a to dzięki aliteracji, opartej na głoskach „ż”, „ś” i „ć”: „Pożaluj świata, spłać mu należności, / Nim grób je pożre, a z nimi twe kości” (W. Szekspir: *Sonety*. Oprac. i wstępem poprzedził J. S. Sito. Warszawa 1964, s. 23; to wydanie cytuję jako JSS). Dodam, że i u Barańczaka mamy podobną aliterację – przechodzącą w aluzyjną grę etymologiczną – w innym wersie cytowanego sonetu: „Ty świeży ornamentie na świetności świata” (SB, ib.).

W pierwszym sonecie dominującym obrazem jest róża i jej pąk; w drugim – zima i zmarszczki na twarzy; w trzecim – kobieca piękność, która nie oprze się Adonisowi; w czwartym – skarb i dar Natury; w piątym – woń róży utrwalona w perfumach; w szóstym – dziesięć wcieleń Adonisa w kolejnych potomkach; w siódmym – Słońce (syn) i noc (brak syna); w ósmym – dwudźwięki muzyki; w dziewiątym – świat jako wdowa; w dziesiątym – gmach urody i jego ruina; w jedenastym – Adonis to pieczęć, powielająca „Piękno i Honor” (wersja Hemara); w dwunastym – kosa Czasu; w trzynastym – utracusz bez dziedzica; w czternastym – oczy Arystokraty jako gwiazdy wróżebne; w piętnastym – Czas i Rozpad; w szesnastym – nakaz „rozdania swej piękności dzieciom”; w siedemnastym – dziedzic i wiersz gwarancją przetrwania.

Przedstawiłem tak dokładnie tematy pierwszej sekwencji sonetów Szekspira po to, by ujawnić koncepcję Poety. Nie chodzi mu o sukces akcji perswazyjnej, lecz o demonstrację retorycznej mocy języka, o wachlarz potencjalnych „klocków”



(symboli, metafor, porównań, stereotypów, motywów przewodnich liryki), z których konstruowane bywa obrazowanie poetyckie, logika i siła ulotnych, acz „skrzydlatych słów”! Drugim powodem tej enumeracji było przekonanie o nietrafności doszukiwania się w tomie Sonetów watek zakazanej w XVI-wiecznej Anglii miłości do chłopca, czyli motywów homoseksualnych. Czyż nie można podziwiać tylko platoniczne urody Adonisa? Na takim tle śmieszne jest namaszczenie i grandilowencja Jana Kotta, gdy opisuje antyczną erotykę homoseksualną (i jej renesansowe nawroty) jako najbliższy kontekst liryków autora *Hamleta*. Było to już dawno, przeszło pół wieku temu, więc należy bez emocji zajmować się kontrowersyjnymi poglądami i dociekaniem słynnego ongiś szekspirologa (vide: J. Kott: *Wstęp do: W. Shakespeare: Sonety*. Wybrał i oprac. J. S. Sito, wstępem poprzedził J. Kott. Warszawa 1964, s. 17: „Eros socraticus”, s. 19: „Apologie czystej miłości do chłopców były mniej albo bardziej szczerze”, s. 21; „Dwuznaczność jest tutaj jednocześnie zasadą poetyki i erotyki”; ozdobioną jedwabną okładką edycję cytuję jako JK).

Wygłaszam swoje opinie otwarcie i śmiało, gdyż po 400 latach od śmierci Szekspira nie ustalono – ponad wszelką wątpliwość – jakichkolwiek odniesień „akcji dramatycznej” (kim był Adonis, kim była Czarna Dama, kim był Rywal Poety) *Sonetów* do ówczesnej historii politycznej, społecznej i obyczajowej. Moimi dowodami w tych śledztwach (akta „sprawy” liczą setki tomów, jeśli brać pod uwagę opublikowane książki i studia) są cechy strukturalne cyklu i brzmienie poszczególnych arcydziełnych utworów-klejnotów poetyckich. W omawianej libelli nierzadkie bywają liryki bliźniacze, czyli połączone jedną sprawą czy obrazem. Przykładowo: sonet 44 i 45 ukazują cztery żywioły (najpierw wodę i ziemię, potem ogień i powietrze) jako emblematy życia i melancholii; sonet 50 i 51 przynoszą obraz „ospałego wierzchowca”, na którym Poeta oddała się od Adonisa; zmieni się to „biedne zwierzę” w rumaka, gdy Poeta będzie wracał do Aristokraty; w sonetach 57 i 58 Poeta staje się niewolnikiem arystokratycznego piękniśa, który bywa „swojemu słudze nielaskawy” (SB, 85).

Pomiędzy wymienionymi utworami, przepelnionymi melancholią i pesymizmem („ospały wierzchowiec”, niekochany niewolnik), nagle wybucha sonet 55, mogący pretendować do repliki słynnego Horacjańskiego wersu „Exegi monumentum aere perennius” („Wzniosłem pomnik trwalszy od spizu”): „Nie marmur, nie księżycychnych pomników złozenia – / Jeśli co wiecznie przetrwa, to ten wiersz jedyny: / W nim będzie wciąż się jarzył BLASK twego istnienia, / Gdy głaz tABLic obrosną Czasu pajęczyny. / Niech wojenne zniszczenie posągi oBALi, / Niech gmach zrównają z ziemią BAtaLie najkrwawsze – / Miecz Marsa nie tknie ani pożar nie osmali / Słów, w których żyjesz, w których żyć będziesz już zawsze”. (SB, 83, podkr. J.P.). Inni poeci także te dźwięczne linijki oryginału („Not marble nor the gilded monuments / Of princes shall outlive this



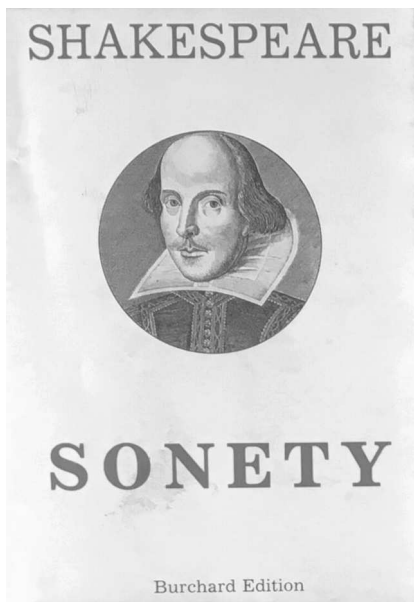
pow'rful rhyme, / But you shall shine more bright in these contents / Than unswept stone, besmeared with sluttish time”. – SB, 82) przekładali, wyszukując aliteracje i paralelizmy zgłoskowe: „Marmur, pomniki ksiąg złotem kryte / Mocy tych rymów nigdy nie przeżyją; / Bo wciąż lśnić będzie imię twe, tu ryte / W słowach, gdy głazy w pleśni czasu zgniją”. (JSS, 77; Jerzy Pietrkiewicz); „Ni marmur, ni księżycychnych pomników złozenia / Nie przetrwają potęgi tego rymu. Ale / Ty będziesz coraz jaśniej błyszczeć w mej pochwałce, / Gdy czas w błoto zادةpcie spiże i kamienie”. (MH, [61]).

W roku jubileuszowym, 1964, opublikowano dwie książki, zawierające komplet 154 Sonetów Szekspira: w serii „cehofanowej” (czyli JSS) utwory oznaczone numerami 135 i 136 miały brzmienie angielskie, a tylko w przypisach dodano ich tłumaczenia prozą; w serii „jedwabnej” (czyli JK) zamieszczono – obok oryginałów – stare przekłady Jana Kasprowicza (JK, 307, 309). Hemar i Barańczak także uporali się z nieprzekładalnością owych erotycznych szczyfów wielkiego Willa, jak sam raczy się tu mianować. O co chodzi

w tym sporze o przekładalność wymienionych liryków? Barańczak (SB, 189) wyjaśnia, iż angielski wyraz „will” może mieć kilka sensów: być skrótem imienia Poety lub Adonisa, synonimem „woli” jako określenia pożądania, peryfrazą i „przyzwyczajoną” terminologią seksualnej (męskie lub żeńskie genitalia). Stąd kłopoty translatorów. Uważam, że najdowcipniej uporał się z tym zadaniem Hemar (MH, [141]): „Kaźdej, jak sobie życzy, ty masz swego WILLA, / WILLA w bród i do woli i jeszcze na zbyciu / Mnie, WILLA, co się napiera co chwila, / I twojej WOLI szuka w jej słodkim ukryciu. / Zali ty, której WOLA jak przestronna WILLA, / Nie znajdziesz w niej komyszy dla mojego WILKA? / Pozwól mu, niech się próżno tobie nie przymila, / Przytul jego zaloty między innych kilka. / Morze jest całe wodą, ale wszystkie deszcze / Do swego łona wchłonie i zmieści w swej toni; / Ty tak samo, niech twoja WOLA mi nie broni, / Wielka jest, z moim wkładem większa będzie jeszcze. / Nie dajesz odejść z kwitkiem zalotnikom tyłu, / A pomyśl, wszystkich znajdziesz we mnie, w jednym WILLU.” (podkr. M.H.).

Barańczak inaczej sobie poczyną, igrając polisemią rzeczownika „wola” i nie wspominając o epitecie (wola skóra), gruczole (powiększenie wola) czy czasowniku (on woli ciebie): „Inne mają zachcianki – ty masz raczej wolę, / Więcej woli niż trzeba, i wolę w zapasie. / Do tego – Will cię dręczy, próbując w mozołe, / Czy do twej woli jego wolę dodać da się.” (SB, 163). Szekspirowskie 10-sylabowe jamby trudno zmieścić w polskich 10-zgłoskowych linijkach, ale i na to są sposoby i chętni harcownicy: „Mam cię porównać do letniego dnia? / Piękniejsza jesteś, starsza niżli on. / Tenuta lata nazbyt krótko trwa / I w maju ścina czułe paki szron. / [...] Pokąd tchu ludziom, pokąd w oku skry, / Potąd trwa wiersz ten, a w wierszu tym ty.” (JSS, 40; Jerzy Łowiński). Niesmacznie to wygląda, więc dobrze się stało, iż Barańczak wybrał 13-zgłoskowiec, choć czasem szata owa jest zbyt obszerna dla jambów Poety (np. w wersie 9. sonetu 135. dodaje „sól” wodzie morskiej: „The sea, all water, yet receives rain still” – „Morze, choć pełne wody, i w dodatku soli”; SB, 162, 163). Uważam jednak, że barokowy Poeta wygodniej się czuje u Barańczaka niż u Łowińskiego, a nawet wybaczy tłumaczowi z Poznania liczne przerzutnie z wersu do wersu retorycznych periodów!

Czytelniku bacz uważnie, iż udało mi się wysmażyć ten esej (jako rzeczce anagram: pokrętnie kropnięte!) nie wspominając ani o prawdziwym protoplaście i prototypie Adonisa (lord Southampton czy Pembroke?), ani Czarnej Damy (Mary Fitton czy Lucy Negro?), ani Rywala Poety (Christopher Marlowe czy George Chapman?! Jak widać, można z pożytkiem przejąć się walorami estetycznymi tomu *Sonetów*, nie pakując się (i nie paktując z szarlatanami od *Kodu Szekspira* bądź *Szyfru Szekspira*) w Czystą Fantastykę, jak nazywa te nawiedzone badania biograficzne Stanisław Barańczak (SB, 12). Czyli jeszcze jeden anagram: ADONISI ODSIANI!



Leszek A. Moczulski

Nuty od Franciszka



## „Stojąc zapatrzony w obłoki i niebo...”

KSIĄŻKI

MAGDALENA PIOTROWSKA-GROT

Większość osób może nie zdawać sobie sprawy z tego, jak dobrze znana jest im twórczość Leszka Aleksandra Moczulskiego. Dopóki nie zaczniemy doczytywać, poszukiwać informacji, pozostajemy poniekąd pogrążeni w nieświadomości, jak długo i często towarzyszą nam frazy z piosenek jego autorstwa. Dla mnie i mojego pokolenia, to raczej wspomnienie dzieciństwa (ponowne wysłuchanie tych tekstów może stać się źródłem ogromnej przyjemności), muzyka naszych rodziców, znak czasów, które zdecydowanie należą już do przeszłości, choć w samych utworach pozostało wiele uniwersalnych treści, które dziś wręcz się aktualizują.

Omówienie tomu, o którym wiemy, że stanowi domknięcie twórczości zmarłego w grudniu 2017 roku poety, nie jest zadaniem łatwym ani komfortowym. Pozwala jednak na spojrzenie na twórczość jako pewną spójną całość, dokonanie analizy jej zmian i rozwoju. Należy jednak wystrzegać się pokusy sentymentalnej podróży, choć w przypadku akurat tej twórczości nie jest to zadaniem łatwym. Zwłaszcza w przypadku człowieka, którego teksty to także historia muzyków dziś w polskiej kulturze już niemal legendarnych, na pewno zaś znaczących. Choć zostało to już powiedziane niemal w każdym artykule dotyczącym twórczości Moczulskiego, nie wypada nie przypomnieć, iż współtworzył historię Skaldów, Marka Grechuty czy Grzegorza Turnaua.

Utwory Leszka Moczulskiego składają się więc do takiego właśnie czytania – sentymentalnego, odkładającego nieco na bok narzędzia warsztatu filologa, czytania przez pryzmat całości dzieła. Wiemy, że teksty te nie przystają do naszych czasów, nie szukamy w nich prawdy, diagnoz czy poetyckiego zaangażowania w sprawy dotykające nas bezpośrednio w dni powszednie. Mogą jednak zaferować zainteresowanym nieco inne bodźce intelektualne. Stanowią zaproszenie do całkowicie nierealnego, nieco sielankowego, ciepłego świata. Wiersze

zamieszczone w tomie *Nuty od Franciszka* przynoszą historie o miłości, religijne drogowskazy, afirmację świata przyrody i dość nieprzystający do obecnie panujących standardów obraz człowieka. Nie jest jednak tak, że w tekstach autora *Elegii o weselu...* kryje się jedynie pozbawiona semantycznej głębi lekkość, nie wszystko w tej poezji i tekstach piosenek jest „całe w skowronkach”. Najlepszy dowód na to stanowią choćby wiersze wybrane do tomu *70 wiodków w drodze do Wenecji* czy utwór *Korowód* wykonywany przez Marka Grechutę. Nie brakuje w nich silnego głosu przedstawiciela swojego pokolenia, oznak buntu, zwątpienia, poruszenia najistotniejszych egzystencjalnych treści, problemu utraty. Przejdźmy jednak do zawartości ostatniego tomu.

Książka poetycka *Nuty od Franciszka*, opublikowana przez Bibliotekę „Toposu” w 2018 roku, to zbiór, jak wskazuje sam tytuł, inspirowany postaciami i naukami św. Franciszka. W tomie przeważają wiersze religijne, przywołujące na myśl religijność ludową, głęboką wiarę człowieka, który dostrzega dzieło Boga w każdym elemencie wszechświata. Ostatni tom pozbawiony jest szczególnie wyszukanych rozważań teologicznych – to prosty obraz świata i człowieka, który za wszelką cenę poszukuje źródła równowagi.

Poprzez słowa podmiotu lirycznego mówiącego do czytelnika tych wierszy człowiek głębokiej wiary, postrzegający świat przez pryzmat zaufania do Stwórcy i jego dzieła: „Zdejmijmy łąki / Bóg stworzył świat piękny / Szukając źródła / Ucisz się, klękniij” [s. 36]. Oczywiście dostrzega problemy współczesnego świata, jak w utworze *O co chodzisz?*: „O asymetrię Realu i marzeń... / O polszczyznę, która jest jak oliwa na wzburzone fale morza / O ulgę duszy gdy ciało owinięte przez węza depresji” [s. 32]. Nie można jednak nie zauważyć, że wyraźnie nieskomplikowana forma wierszy, niewyszukane słownictwo, prostota obrazowania oraz stosowanie pewnych dookreśleń – jakby w oderwa-

niu od świadomości, że ich semantyka nie jest już tak jednoznaczna jak dawniej – sprawia, że ciężar poruszanej tematyki został rozproszony, ukryty w sposób uniemożliwiający jego odczucie w sposób bezpośredni. *Nuty od Franciszka* zawierają w sobie wyraźną i gorącą chęć wskrzeszenia wartości, które bezpowrotnie odeszły lub zwyczajnie się zdezaktualizowały. Za każdym razem, kiedy padają w tych utworach słowa solidarność, dziedzictwo, wiara – siłą przyzwyczajenia poszukujemy ironicznego komentarza, który równoważyłby nieco powstający wokół nich patos. Miejscami oczywiście takie przymrużenie oka pojawia się w słowach poety, ale nie na tyle, by czytelnik nie dostrzegł silnej więzi z określonym, chrześcijańskim światopoglądem. W geście wywoływania z przeszłości określonego systemu moralno-obyczajowego zawiera się oczywiście pewna doza ukojenia, skierowana jednak do określonego typu czytelnika. Świat, który kreuje ta poezja pełen jest piękna, prostoty i wiary w to, że określone dawno prawa nadal powinny obowiązywać i przynosić rezultaty. *Nuty od Franciszka*, a właściwie słowa, do których zapewne można stworzyć kompatybilny zapis nutowy, to dźwięki radości i pogodzenia ze światem, emocje kogoś, kto pragnie odnaleźć określone źródło spokoju: „Chodziłem wrośnięty w ulice / Przepadłem wrośnięty w niepokój / (...) Pragnę, nie wiem, czy wrosnę / O, chciałbym wrosnąć w pokój” [s. 24].

Czytając te wiersze z perspektywy człowieka współczesnego, czytelnika najnowszej poezji niechybnie odniesiemy wrażenie zbyt daleko posuniętego braku dystansu, pewnego krytycznego spojrzenia na otaczający nas świat. Forma tekstów także nie jest wyszukana. Większość z nich pozbawiona jest skomplikowanych poetyckich chwytów, odznacza się prostą, regularną budową. Utwory opublikowane w tomie *Nuty od Franciszka* zdecydowanie zdominował żywioł piosenki popularnej skompilowanej z głęboką wiarą i poszukiwaniem Boga, co nie zawsze skutkuje wierszem najwyższej próby, nie twierdzę jednak, że właśnie miały spełniać takie ambicje. Zapewne część czytelników stwierdzi, że to wynik dojrzałości, stanu, w którym nie odczuwa się potrzeby ciągłego imponowania, konkurencji i walki o lepszy świat. W omawianej książce jednak nieco zabrakło pewnego zaangażowania, pomysłowości lingwistycznej i semantycznej oraz swoistej energii znanej z wielu tekstów autora.

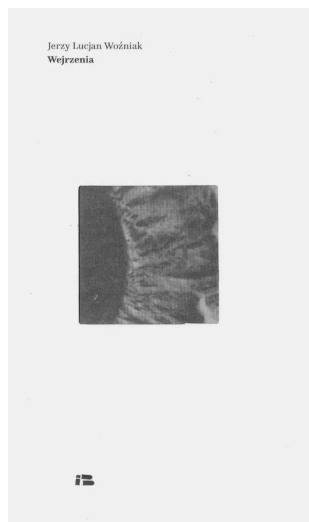
Nie jest jednak tak, że nagle twórczość Aleksandra Leszka Moczulskiego stała się poezją całkowicie pozbawioną poczucia humoru czy lekkiej nutki ironii (choć tej zdecydowanie jest w omawianych wierszach niewiele). Najwyraźniejszym wierszem tomu, jednocześnie najadekwatniejszym podsumowaniem niniejszych rozważań, okazuje się niewielka miniatura, formułą zbliżona do sonetu – *Ostatnia myśl*:

Człowiek umiera, rozum, serce umiera  
Przyszły nowe czasy, wstaje nowa era  
Człowiek wyszedł z mody, osoby już nie ma  
Giełdy samozadowolenia, brak nieba  
i jałowa ziemia

Być czy abdykować?  
Czy jedynie hamletyzować?

Leszek A. Moczulski: *Nuty od Franciszka*.  
Biblioteka „Toposu”, Sopot 2018, s. 56.





# Przemijanie w radości istnienia

KSIAŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

**W**ejrzenie to spoglądanie w głąb, sprawdzanie czegoś dokładnie. Tak dociekliwie stara się wnikać w rzeczywistość Jerzy Lucjan Woźniak w swoim najnowszym, trzynastym już tomie poetyckim.

Ważne jest dla niego doświadczanie i odczuwanie świata, każdego momentu życia, który zostaje mu dany. W wyrażającym świadomość przemijania poecie, rodzi się przekonanie, że każdy dzień jest darem. Autor *Ciężaru cienia* lęka się jego utraty, bo wybijające rytm wpływającego czasu zegary nieustannie o sobie przypominają. Nękając „ja” liryczne wierszy Woźniaka, najpierw „czuwają na wieżach / śpiewają w kurantach / szeleszczą [...] / błyskają tarczami w oczy” (s. 13). Jeżeli nie oddziałują na zmysł słuchu człowieka, to denerwują i męczą jego wzrok. Z biegiem lat doskwierają i stają się uciążliwe coraz bardziej, wzmagają niepokój: „jak wroga artyleria strzelają [...] boleśniej / pociskami lat” (s. 13). Poeta w swoich wierszach powtarza zresztą niejednokrotnie: „wciąż się boję wpływającego czasu” (s. 9). Dlaczego? Bo „mówi czas // stawia kroki / zbliża nas do końca [...]” (s. 17). Człowiek istnieje w czasie i z czasem – nie można ich od siebie rozdzielić.

Mierzące kolejne godziny zegary, przypominają człowiekowi o śmierci. Ten może i chciałby ukryć się przed nią, wymyślić sposób na jej przechytrzenie i przedłużenie życia. Autor *Drzew przy drodze* jest jednak realistą, wie, że pojedynku ze śmiercią nie można wygrać: „przed śmiercią uciekamy / jak spłoszony zając / wreszcie się rozbijamy / o jej konieczność” (s. 17). Można tylko próbować odsuwać od siebie myśl o śmierci. Dla Woźniaka są to jednak próby nieudane. Podmiot jego utworów mówi, że jest ona: „odwiecznie żywa” – trwa zatem w jego świadomości, wypełnia wyobraźnię. Przeczucie jej obecności dręczy człowieka, który zastanawia się jak kiedyś będzie wyglądało jego spotkanie z nią oraz czy będzie to spotkanie pierwsze i zarazem ostatnie: „jak się zachowa? // gdy przyjdzie / może zechce porozmawiać / spojrzysz najgłębiej

w oczy”, „[...] może objawi / jakąś tajemnicę?” (s. 26). Poeta, personifikując ją, przedstawia ją jako kobietę. Jest ona dla przerażonego jej odwiedzinami uprzejma, ale także pozostaje konsekwentna w swoich działaniach. Znając ludzką skłonność do ucieczki i obrony przed nią, kiedy przychodzi, unieruchamia człowieka. Podmiot mówi: „wata w nogach / nie da się wstać z łóżka / upaść na kolana” (s. 32). Śmierć pozwala jednak „ja” lirycznemu na dyskusję z nią, po czym wypełniając należące do niej obowiązki, wyjaśnia: „u mnie nie ma odwołań / dokładnie muszę się wyliczyć / wysoka łapówka nie pomoże / [...] dziękuję za ciekawą rozmowę” (s. 32). Ale Woźniak w *Wejrzeniach* pokazuje także jej drugą, okrutniejszą naturę. Śmierć bowiem lubi także wizyty niezapowiedziane. Przychodzi wtedy w najmniej odpowiednim momencie. Wkracza bezdusznie w pełnię życia, pozostaje bezlitosna na prośby o podarowanie jeszcze kilku chwil „bycia-w-świecie”: „wiadukt / tor kolejowy / z obydwu stron ginie / w gestwinie lasu // między szynami sarna / martwa / wbiegła tam w radości istnienia / w szklistych oczach widać / przerażenie / otwarty pysk jeszcze woła / o życie / wyprężony kark skierowany do nieba” (s. 28).

Osobę mówiącą w tych wierszach, która wie, że kiedyś także przyjdzie jej się spotkać ze śmiercią w taki czy w inny sposób, ciekawi i intryguje pośmiertne życie człowieka. Poeta chciałby nawet zapytać o nie samą śmierć: „co robią ci wszyscy których zabrała / może siedzą przy kawie / dzieląc się wspomnieniami / jak było po tamtej stronie / co mogli zrobić / a z czym się spóźnili” (s. 26). Pytania te rodzą się w bohaterze lirycznym szczególnie podczas wizyt na cmentarzu. Poeta przekonuje się, że ich zadawanie i tak nie przyniesie mu odpowiedzi. Nie słysząc żadnych głosów zmarłych w szczelinach płyt nagrobnych, uświadamia sobie, że tajemnicę zaświatów odkryje przed nim tylko jego własna śmierć: „[...] milczenie wciąż zastanawia // wreszcie wiesz / że sam sprawdzisz” (s. 23). Ale na cmentarzu w wierszach

Woźniaka dochodzi także do „spotkań nietypowych”. Poeta odczuwa tutaj obecność zmarłych, którzy nie potrafią odnaleźć swojego miejsca w zaświatach, nie chcą zadowolić się w drugim świecie istnienia. Tesknąc za życiem, próbują przyjaźnić się z żywymi – przymilają się do nich, szukają towarzystwa, robią wszystko, aby nie zostać odrzuconym: „dusza ogromnieje / lasi się do twojej / jak zagubiona fregata szuka zatoki / by otrzeć się burtą / pochwalić swoim pięknem / łagodnością kołysania // szuka przyjaźni” (s. 18).

Autor *Koronowania pokory* w swoich wierszach przewycięża myśli o śmierci poszukiwaniem radości istnienia. Strach przed upływającym czasem łagodzi w nim światło. Kiedy pojawia się, przychodzi pewność, że nastal nowy dzień: „dopóki światło w oczach / nie traci dramaturgii // życie” (s. 10). Jasność uspokaja, przekonuje poetę, że trwa ono w najlepsze. Woźniak, „chwytając dzień”, cieszy się drobnościami, docenia małe radości egzystencji. Urastają one w jego lirykach do spraw największych. Podmiot mówi: „każda chwila / z ptakami w parku / chmurami na niebie / i psem merdającym ogonem // jest balsamem” (s. 9), „poranek / slyszy grające ptaki w zieleni / rozpina się kopała światła / podpierana biegnącymi wysoko / masztami żreniec” (s. 13), „nie myślałeś dotąd: dotyk szorstkich dłoni / może być ukojeniem / a proste myśli / wyznaczaniem drogi na przyszłość” (s. 16). Lęk przed upływającym czasem uwarściwia poetę bardziej na piękno natury i bliskość drugiego człowieka.

Woźniak dostrzega w nich to, czego nie widzą inni. Uruchamiając wszystkie swoje zmysły, chce chłonąć świat, przeżywać dni radośnie. To doświadczanie nie tylko przynosi mu chwile szczęścia, ale także inne spojrzenie na rzeczywistość. Światło bowiem mieni się blaskiem, nie świeci zawsze jednakowo. Przeciwnie: „różnie świeci / zmienia natężenie / nie wiadomo dokładnie od czego zależy” (s. 25). Może stanowić epifanię, blysk, z którym przychodzi ważne momenty uświadomienia, oświecenia: „nagle kształtuje się nowy horyzont / wpatrując się w coraz jaśniejsze światłocienie / widzisz sens dotychczas nieznan” (s. 29). Światło jako symbol życia dodaje siły i nadziei – jest „lekarstwem podnoszącym z kolan” (s. 5). Poeta, „wierzy w jego moc / jak umierający chce wierzyć w nieśmiertelność” (s. 14). Pomaga ono również pisać wiersze. Wraz z nastaniem jasności przychodzi bowiem poetyckie natchnienie: „klarują się kolory / wróciła tresura słów / z mętności konkret / wracam na drogę / co mądrze dźwięczy” (s. 24).

Jerzy Lucjan Woźniak w swoim najnowszym tomie poetyckim dokonuje wejrzania w upływające godziny, nastające dni, przyrodę, ziemię, człowieka. Przede wszystkim jednak spogląda w głąb siebie: „coś we mnie siedzi / i wraz z mną się biedzi / nade mną // jest we mnie od niepamięci / i tak się święci / na zawsze zostanie // robi mi różne psoty / i dziwoty // gdzie to jest we mnie / wciąż nie wiem / bo jest wszędzie” (s. 30). Wiersz *O sobie*, chociaż jest żartobliwym mówieniem poety o chorobie, wybrzmiewa w tym tomie poważnie i przejmująco. Autor *Ciężaru cienia*, zdradzając czytelnikowi swoje bolączki, którymi są jeszcze lęk przed śmiercią i biegnący nieublaganie czas, pokazuje, że jest poetą autentycznym – czułym dla świata i człowieka, doceniającym każdy dzień życia, przejmującym się istnieniem.

Jerzy Lucjan Woźniak: *Wejrzenia*. Bytom: Idee books 2017, 44 s.

nh  
nowa humanistyka

Agnieszka Dauksza

Afektyny modernizm

Nowoczesna literatura polska  
w interpretacji relacyjnej

# Karuzela zaafektowanych

KSIAŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

W projekcie Agnieszki Daukszy (rekomendowanym przez Przemysława Czaplńskiego i Marka Zaleskiego) najważniejszym postulatem jest wypracowanie modelu lektury uwzględniającej relacyjnie zorientowane elementy triady: dzieło-odbiorca-nadawca (m.in. użyte chwytły, czas historyczny i transmitowane doświadczenie), które zawsze różnicują interpretację dzieł sztuki oraz literatury. Napięcie emocjonalne utworów o proweniencji awangardowej, które poddane zostały mikrologicznej analizie, ufundowane jest nie tyle na „zmyśle formy” pisarza i czytelnika (a więc pokrewieństwie w zakresie preferowanej estetyki), lecz na miejscach neuralgicznych, będących, jak pisze Dauksza, częścią strategii polegającej na grze z wrażliwością czytającego, konwencjami, kanonem i schematami percepcji.

Według młodej badaczki nadszedł kres procesów identyfikacji z ulubionymi bohaterami oraz hegemonii emocji oscylujących wokół sympatii, które zapewniały dotąd bezbolesne obcowanie z postaciami jednoznacznie dobrymi lub ucieleśniającymi szczytne idee; nową zasadą jest antyidentyfikacja, którą stosują Dorota Masłowska, Izabela Filipiak i Sławomir Shuty (lista ta nie jest kompletna i zamknięta). Fabuła i świat przedstawiony stają się tylko pretekstem do transmisji afektów, które nie są zdeponowane w teście raz na zawsze, lecz są aktywowane w zmiennym środowisku odbiorczy.

Na jakość i siłę stanów poruszenia wpływa więc wiele czynników, stąd wniosek, że nie ma wzorcowej interpretacji, jednego, ugruntowanego sposobu lektury, a emocje na równi z intelektem partycypują w tym procesie.

W *Afektynym modernizmie* zostały wyszczególnione dwa stany, którym odpowiada inna wiązka emocji, determinujące kształt zapisu oraz układ kompozycyjny, a także stylizację: codzienność oraz wojna/Zagłada, dzięki czemu nie można zarzucić Daukszy

jednostronności w doborze kontemplowanych przez twórców sytuacji egzystencjalnych. Zarówno życie Mirona Białoszewskiego w mrówkowcu, jak i reminiscencje powstania warszawskiego (notabene rozdział poświęcony jego twórczości jest najmniej interesujący i najbardziej przewidywalny na tle zaskakujących odczytań innych pisarzy ze względu na mimowolne powielanie tez Marii Janion, Katarzyny Bojarskiej, Joanny Gładziel-Wójcik i Andrzeja Zieniewicza) stanowią pewien model doświadczenia, które wymyka się prostym opozycjom (bezpieczne-niebezpieczne, oswojone-obce, heroiczne-nieheroiczne) i jednoznacznemu wartościowaniu, bo zarówno ekstrema (bombardowanie i pozawałowa rekonwalescencja), jak i stany ataraksji mają swój niezaprzeczalny urok oraz ładunek afektyny. Dowartościowanie codzienności wiąże się także z wyjściem poza apologię więzi międzyludzkich w stronę relacji nieantropocentrycznych (*casus* opowiadań Kornela Filipowicza), poświadczających wrażliwość na to, co marginalne, zepsute i niedowartościowane. Strategie referowania ludzkich losów w formie mikrohistorii (a więc uwzględniającej rzeczy, mniejsze wspólnoty lub indywidualne biografie) stanowią bezcenny wkład Daukszy w proces narratywizacji doświadczenia przez pryzmat innych kategorii.

W rozdziałach egzemplifikacyjnych (poprzedzonych oraz zwieńczonych teoretycznymi dopowiedzeniami) Dauksza koncentruje się na lekturze spuścizny pisarzy uznanych lub zapomnianych z kręgu modernizmu (Brunona Schulza, Leo Lipskiego, Witolda Gombrowicza, Anny Świrszczyńskiej, Wisławy Szymborskiej) z wykorzystaniem najnowszych metodologii, w tym wiodącej teorii afektów, której inspiratorami są m.in. Brian Massumi, Sarah Ahmed, Barbara Rosenwein i Mieke Bal. Decyzja o rezygnacji z syntezy na rzecz *case studies* okazała się w przypadku tak róż-

nych i idiomatycznych autorów uzasadniona, ponieważ kolejne rozdziały stanowią rozwinięcie tytułowego zjawiska wraz z poświadczającymi je przykładami oraz weryfikują cechy dystyngtywne komentowanych pisarzy.

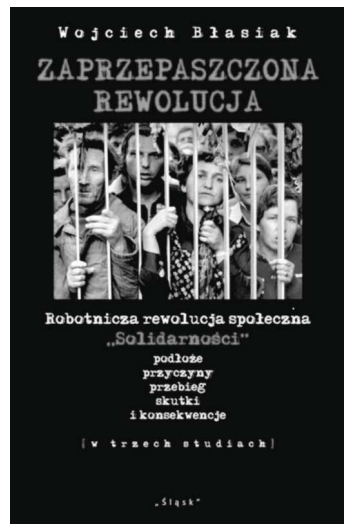
Arbitralny wybór nazwisk, do którego przynajmniej się autorka, wraz z aplikowaną każdorazowo teorią świadczą o innowacyjności przedsięwzięcia, którego wyznacznikami są, według Ryszarda Nycza, powtarzalność procedury badawczej, aktywne poszukiwanie komplementarnych kontekstów i reinterpretacja kanonicznych odczytań. Sposób lektury Daukszy jest więc poświadczaniem też rewelatora nowej humanistyki. Kolejne partie wywodu analityczno-interpretacyjnego poświęcone są poszukiwaniu nowatorskich odczytań klasyków (stąd rewizja dotychczasowych sądów na temat powściągliwości emocjonalnej Szymborskiej i odczytanie spuścizny Gombrowicza jako zapowiedzi też zawartych w *Przeźnionej rewolucji* Andrzeja Ledera) oraz pisarzy drugorzędnych, zapoznanych (stąd sytuowanie pisarstwa Świrszczyńskiej w polu katastrof wojennych z uwzględnieniem autorskiej sygnatury wierszy z tomu *Budowałam barykadę* i dowartościowanie reistycznych opowiadań Filipowicza).

Konstruowanie prywatnego kanonu, w którym obok Schulza, Gombrowicza i Szymborskiej znajdują się pisarze relegowani na obrzeża, stanowi istotną zaletę publikacji Daukszy, która postuluje zwrócenie uwagi na pominięte zjawiska artystyczne (*casus* duetu Kwiek-Kulik) lub głośne w swoim czasie (za sprawą przynależności autorów do formacji poetyckiej postulującej „wstydlivość uczuć” i zakaz emocjonalnej wylewności), lecz dziś już zapomniane wspomnienia awangardzistów (*casus Dzwiny historii awangardy* Adama Ważyka). To właśnie książka Ważyka stała się dla Daukszy inspiracją do nowego odczytania twórczości modernistów przez pryzmat teorii afektów.

Wprowadzający rozdział (*Afektyny awangardyzm*) stanowi efektowną próbę podejrzliwej lektury enuncjacji awangardowych poetów i skorelowania ich dokonań z atmosferą zjawisk geopolitycznych im współczesnych, co ostatecznie potwierdza tezę o uprzywilejowaniu emocji w procesie twórczym i czytelnym. Najważniejszy okazuje się prywatny wymiar wspomnień Ważyka, które przyjmują formę anegdot. To właśnie fakt, że „wybory formalne tłumaczy [Ważyk – A.] [...] dyktatem »dekalogu żołądka«, ostrość wyrazu – prozaicznymi potrzebami fizjologicznymi, natomiast innowacyjność – intensywnością i dotkliwością doświadczeń wojennych, podważając tym samym mit o »bezosobowości« i »autonomii« modernistycznej sztuki” (s. 47) stanowi asumpt do poszukiwania innej (emocjonalno-cieleśnej) ścieżki interpretacji schedy awangardzistów, stanowiącej dla modernistów wzór ekspresji. Ich nadwrażliwość, urazy, namietności, a także strach są w sposób wyraźny kodowane (za sprawą tematyki lub chwytów formalnych) w wierszach i prozie, co pozwala na zniesienie opozycji między rozumem i uczuciem, których wspólny udział w procesie odbioru/pisania okazuje się niezbywalny.

Agnieszka Dauksza: *Afektyny modernizm. Nowoczesna literatura polska w interpretacji relacyjnej*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2017, s. 416.





# Zaprzepaszczona rewolucja?

KSIAŻKI

ZYGMUNT WOŹNICZKA

Protesty robotnicze w 1980-1981, zmobilizowały miliony ludzi, którzy wystąpili przeciwko panującemu w kraju systemowi komunistycznemu i zbudowali zręby nowej demokratycznej Polski. Efektem tych działań było powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność. W tamtych latach zaczął się proces upadku komunizmu w Polsce. Dzisiaj po latach nowe pokolenie w coraz mniejszym stopniu interesuje się tamtymi wydarzeniami a jeżeli już to postrzega się przez pryzmat „festynu Solidarności” czy tragedii stanu wojennego 13 XII 1981. Na Górnym Śląsku dominuje pamięć tragedii na Kopalni „Wujek”.

Wielu działaczy z tamtych lat jest albo nadal czynnych politycznie i przenoszących często tamte spory na współczesną scenę polityczną. Coraz większa grupa dawnych działaczy Solidarności powoli staje się kombatantami zasłużonymi w walce o wolną Polskę.

Książka socjologa i ekonomisty Wojciecha Błasiaka przypomina tamte lata, ale stawia tezę, że wydarzenia, o których mówimy były „zaprzepaszczoną rewolucją”. Dowodzi, że rewolucja społeczna „Solidarności” z lat 1980-1981, miała pełne szanse, by odnieść sukces. Dowodzi, iż radziecka interwencja zbrojna nigdy jej nie groziła, a militarno-policyjnej kontrewolucji komunistycznej w formie stanu wojennego, można było skutecznie zapobiec, przygotowując się do masowego czynnego oporu i organizując własną sieć łączności największych przedsiębiorstw i kopalń w kraju.

Książka składa się z trzech studiów społecznych, z których każde stanowi odrębną całość, ale dopiero łącznie dają one pełny obraz tej robotniczej rewolucji.

W studium pierwszym, pod tytułem *Strajkowe tworzenie świata robotniczej solidarności 1980 roku na Śląsku*, autor dokonał analizy tworzenia społecznego zjawiska robotniczej solidarności, jaka dokonała się

poprzez aktywność strajkową w śląskich kopalniach i przedsiębiorstwach na przełomie sierpnia i września 1980 roku. Na podstawie bogatej empirycznej dokumentacji strajkowej, autor z perspektywy socjologii fenomenologicznej i fenomenologii oraz filozofii pracy, przeanalizował proces intersubiektywnego upodmiotowienia się uczestników strajków, zachodzący poprzez ich aktywność strajkową. Ten proces intersubiektywnego podmiotowania okazywał się być procesem tworzenia transcendentnego świata robotniczej solidarności, w którym strajkująca załoga górnicze i robotnicze przekształcając się w strajkową społeczną grupę uczestnictwa w skali regionalnej, ale i krajowej. Ta masowa skala strajków na Górnym Śląsku w dniach z 28 na 30 sierpnia 1980 roku, z ich centrum strajkowym w kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu-Zdroju, przesądziła ostatecznie o generalnym sukcesie strajków na Wybrzeżu i podpisaniu porozumień strajkowych w Gdańsku 31 sierpnia, a dzień wcześniej w Szczecinie.

W książce analizowano proces tworzenia robotniczej solidarności w śląskim kontekście społecznym, kulturowym i politycznym. Zwrócono uwagę przede wszystkim na to że, region ten podlegał prawidłowościom kolonizacji wewnętrznej a ponadto silne były tutaj procesy charakterystyczne dla historycznego pogranicza kulturowego i narodowościowego.

W studium drugim, o tytule *Czasoprzestrzeń społeczna solidarnościowej rewolucji – Przestrzeń konfliktów społecznych w Polsce: 1 lipca 1980-12 grudnia 1981*, autor przeanalizował przestrzenny aspekt solidarnościowej rewolucji i jej fazy oraz dynamikę.

W kluczowym studium trzecim, pod tytułem *Polska Ludowa w perspektywie robotniczej rewolucji społecznej „Solidarności”*, autor dokonał całościowej analizy

dynamiki i struktury robotniczej rewolucji, osadzając ją w realiach historii Polski Ludowej lat 1944-1991. Pokazał jej podłoże, przyczyny oraz skutki i konsekwencje. Zdaniem autora była to pierwsza w świecie społeczna rewolucja robotnicza, jeśli pominąć krótkotrwałą i ograniczoną terytorialnie do Paryża, rewolucję robotniczą Komuny Paryskiej z 1871 roku. Ta solidarnościowa rewolucja była równocześnie demokratyczna, niepodległościowa i uspołeczniająca. Jej dynamika i jej policentryczna struktura, z podziałem na wiodące centra i wspierające peryferie, była zasadniczo określona przez procesy intersubiektywnego samopodmiotowania uczestników solidarnościowego ruchu robotniczego. Tworzyli oni nową grupę społecznego uczestnictwa z własną, stale rozwijaną solidarnościową wyobraźnią symboliczną. Te procesy intersubiektywnego podmiotowania rozwijane poprzez rewolucyjną aktywność społeczną, zmieniały tożsamości społeczne uczestników, budując ich nowe habitusy społeczne i ich nowe osobowości społeczne. Doprowadziło to ostatecznie do rozpoczęcia zmiany ustroju społecznego Polski Ludowej, w postaci zapoczątkowania przejmowania władzy ekonomicznej w przedsiębiorstwach. Proces ten został przerwany w grudniu 1981 roku przez wprowadzenie stanu wojennego, który doprowadził do rozbitcia związku zawodowego „Solidarność”. Autor widzi te wydarzenia jako komunistyczną kontrewolucję, w postaci militarno-policyjnej.

Uważa, że o klęsce robotniczej rewolucji przesądziło negatywne przywództwo, z kluczową rolą przewodniczącego związku Lecha Wałęsy oraz negatywne doradztwo, z kluczową rolą grupy lewicy laickiej.

Zaprzepaszczanie tej rewolucji, która miała pełne szanse historycznego sukcesu na budowę nowego demokratycznego, niepodległego i uspołeczniającego ustroju społecznego, było zdaniem autora bezpowrotną utratą szans historycznych Polski. Te stracone szanse miały trzy poziomy. Pierwszym poziomem była utrata szans w wyniku zaprzepaszczania tej rewolucji w latach 1980-1981, co uniemożliwiło demontaż Polski Ludowej i rozpoczęcie budowy nowego ustroju społecznego, z odrodzeniem się społecznym i gospodarczym Polski. Drugim poziomem było zaprzepaszczanie szans na drugą rewolucję nowego już pokolenia robotników lat 1988-1989, dzięki wykorzystaniu solidarnościowej wyobraźni do jej demobilizacji. Trzecim poziomem była utrata szans historycznych w latach 1989-1991 na nowy start w systemie światowej gospodarki, dzięki legitymizacji szokowej transformacji Polski Ludowej dokonanej przez komunistyczną oligarchię w ramach tzw. planu Balcerowicza.

Szeroko udokumentowana książka Wojciecha Błasiaka jest w dużym stopniu nowym ale też i kontrowersyjnym spojrzeniem na wydarzenia lat 1980-1981 i następnych. Jest ważnym głosem w dyskusji nad charakterem i znaczeniem rewolucji społecznej „Solidarności”.

**Wojciech Błasiak: Zaprzepaszczona rewolucja. Robotnicza rewolucja społeczna „Solidarności”: podłoże, Przyczyny, przebieg, skutki i konsekwencje (w trzech studiach).** „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2018, s. 648.

# Malarstwo

## Natalii Rybki

NATALIA RYBKA, MARIA KORUSIEWICZ



*Sadzić pośród ruin świeże kwiaty, 100x170 cm, olej na płótnie, 2018*



*Sens nie filozoficzny, 70x100 cm olej na płótnie, 2017*

**Natalia Rybka** urodziła się w Bytomiu, a obecnie mieszka i pracuje w Katowicach. Ukończyła Państwową Ogólnokształcącą Szkołę Muzyczną I i II st. w Bytomiu, ale jej zainteresowania ostatecznie skierowały się w stronę sztuk wizualnych i podjęła studia na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach na kierunku Malarstwo. W roku 2016 obroniła z wyróżnieniem dyplom w pracowni profesora Andrzeja Tobisa oraz profesora Antoniego Kowalskiego.

Malarstwo Natalii Rybki to próba łagodnego wejścia w odwieczną, jak Las, tajemnicę Natury jako Egzystencji. Ukazując piękno i tajemnicę Natury, Rybka ukazuje człowieka jako część tego niezrozumiałego i ogromnego środowiska, z którym jest przecież nierozdzielnie związany. Rzeczywistość i człowiek rezonują ze sobą pozostawiając ślad w danej przestrzeni, miejscu. Ontologiczny wymiar bytu skłania do pytania o obiektywność jednostki, a raczej jej jakość duchową, jej wewnętrzną strukturę, jej tworzenie. Stając przed obrazami Rybki odczuwamy istotność tych pytań. W tym fascynującym malarstwie natura, podobnie jak u amerykańskich transcendentalistów, Ralpa Waldo Emersona i Davida Henry'ego Thoreau otwiera się przed człowiekiem jako mediator pomiędzy Boskością, a świadomością ludzką. Sama partycypuje w cechach Boskich, ofiarowując człowiekowi doświadczenie transcendencji. Wzniosłość, pokora wobec atemporalności Lasu, a jednocześnie poczucie zadomowienia i przynależności powoduje niemal natychmiastowe włączenie odbiorcy w krwiobieg Życia.

Malarstwo, jako zwornik tego doświadczenia okazuje się również efektem zdolności nawiązywania relacji. Służy jako środowisko spotkania, naglej symbiotycznej jedności ludzkiej psychiki i świata zewnętrznego – uczestniczących w Boskości, co dokumentują formujące się w zieleni sylwetki ludzkie przeniknięte światłem. Ten łagodny panteizm sięga ku najstarszym i niezmiennym tęsknotom człowieka obejmując popularne w średniowieczu wizje Wielkiej Księgi Natury i mistyczne doświadczenia chrześcijaństwa.

Natalia Rybka na swojej stronie pisze: „Tertulian, łaciński teolog z Północnej Afryki zwykł mawiać: ‘Wierzę, ponieważ to absurd’, ale poznanie natury Boga przestaje być tak absurdalne i staje się prawdą. Wiara jest wyborem. Czasami decydujemy się wierzyć z powodu tego, co widzimy, a czasami mimo tego. Żyjemy w czasach, gdy wiara zdaje się tracić znaczenie. Mamy więc dwie możliwości: opuścić naszą wiarę lub pamiętać, kim jest Bóg”.

Natalia Rybka brała udział w projektach scenograficznych, takich jak: projekt i realizacja scenografii w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego do spektaklu pt. *Elling* w reżyserii Michała Wawrzeckiego. Uczestniczyła w wystawach zbiorowych, były to między innymi: „Granice rysunku” w Poznaniu w roku 2012; „Nowy obraz/nowe spojrzenie” również w Poznaniu, w roku 2013 i 2016; „Obraz roku” w Katowicach, 2015/2016; „Figurama”, Artystyczna podróż Hestii w Warszawie, Grand Prix Fundacji im. Franciszki Eibisch w Warszawie, 2015; Międzynarodowa Wystawa Rysunku Studenckiego Rysować-Naturalnie w Poznaniu i Gorzowie Wielkopolskim, 2016; Najlepsze Dyplomy ASP 2016, Wielka Zbrojownia, Gdańsk. Jest zdobywczynią nagrody Grand Prix jubileuszowego 25 Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie (2016), na który nadesłano ponad 1000 prac. Otrzymała również nagrodę Marszałka Województwa Podkarpackiego w Rzeszowie.

W roku 2017 jej prace można było podziwiać w **Cieszynie w Miejskiej Galerii 12 na wystawie zatytułowanej „Rezerwat stanów nieskażonych”**.





Edward Bogusławski urodził się 22 września 1940 roku w Chorzowie, zmarł 24 maja 2003 roku w Katowicach. Całe swoje życie, z wyjątkiem krótkiego okresu w Wiedniu, gdzie uzupełniał studia u wspaniałego Romana Haubenstocka-Ramatiego, spędził na Śląsku. Studiował u wielkiego Bolesława Szabelskiego w ówczesnej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, z którą później związał się jako pedagog do końca życia. Piętnaście lat po jego śmierci warto przypomnieć tę postać, był bowiem Bogusławski kompozytorem bez wątpienia znaczącym.

W jego twórczości trudno wyróżnić jakiś główny nurt. We wszystkim, co robił był – duże słowo, ale w pełni uzasadnione – mistrzem. O ile na początku, szczególnie w muzyce orkiestrowej, nawiązywał do osiągnięć polskiej szkoły sonorystycznej jaką znamy z wczesnych dzieł Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Mikołaja Góreckiego czy Wojciecha Kilara (na uwagę zasługuje w tym kontekście bardzo ekspresyjne, nieomal ekshibicjonistyczne *Apokalypsis* na głos recytujący, chór mieszany i zespół instrumentalny z 1965 do tekstu Jana Górcy Rosińskiego; była to praca dyplomowa Bogusławskiego), o tyle w późniejszych utworach udało mu się wypracować styl niejako klasyczny: mówię tu o elegancji narracji muzycznej i wstrzemięźliwej ekonomice środków kompozytorskich, takich jak: wyselekcjonowane figury rytmiczne oraz interwały pojawiające się w pionach akordowych i liniach melodycznych. Tutaj dostrzegalne są indywidualnie przetworzone wpływy języka dźwiękowego Witolda Lutosławskiego, którego Bogusławski podziwiał i stawiał za wzór kompozytorskiej maestrii. Krótko mówiąc, u Bogusławskiego, jak i u Lutosławskiego, nie ma „zbędnych dźwięków”. W muzyce tej nie da się niczego ukryć, przezmoczyć, każdą wpadkę interpretacyjną słychnąć i jedynym rozwiązaniem jest ciężka praca przygotowawcza nad danym utworem. To bardzo dobrze świadczy o kompozytorze, stawiającym poprzeczkę wysoko, ale jednocześnie świadomym ograniczeń technicznych pojedynczych instrumentów oraz ich zespołów.

Z perspektywy lat wydaje się, że dzieła orkiestrowe powstałe w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, takie jak: *Sygnaly* (1966), *Canti* na sopran i orkiestrę (1967), *Intonazioni II* (1966), *Sinfonia* na chór i orkiestrę, a nade wszystko znakomite *Capriccioso notturno* (1972) oraz Koncert obojowy (1976) wytrzymały próbę czasu i chciałoby się wręcz wołać o ich powrót na estrady filharmoniczne. Dlaczego są to utwory wybitne? Otóż posiadał Bogusławski rzadką, wyjątkową wprost zdolność panowania nad formą pojętą jako proces rozwijania muzyki z wstępnej idei, która w trakcie narracji rozrasta się, przejmując ją i rozwijając kolejne instrumenty, by w końcu eksplodować w orgii szału całej orkiestry a następnie pięknie wybrzmieć w niebyt. Jeśli w wielu dziełach tzw. sonorystycznej szkoły polskiej dominuje forma, by tak rzec, klockowa – najpierw pojawia się jeden „efekt”, potem ni stąd, ni zowąd pojawia się kolejny i tak dalej, w muzyce Bogusławskiego mamy do czynienia z ewolucjonizmem formy – cząstki dzieła łączą się harmonijnie, wynikają jedna z drugiej, a przy tym zawsze dzieje się coś nowego, coś co czyni narrację muzyczną stale intrygującą.

Wyżej wymienione *Capriccioso notturno* to sztandarowy przykład takich formalnych procedur, które w połączeniu z autentyczną

## Język w strunach



# Kompozytor nielubiany Edward Bogusławski (1940-2003)

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

kompozytorską fantazją spełnioną w nowych fakturach i świetnej kolorystyce orkiestrowej, dały w rezultacie dzieło wybitne, wręcz arcydzieło o walorach ponadczasowych: o ile muzyka szkoły polskiej z wczesnych lat sześćdziesiątych może dzisiaj nieco trącić myśzką, o tyle w dojrzałych dziełach Bogusławskiego czas jakby zastępył w wieczność – to utwory zawsze młode, które stanowić mogą ozdobę każdego filharmonicznego programu. Co ciekawe, nie są to typowe utwory „festiwalowe”, których słucha się raz by o nich potem zapomnieć. To muzyka repertuarowa, żywa, która – jeśli dać jej szansę – może porwać nawet nieprzygotowanych na tę estetykę słuchaczy, tak wielka jest jej moc narracyjna.

W dziełach ostatnich Bogusławskiego słyszemy język dźwiękowy wzbogacony o niesamowicie – tak, niesamowicie – intensywne lirykę i dramatyzm. Jestem przekonany, iż utwory te odzwierciedlają najpierw rozpacz, potem zaś pogodzenie się z nieuchronnie nadchodzącą śmiercią (*Canti* na chór mieszany z 1999, *Pieśni pielgrzymów* na sopran, baryton, głos recytujący, chór mieszany i orkiestrę z 1999, *Inwokacja* na sopran i chór mieszany z 2000 oraz *Inwokacja II* na chór mieszany z 2003). Jest coś żarliwie smutnego w tych dziełach, ekspresja, chór mieszany i orkiestra waleśną walkę kompozytora o prawo do życia i tworzenia: *Lamento* na sopran, obój i organy (2002), *Canzoni d'amore* na głos recytujący, sopran, perkusję i smyczki (2003).

O jednym jeszcze dziele wypada napisać, mianowicie o operze kameralnej *Sonata Belzebuba* podług tegoż dramatu Stanisława Ignacego Witkiewicza, którą kompozytor ukończył w 1977. Sądzę, że pośród polskich oper dwudziestowiecznych tę jedną, obok *Diabłów z Loudun* Pendereckiego, można nazwać arcydziełem. Oper na podstawie dramatów Witkacego powstało kilka – ale tylko *Sonata Belzebuba* zasługuje na stałą obecność w repertuarach polskich teatrów operowych. Udało się w niej Bogusławskiemu w sposób idealny oddać ironiczno-absurdalny świat wielkiego dramaturga, każda strona partytury zachwyca świeżością rozwiązań narracyjnych, radością z twórczej wolności, inwencją muzyczną i teatralną. *Sonata Belzebuba* to rewelacyjne studium tego, co można z dziełami Witkacego muzycznie zrobić czyli nadać im jeszcze większą siłę oddziaływania – właśnie poprzez dźwięk.

Kilka lat po śmierci Edwarda Bogusławskiego, moja przyjaciółka, pianistka, chciała w Akademii Muzycznej zorganizować koncert wspomnieniowy. Nie udało się: jeden z tuzów grona akademickiego stwierdził, że to niedobry pomysł, „bo, wie pani, my go tutaj nie lubimy”. I tak owie nieprzemyślane zdanie przekreśliło szansę uhonorowania człowieka, którego twórczość należy do pereł polskiej muzyki XX wieku.

# B

Biblioteka Śląska

Białe Kruki Biblioteki Śląskiej



## Sygnatura 213955 I

JAN MALICKI

Niezbyt atrakcyjny, strasznie pożółkły tomik z szarego – nieco bardziej uszlachetnionego od gazetowego – papieru (znawcy dodadzą: „kwaśnego”, skazanego na unicestwienie) zbytnio nie rzuca się w oczy bywalcom Pracowni Śląskiej naszej biblioteki. Ale właśnie ten skromny egzemplarz Ligoniewej książeczki ma swoją długą historię. Przystosowany do druku w dalekiej Jerozolimie, między 18 sierpnia a piątym grudnia 1944 roku przez Karlika z Kocynra, został poświęcony i na swój

sposób zadedykowany „*synom, którzy dziś na wszystkich frontach świata pod znakiem Orła Białego walczą bezτροsko o calość i niepodległość wspólnej nam, najdroższej Ojczyzny*”. Staraniem Wydziału Propagandy i Kultury 3. Korpusu został wydany przez jej Sekcję Wydawniczą. Dodajmy: też patronującej edycji jednej z powieści Gustawa Morcinka, przyjaciela Ligoniewego z czasów przedwojennych. Być może właśnie Karlik przyczynił się do jej wydania, skoro tylko dzieła tych obu

wielkich Ślązaków przypominano w Palestynie. Panaligoniowa dedykacja nie zaskakuje, choć ciągle w pamięci mam inną maleńką książeczkę, z ląkonikiem i wieżami mariackiego kościoła na okładce, wydaną także w Jerozolimie, również w 1944 roku z przepowiednią, a jakże, na następny rok – napisaną przez Anatola Krakowieckiego, a zatytułowaną *Bajki białe czerwone*. Zachwyca antydedykacja skierowana „*Do starszych*” by książeczki nie czytali i do Basi zapewne córki: „*Słyszałem twój wołający krzyk poza bramą, którą zamknąłem za sobą, ponieważ musiałem odjechać. I dlatego, dla ciebie Basiu o czarnych włosach, a o oczach jak dwa niebieskie migdały, napisałem tę książeczkę*”.

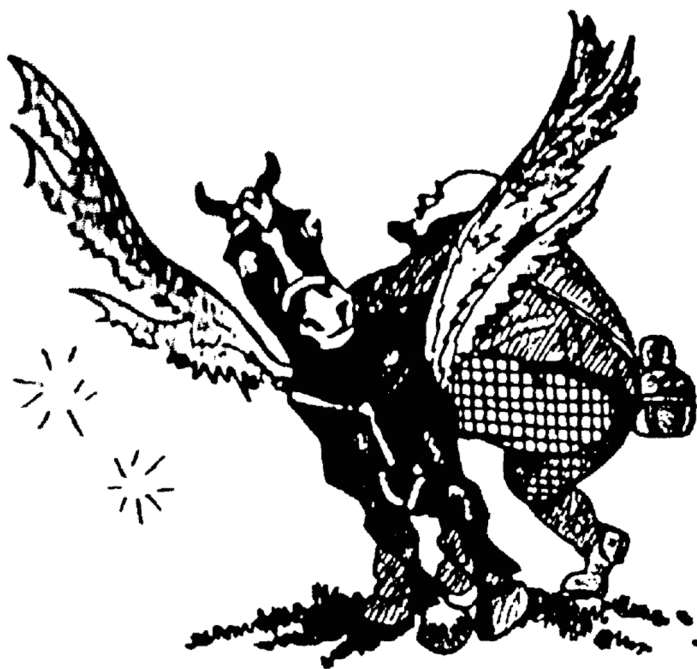
Różne dedykacje, różni adresaci, to samo miejsce oraz rok edycji, ten sam ogromny smutek, nadzieja na lepszy czas. I niezłomna wola służby Ojczyźnie. Jak silna musiała być chęć i potrzeba przetrwania, by jeszcze raz sięgnąć po pióro, utrwalić tę dramatyczną chwilę lub po prostu wrócić w myślach do owego „wieku złotego”, jakim jawił się czas pracy w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia. Nie wiem, jakimi zasadami kierowali się wydawcy z 3. Korpusu, lecz sam fakt upowszechnienia *Berów i bojek śląskich* już zasługuje na szczerzy szacunek. I z pewnością były one przyjęte z uznaniem. Mamy tego przykłady. Drogę bowiem książki zawsze znaczą ślady rąk czytelników. Tę drogę rozpoczyna ostatni rok wojny i daleka Jerozolima, gdzie Stanisław Ligoń – powtórzmy za Jackiem Sieblem – „Jako prezes Komitetu Uchodźców Polskich często spotykał się z rodakami. Podtrzymywał ich na duchu, zapewniał o szybkim powrocie do domów, a potem jak pisał G. Zych: „berał po swojemu, powtarzał stare anegdoty w śląskiej gwarze, dowcipkował, a oni reagowali huraganowymi wybuchami śmiechu i nagradzali brawami”. Dla żołnierzy – Ślązaków założył Dom Polski, ponadto zorganizował stołówki i przedszkola dla polskich dzieci” (J. Siebel: *Karlikowy dom*. Stanisław Ligoń 1879-1954. Katowice 2010 s. 25-26). Nic więc dziwnego, że w przedmowie do jerozolimskiego wydania niezapomniany Karlik z Kocynra z goryczą pisał: „Wtedy jako szczęśliwy obywatel wielkiego, wolnego państwa, jako syn pięknej i bogatej ziemi śląskiej, o której wyzwolenie miałem szczęście także walczyć – dziś na tułaczce w obcym kraju, przeżywający od pięciu już lat tragedię swojej Ojczyzny, pełen bezbrzeżnej tęsknoty za umiłowanym krajem rodzinnym i z troską w sercu o los najdroższych. Czyż mogą być gorsze jeszcze warunki dla pisarza klekającego humor? Nowe wydanie »berów« prze-



znaczone jest dla żołnierza na froncie i to mnie do pracy zachęciło, bowiem żołnierzowi naszemu, po trudzie i znoju dnia, należy się w wolnych chwilach trochę pogody i niefrasobliwej wesołości”.

Zachowany w Bibliotece Śląskiej egzemplarz Ligoniovych berów towarzyszył więc żołnierzom. Tak jak sobie życzył Autor. Nie tylko w czasie walk na ziemi włoskiej, ale i później, kiedy dokonywano wyborów: zostać może nawet żołnierzem tułaczem czy wrócić do kraju. Stanisław Ligoń nie wahał się. Dał temu wyraz w „Biuletynie Wolnej Polski” z 17 maja 1946 roku, kiedy opublikował jakże ważny i na wskroś osobisty tekst: „Dlaczego wracam do kraju? I wrócił.

Los jerozolimskiego wydania był inny. Nasz egzemplarz, z Palestyny przez Włochy, znalazł się w Stuttgarcie, w Domu Książki Polskiej, jednym z wielu, a było ich sporo we wszystkich miastach Europy, gdzie przebywali zdemobilizowani żołnierze polscy. Wśród nich był też czytelnik tej książki. Być może jeszcze w żołnierskim mundurze. Nie wiemy, niestety, kim był ów człowiek, jaki mu przypadł los, czy pozostał na obczyźnie, czy wrócił do kraju. Z książką Ligoniovą? Trudno również powiedzieć, kiedy i w jaki sposób egzemplarz „berów” trafił do Antykwariatu Naukowego w Poznaniu. A stamtąd do Katowic. Czy przez aukcję antykwaryczną, listę propozycji wartych kupna przez śląską bibliotekę naukową, czy też dzięki wyczulonemu na białe kruki i bibliofilskie *rara* oku śląskiego bibliotekarza? 4 marca 1966 roku jerozolimską księgę zakupiliśmy za kwotę 230 złotych. Trafiła do Działu Księgozbiorów, wraz z innymi silesiacami wówczas kupionymi, m.in.: Jerzego Samuela Bandtkiego *Polnische Grammatik für Deutsche, welche die polnische Sprache grundlich erlernen wollen, nebst einem kleinen etymologischen Wörterbuche* 2. Aufl. Breslau 1818, Bronisława Koraszewskiego *O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków* Opole 1894, czy Jana Kupca: *Powieści i bajki śląskie* Cz. 1-2 Poznań 1893. Zapewne miała w rękę ów tomik córka Stanisława Ligoń, pani Krystyna Pietrykowska, która była zatrudniona w Bibliotece Śląskiej dwukrotnie. Po raz pierwszy między 1 kwietnia 1931 roku a tragicznym wrześniem 1939 roku; po raz wtóry od 1 stycznia 1961 roku do 31 października 1973 roku, kierując działem wypożyczeń, znajdującym się na pierwszym piętrze w starym gmachu biblioteki przy ul. Francuskiej. Dwa piętra wyżej, w magazynach Pracowni Śląskiej, znalazł się tom o sygnaturze 213955 I. Odtąd – wierzę w to głęboko – już na stałe pozostanie w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Jest do-



stępny dla naszych czytelników. I dalej niech im służy.

#### PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

*W roku 1931 wydałem idąc za namową swoich radiowych przyjaciół, pierwszy tomik tzw. „Berów i bojek śląskich”. W rok później ukazał się w druku tomik drugi.*

*Bezpretensjonalne te książeczki zawierały wybór dykteryjek i gawęd, które na przestrzeni trzech lat, począwszy od dnia otwarcia rozgłośni polskiego radia w Katowicach, co niedzieli jako „Karlik z Kocyndra” wygłaszałem. A że opowiadane były w jędrnej, ślą-*

*skiej gwarze, zdobyły sobie powszechną popularność.*

*Pisząc wówczas – jak każę zwyczaj – przedmowę do wydawnictwa, nie przeczułem, że po upływie trzynastu lat, przypadnie mi w udziale opracowanie drugiego wydania – jednakże w jakże odmiennych warunkach. Wtedy jako szczęśliwy obywatel wielkiego, wolnego państwa, jako syn pięknej i bogatej ziemi śląskiej, o której wyzwolenie miałem także szczęście walczyć – dziś na tułaczce w obcym kraju, przeżywający od pięciu już lat tragedię swojej Ojczyzny, pełen bezbrzeżnej tęsknoty za umiłowanym krajem rodzinnym i z troską w sercu o los najbliższych. Czyż mogą być gorsze jeszcze warunki dla pisarza kłępcącego humor?*

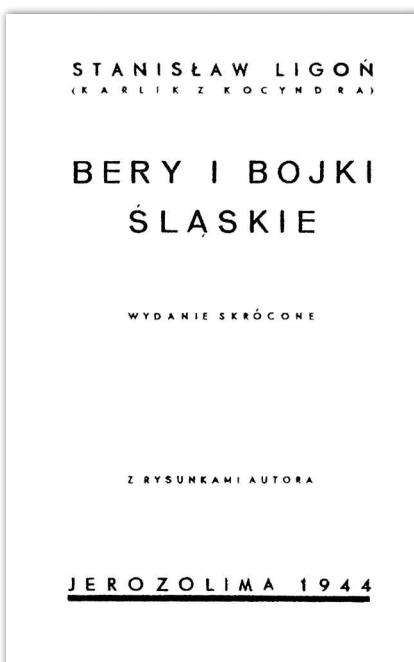
*Nowe wydanie „berów” przeznaczony jest dla żołnierza na froncie i to mnie do pracy zachęciło bowiem żołnierzowi naszemu, po trudzie i znoju dnia, należy się w wolnych chwilach trochę pogody i niefrasobliwej wesołości.*

*Pierwsze wydanie wymienionych książeczek dedykowałem tym swoim ziomkom, z którymi w Kocynderskiej pracy podczas walk o wyzwolenie Śląska uprawialiśmy wspólnie humor rodzimy krzepiąc nim serca rodaków w ciężkich chwilach.*

*Nowe wydanie poświęcam ich synom, którzy dziś na wszystkich frontach świata, pod znakiem Orła Białego walczą bohatercko o całość i niepodległość wspólnej nam, najdroższej Ojczyzny!*

*Nich tedy treść niniejszej książeczki spełni tę samą rolę – jaką spełniały ongiś jej poprzedniczki.*

*Jerozolima 1944  
Stanisław Ligoń*





# Poeta na drugim brzegu rzeki

*Wspomnienie o Tadeuszu Soroczyńskim*

JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIK

Tadeusz Soroczyński urodzony w 1942 roku w Busku nad Bugiem był Poetą trzech rzek – Osobłogi, Odry i Olzy. Po odysei powojennej Kresowian wraz z rodzicami osiadł na Ślą-

sku Opolskim, w Szonowie pod Głogówkiem, gdzie spędził dzieciństwo i młodość. Tam w pobliżu Osobłogi dojrzał i zakorzenił się w śląskim pejzażu kulturowym, który go zaciekaw-

ił i który po latach pokochał ze szczególną atencją do kultury ludowej, do śląskiej muzyki i pieśni. A uczucie to, Śląsk i Ślązacy odwzajemniali młodemu poecie szczerze, ukazując bogactwo rodzimego kręgu kulturowego. Kolejne etapy drogi życiowej Tadeusza Soroczyńskiego wyznaczyły śląskie miasta: Prudnik (Liceum Pedagogiczne), Racibórz (Studium Nauczycielskie), Głubczyce (pierwsza praca) i Głogówek, gdzie kontynuował pracę nauczyciela muzyki i języka polskiego. Miasteczko niezwykle – perła śląskiego baroku, związane z rodem Oppersdorffów i historią Polski z czasów sienkiewiczowskiego *Potopu* (na miejscowym zamku przebywał dwór Jana Kazimierza) po wielu latach zainspirowało Poetę do napisania tomu *Piosenka o starym mieście* (2002). Nad Osobłogą Tadeusz Soroczyński zetknął się również ze wspomnieniami o wybitnym kolorystyce, współtwórcy Klubu Paryskiego – Janie Cybisie, a przede wszystkim z legendą Rafała Urbana, pisarza, gawędziarza, myśliciela, podróżnika, sadownika i ogrodnika, który usynowił Edwarda Stachurę, autora *Piosenki dla Rafała Urbana...*

Założę z każdym się, Ojcze Rafale,  
O piwo, wódkę, krew, życie zuchwałe,  
Że sobie jesteś teraz w Śląskim Raju  
Doradcą ogrodnika w boskim gaju...

Spotkania z Ogrodnikiem z Winiar były niezwykle doświadczeniem dla młodego poety. Zafascynował się osobowością i niezwykłą biografią Ojca Rafała, dla którego wiodącym motywem twórczości i jednocześnie centralnym miejscem odniesienia rozważań i opisów relacji z otaczającym światem był śląski mikrokosmos. Tak oto na brzegu Osobłogi w kręgu Rafała Urbana, wzbudzającego podziw i zainteresowanie wielu innych opolskich twórców (m.in. Z. Bednorza, J. Goczółka, H. Dudy, K. Buckiego...) kształtował się poetycki świat i osobowość Tadeusza Soroczyńskiego. Tam z debiutanta stał się poetą ziemi, łąki, sadu, śląskim literatem o kresowym sercu i kresowej wrażliwości. Nad rzeką dzieciństwa dojrzał nie tylko twórca ale przede wszystkim dobry człowiek, ogarniający świat przyrody w duchu franciszkańskim, serdeczny nie tylko wobec ludzi ale również do innych stworzeń. Bywało, że te stworzenia duże i małe z rodzinnego gospodarstwa stawały się podmiotami w tytułach i treściach plebejskich wierszy. Ten znaczący rozdział życia i twórczości Poety nad brzegiem Osobłogi zaowocował książkami poetyckimi: *Bliżej sadu, Daruję ci sad*, (1967), *Sploty* (1973),



*Krajobraz serdeczny* (1977), ciepło przyjmowanymi przez krytykę literacką i kolegów po piórze.

Pogłębione zainteresowania fenomenem kulturowym Śląska zawiadły opolskiego Poetę nad brzeg Olzy, do rozśpiewanych zaolziańskich chórów, zespołów kultywujących tradycje folklorystyczne Beskidu Śląskiego, do kolegów poetów – Władka, Wilka, Jasia, Gucia, Kazka. A było to w czasach, kiedy przekroczenie granicy polsko-czechosłowackiej nie było łatwe z wielu przyczyn m.in. administracyjnych, politycznych. Kiedy po upadku komunizmu na granicy znikają zasieki i wieże wartownicze intensywnie rozwija współpracę ze środowiskami kulturalnymi na Zaolziu, m.in. z Polskim Związkiem Kulturalno-Oświatowym w Republice Czeskiej. Dzięki jego zaangażowaniu nawiązywano kontakty partnerskie pomiędzy zespołami, domami kultury, organizowano koncerty, imprezy artystyczne, spotkania autorskie. Współpracując z poetą Harrym Dudą, redaktorem opolskiej oficyny wydawniczej „Wers” popularyzuje twórczość polskich poetów tworzących na Zaolziu, doprowadzając do wydania ich książek poetyckich w Opolu, organizuje spotkania poetyckie. Na długie lata rodzą się przyjaźnie literatów, inspiracje opolско-zaolziańskie po obu stronach Olzy owocują wierszami, książkami, spotkaniami autorskimi i plenerami. Po latach w dowód uznania Tadeusz Soroczyński nazywany jest ambasadorem Zaolzia w Polsce i Opolszczyzny na Zaolziu, a jego działania doprowadziły do trwałych relacji partnerskich na niwie instytucji kultury, organizacji pozarządowych i samorządów z województwa opolskiego i Zaolzia. Przez wiele lat aż po jesień życia powracał na lewy brzeg Olzy, aby spojrzeć na wierchy: na dymiący Ostry, Jaworowy i Kozubową, aby spotkać się z przyjaciółmi w Jabłonkowie: na Górolskim Świącie i w Kawiarence „Pod Pegazem”, przy szklance chłodnego Radegasta.

Życie zawodowe zawiadło poetę i animatora kultury do Opola, na brzeg Odry (dosłownie, mieszkał w wieżowcu nad Odrą), rzeki wielkiej i szerokiej, dominującej w pejzażu miasta i regionu. Przez wiele lat był sekretarzem Zarządu Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego, redaktorem kwartalnika „Wczoraj, Dziś, Jutro”. Ukoronowaniem bogatej działalności społecznej i zawodowej Tadeusza Soroczyńskiego na niwie kultury była funkcja dyrektora wydziału kultury Opolskiego Urzędu Wojewódzkiego (druga połowa lat 90-tych). Na wysokim stanowisku urzędniczym nigdy



nie zatracił zdolności animatorskich i twórczych. Powstają nowe tomy poetyckie m.in. *Bruzdy* (1989), *Moja miłość moje skrzypce* (1992), *Czas pstrąga* (1995), *Kosmosu pestka zielona* (1999). Opolskie lata przynoszą Poecie liczne laury artystyczne, nagrody wojewody, marszałka województwa, za dokonania na niwie kultury. Spośród nagród literackich szczególnie cenił sobie Nagrodę Literacką imienia Marka Jodłowskiego, przyznana podczas XI Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu – za wartości artystycznego piękna i moralnego przesłania w czterdziestoletnich dokonaniach poetyckich (debiutował w 1961 roku wierszem *Słowo* na łamach Trybuny Opolskiej). Wspomniany okres życia Poety spędzony nad brzegiem Odry zaowocował również szczęściem rodzinnym, tutaj przyszły na świat Jego dzieci. Syn zapewne nie przypadkowo otrzymał imię Rafał na pamiątkę Rafała Urbana – Mistrza z Głogówka. A żona Maria była jednocześnie przyjaciółką, żoną i opiekunką domowego ogniska, dzięki której mógł w pełni realizować swoje literackie pasje. W dojrzałym wieku zachęcał, inspirował do wielu znaczących dzieł oraz inicjatyw m.in. – zorganizował na Opolszczyźnie wielki Jubileusz Zaolzia – PZKO w Republice Czeskiej, współorganizował pierwszy Najazd Poetów, burmistrza Gogolina przekonał do tego aby obok Pomnika Karolinki wybudował nowoczesny dom kultury na miarę XXI wieku. Współtworzył Górnośląskie Towarzystwo Literackie, krzewił jego idee na Śląsku Opolskim i wspierał miesięcznik *Śląsk*.

Tadeusz Soroczyński jesienią życia (na emeryturze i po długiej rekonwalescencji) powrócił do źródeł rzeki dzieciństwa, do pejzażu wczesnych wierszy – do sadu dojrzałych jabłoni, do ogrodów i łąk, do miłości i do skrzypiec. W niewielkiej Prężynce, wiosce koło Prudnika, odzyskał harmonię ciała i ducha i ponownie zaczął aktywnie uczestniczyć w życiu literackim.

W 2005 roku w Opolu ukazały się *Jego Wiersze wybrane*, którym autor wyboru i słowa wstępnego – profesor Władysław Hendzel z Uniwersytetu Opolskiego, nadał miano *Summa poetycka Tadeusza Soroczyńskiego*. Wiersze z tego zbioru przypominano podczas jubileuszu 75-lecia Autora, zorganizowanego w ubiegłym roku z rozmachem w Miejskiej Bibliotece w Opolu. Wspomniany wybór dokonał Poety stanowi plon dojrzały, wciąż skłaniający czytelników wierszy do refleksji i odczytania ukrytych znaczeń. Motyw podróży w zaświaty i pytanie o życie po życiu od tysiącleci stanowią wyzwanie dla poetów. Homer posyła Odyseusza do świata cieni, Dante Alighieri z Wergiliuszem sam zaś wyrusza do kręgów piekła, czyścica i raju. Poeta znał trzech rzek Osobłogi, Olzy i Odry, zapewne już dotarł tak jak wielu poprzednicy, na skraj błotnistej rzeki, aby popłynąć łodzią na drugi brzeg gdzie czekają Ojciec i Matka, a także przyjaciele poeci, z którymi od lat rozmawiał w strofach elegijnych wierszy. Jak wspominali bliscy na Jego twarzy, pozostał delikatny uśmiech i twarz nie zamieniła się w chłodny relief maski. Tak, ten pogodny, dobrotliwy uśmiech, który zawsze gościł na Jego twarzy – pozostawił nam Tadzium jak pogodne przesłanie, pełne wiary w drugiego człowieka: *Człowiek w tym tłumnym świecie, gęstym od różnych wydarzeń i dramatów, coraz bardziej czuje się samotny i sfrustrowany niebezpieczeństwami, jakie niesie cywilizacja. Dlatego tak niebagatelną rzeczą jest kontakt człowieka z przyrodą, której żywą i rozumną częścią jesteśmy, a którą tak degradujemy i niszczy. Wierzę jednak w człowieka, w jego opamiętanie, że mimo wszystko nie dopuści do zniszczenia tego, co jest prawdziwe, piękne i dobre. Z tej wiary w człowieka rodzi się moja nadzieja i optymizm, że jeszcze pożyjemy na tym najpiękniejszym ze światów. Z tej wiary w człowieka i z tej miłości do ziemi-matki narodziły się moje wiersze.*

Drogi Tadzium, dziękuję Ci za wiersze i za przyjaźń Poety i dobrego Człowieka.



Uczennice Szkoły Tańca Marioli Ptak zasadziły Jabłonkę Ireny Sendlerowej



## Rok Ireny Sendlerowej w Cieszynie

IZABELA KULA

**2018** rok został ogłoszony przez Sejm RP Rokiem Ireny Sendlerowej. „Uratowała dwa i pół tysiąca dzieci, ryzykując swoim życiem co najmniej dwa i pół tysiąca razy, takie postawy i takie postaci warto przypominać” – tak Rzecznik Praw Dziecka

Marek Michałak argumentował potrzebę, aby 2018 rok był Rokiem Ireny Sendlerowej. W 10. rocznicę jej śmierci Sejm przyjął tę propozycję.

Biblioteka Miejska w Cieszynie postanowiła uczcić pamięć Ireny Sendlerowej, nazywanej często Matką Dzie-

ci Holocaustu, przygotowując projekt pt. „Listy w butelce – opowieść o Irenie Sendlerowej”, który uzyskał wsparcie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Działania w ramach wieloletniego przedsięwzięcia odbyły się pod patronatem honorowym Rzecznika Praw Dziecka.

Już w lutym 2018 roku Biblioteka Miejska w Cieszynie ogłosiła konkurs plastyczny pt. „Pamięć w butelce”, skierowany do uczniów szkół podstawowych. Staraliśmy się w ten sposób zachęcić uczestników do zapoznania się z postacią Ireny Sendlerowej, w czym miały być pomocne dostępne w bibliotece książki Renaty Piątkowskiej *Wszystkie moje mamy* oraz Anny Czerwińskiej-Rydel *Listy w butelce. Opowieść o Irenie Sendlerowej*, a także wszelkie inne teksty traktujące o tej wyjątkowej osobie. Zadaniem uczestników konkursu było wyrażenie swoich odczuć, wrażeń i refleksji w dowolnie skomponowanej pracy plastycznej, która miała stać się zwizualizowaną formą hasła: „Pamięć w butelce”. Na konkurs spłynęło ponad 200 prac, spośród których jury wyłoniło 6 wyróżnionych równorzędnymi nagrodami. Książkowe upominki dla laureatów ufundowało Wydawnictwo Literatura.

15 maja 2018 roku Bibliotekę Miejską w Cieszynie zaszczyliła swoją obecnością Anna Czerwińska-Rydel, znana i ceniona autorka książek dla dzieci i młodzieży. Spotkała się z młodymi czytelnikami i opowiedziała o swojej najnowszej publikacji pt. *Listy w butelce. Opowieść o Irenie Sendlerowej*. To właśnie na podstawie tej książki zostało opracowane libretto widowiska pod tym samym tytułem, które zamierzaliśmy zaprezentować uczniom cieszyńskich szkół w ramach obchodów Roku Ireny Sendlerowej. Następnego dnia w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie odbyło się widowisko baletowo-muzyczne, przygotowane przez dzieci z Teatru Tańca Marioli Ptak z muzyką na żywo w wykonaniu zespołu „Lor”. Inscenizacja została stworzona przez dzieci dla dzieci jako opowieść o nadziei. Celem przedstawienia było zwrócenie uwagi widzów na to, że czasami wystarczy jedna iskierka, by rozproszyć ogrom mroku. Była to historia Ireny Sendlerowej i dzieci z getta opowiedziana za pomocą tańca. Przygotowania do tego niezwykle wydarzenia trwały od lutego. Scenografia, dekoracje, stroje szyte na miarę dla każdej małej tancerki oraz próby – wszystkie te działania realizowane były pod czujnym okiem Marioli i Grzegorza Ptaków. Każdy ruch i każdy gest miały znaczenie. Opowieść została przedstawiona z pozyjki dzieci, ich emocji, uczuć i wyobrażeń. W spektaklu ukazała Irenę Sendlerową i dzieci z warszawskiego getta – miejsca, w którym na co dzień zmagaly się z ciemnością i śmier-





cią. Za pomocą ruchu, gestów i mimiki młodziutkie tancerki przedstawiły getto, panujące w nim warunki: strach i niepewność jutra, samotność i szarość, z którymi trzeba było sobie poradzić. Wraz z pojawieniem się na scenie postaci Ireny Sendlerowej – kojarzącej się z zapachem chleba, ciepłem dłoni, czystą sukienką oraz obietnicą nowego domu „po drugiej stronie muru” – widać było, jak w serca dzieci powraca nadzieja. Irena Sendlerowa była po stronie dzieci do samego końca i z pomocą innych działających z nią osób wyprowadzała je z getta, odważnie wchodząc w rolę drugiej mamy. Listy w butelkach z imionami i nazwiskami żydowskich dzieci, chowane przez nią pod drzewem jabłoni, były prawdziwym skarbem ukrywającym życie. Prześlaniem widowiska było „odczytanie listu”, który zostawiła nam po sobie Irena Sendlerowa: „Każdemu, kto tonie, należy podać rękę!”. Mamy możliwość niesienia pomocy tam, gdzie nadzieja już zgasła, możemy być światłem dla innych, a światło to może rozproszyć najmroczniejsze ciemności, nawet takie jak wojna. Cel najwyraźniej został osiągnięty, gdyż po twarzy niejednego z widzów licznie zgromadzonych w cieszyńskim teatrze popłynęły łzy.

Zaraz po spektaklu na scenie Teatru im. Adama Mickiewicza odbyło się spotkanie z Janiną Zgrzebską, córką Ireny Sendlerowej oraz Anną Czerwińską-Rydel, autorką książki *Listy w butelce*. Moderatorką spotkania nieprzypadkowo była dr Joanna Jurgała-Jureczka, gdyż jest ona pisarką, która od lat zajmuje się historią Zofii Kossak, współzałożycielki tajnej organizacji działającej pod kryptonimem „Żegota”, niosącej pomoc Żydom w gettach. Obie panie przywołały w swych opowieściach postać Ireny Sendlerowej – jako niezwyklej bohaterki, ale i matki wychowującej dwójkę swoich własnych dzieci.

Zwieńczeniem wydarzeń związanych z cieszyńskimi obchodami Roku Ireny Sendlerowej, w których każde działanie zostało naznaczone szczególną emocją, zaangażowaniem i siłą, było posadzenie Jabłonki Ireny Sendlerowej na skwerze przy ul. Śrutarskiej w Cieszynie. Wierzymy, iż ta niezwykle, żywa pamiątka, wzrastając na naszych oczach, nie pozwoli kolejnym pokoleniom zapomnieć o kobiecie, która w swoim życiu kierowała się zasadą: „To, co najcenniejsze, każdy ma w sobie. W sercu”.



Widowisko baletowo-muzyczne na scenie Teatru im. Adama Mickiewicza w Cieszynie



Spotkanie z Janiną Zgrzebską oraz Anną Czerwińską-Rydel poprowadziła dr Joanna Jurgała-Jureczka

# Gustawa Morcinka i Doroty Simonides epistolograficzny dwugłos o bogactwie śląskich powiarek. Rekonesans

LUCYNA SADZIKOWSKA

Gustaw Morcinek (1891–1963) jest znanym, choć powoli zapominanym i nieczytanym pisarzem, który po mistrzowsku kreśląc magiczne historie o bożatkach, utopcach, nocnicach i Skarbniku, zapisał się w świadomości czytelników jako twórca śląskich baśni dla dzieci i młodzieży.

Profesor nauk humanistycznych Dorota Simonides natomiast – ceniona polska folklorystka i członek zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego – to autorka m.in. publikacji *Śląski horror o diablach, skarbnikach, utopcach i innych strachach* (Opole 2013) czy *Opolskie legendy i bajki* (Opole 2008).

Fascynacja baśniami Śląska wydaje się oczywistą płaszczyzną wspólnych zainteresowań Gustawa Morcinka i Doroty Simonides. I tak w istocie jest. Prawie 40-letnia różnica wieku – można powiedzieć: różnica pokoleniowa – dzieliła autora *Czarnej Julki* i Dorotę Simonides, w archiwum której znajduje się kilka listów i kart od skoczowskiego pisarza. Różnica ta była wystarczająco duża, żeby podczas pierwszego spotkania pomiędzy dysponującym ugruntowaną pozycją pisarską i doświadczeniem Gustawem Morcinkiem a doktorantką wytworzył się pewien dystans, ale nie dość duża, żeby nie mogła być zachowana prawie koleżeńska, równoprawna płaszczyzna wspólnej troski o docenienie przez polskie społeczeństwo śląskich powiarek.

Ta dbałość jest właściwie głównym i chyba najbardziej pasjonującym wątkiem zachowanej korespondencji. Opiewanie piękna baśni śląskich oboje – Simonides i Morcinek – realizują nieco odmiennie, sobie właściwymi metodami. Piszą o Śląsku, konsekwentnie broniąc i chwaliąc jego bogactwo kulturowe. Listy niejednokrotnie wyrażają niezgodę na powierzchowną, deprecjonującą ocenę śląskich bajek przez rodaków. Wyrażają głos przeciwko płytkiemu traktowaniu kultury śląskiej, sentymentalnemu zachwytowi dla dorobku niemieckich i cze-

skich sąsiadów, mocno inspirowanego przez twórczość społeczności Śląska.

Prowadzony za pośrednictwem listów dialog między Gustawem Morcinkiem i Dorotą Simonides był też swego rodzaju płaszczyzną i polem wymiany myśli, poważnej dyskusji na tematy, które były autorowi *Lyska z pokładu Idy* najbliższe. Nie ulega wątpliwości, że Gustaw Morcinek traktował list – czego dowodzą liczne, opracowane przez badaczkę twórczości i biografii pisarza Krystynę Heską -Kwaśniewicz, zespoły epistolograficzne – jako doskonałą formę kształtowania własnych poglądów, jako preludeum do „prawdziwego” pisania. W liście z 4 kwietnia 1960 roku skreślił słowa: „Poza tym załączam pierwszą, bardzo nieudolną redakcję bajki /: fragment:/ Powie to Pani, jak takie bajki powstają u pisarza”.

Byłoby jednak znacznym uproszczeniem sprowadzić listy – po powodzi z 1997 roku zachowane tylko fragmentarycznie – do wątku walki o nadanie baśniom śląskim ogólnokrajowego znaczenia i wyniesienia ich do rangi ogólnopolskiej. Ta korespondencja jest bogata i różnorodna, tak jak wielowymiarowe są życiorysy i wszechstronne zajęcia ludzi, którzy ją współtworzyli. Listy zawierają obszerną, rzeczową argumentację dotyczącą śląskich bajek, a także przybliżają postać Gustawa Morcinka – człowieka otwartego, mimo wielu traumatycznych doświadczeń, życzliwego i skorego do rozmowy. Próbując poddać przesłany materiał analizie, przede wszystkim zwraca się uwagę na kilka istotnych wątków, które w liście do redakcji porusza również prof. Dorota Simonides.

W sobie właściwym stylu autor *Wyrąbanego chodnika*, szukając przyczyn tego zjawiska, ubolewał nad marginalizacją wątków śląskich na tle europejskim. Przejawy tego dostrzegał w braku zainteresowania badaczy Śląskiem i jego kulturą. Z tą problematyką wiąże się stosunek Gustawa Morcinka do kraju. Wspominając przeszłość, pragnął orientować się na ważną część kraju – na Śląsk,

na jego potrzeby i problemy oraz różnorodność, bogactwo, ale także na jego nędzę. Solidaryzował się z ludźmi pracy, oburzały go jaskrawe przykłady pomijania i niedocenywania śląskiej ludowości. W tej kwestii Simonides i Morcinek od początku znajomości byli zgodni. Działalność literacka powinna koncentrować się na umacnianiu śląskiej kultury, ludowości i regionalizmu, bo jest to zorientowane na ojczyznę i jej wielorakie bogactwo.

Interesującym wątkiem jest sprawa samoświadomości Gustawa Morcinka jako twórcy bajek i baśni oraz roli Doroty Simonides w umacnianiu tej świadomości, gdyż – jak się wydaje – sytuowali oni „bajanie” w tych samych kategoriach filozofii życia i poczucia trwania. Prowadzili przyjazną wymianę myśli i poglądów, umacniając wzajemnie intuicje twórcze i literackie.

Korespondencja Gustawa Morcinka z Dorotą Simonides jest też bardzo ludzkim, momentami o charakterze dokumentu, fragmentem biografii. Uświadamia, że Morcinek był człowiekiem witalnym i otwartym, kochającym życie, podróżującym, a zarazem skupionym, troskliwym, pamiętającym o chorobie syna Doroty Simonides. Historia związana z rozliczeniem reszty za kawę nadaje tym listom wymiar szczególny.

Nie jest przypadkiem, lecz kwestią świadomego wyboru dysponentki listów i kart pocztowych od Gustawa Morcinka, że w roku 55. rocznicy śmierci autora *Czarnej Julki* i w roku jubileuszu stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości korespondencja w formie skanów została udostępniona redakcji „Śląska. Miesięcznika społeczno-kulturalnego”. Z tego dialogu, zapoczątkowanego w postacią na trasie Katowice–Warszawa w 1960 roku, dwojga obserwatorów śląskiej rzeczywistości i historii można się wiele nauczyć: o literaturze, o kulturze i o Śląsku.



4  
 w Skoczowie, dnia 11 kwietnia



Szanowna i Droga Pani!

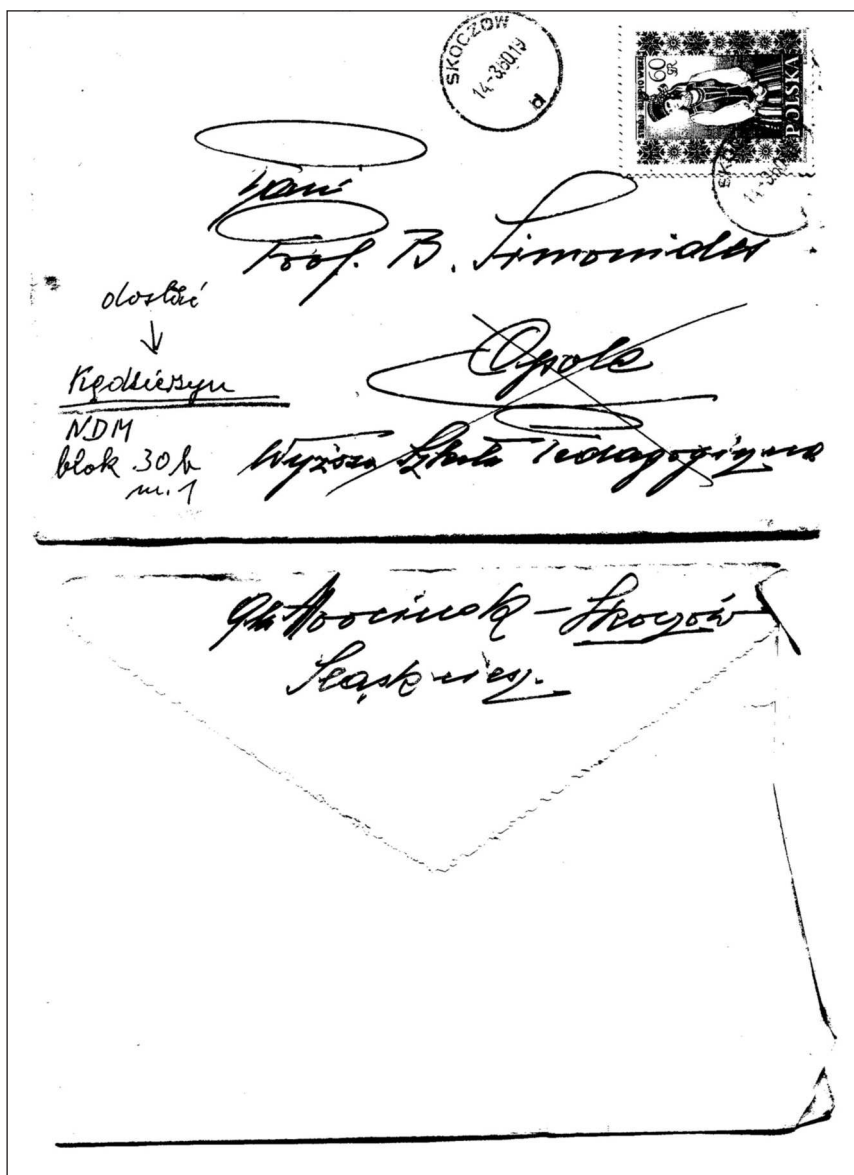
Przesyłam Pani czeski miesięcznik p.t. "Radostná Země", w którym znajdują się również nasze, polskie bajki ludowe "pożyczone" sobie przez Czechów. Zwłaszcza bajka o zaczarowanym wole z Bukowca pod Jabłonkowem /:wieś czysto polska:/ i "Jak szoł kowol na miesiącek" również z Bukowca. Poza tym znajduje się tam "pożyczone" polskie kolędowanie z Jabłonkowa i okolicy, Gut, Piosku i Bogumina /:Czesi nasz śląski Piosek zamienili na Pisek:/.

Gdy Pani wykorzysta ów materiał, poproszę o zwrot, jako że nie miałbym czym wojować z Cze<sup>ch</sup>ami.

Ze zbiorów niemieckich posiadam jeszcze "Oberschlesischer Sagenspiegel" Karl Ernst Schnellhammer oraz "Sagen aus Schlesien" Prof. Dr. R. Kühnau'a.

A teraz, jeszcze serdecznie Pani życzę radosnych świąt wielkanocnych i serdecznie pozdrawiam

*[Handwritten signature]*



## Z mojej korespondencji z Gustawem Morcinkiem

DOROTA SIMONIDES

**G**ustawa Morcinka poznałam osobiście w marcu 1960 roku, na dworcu w Katowicach. Do tej pory był mi znany jako autor znakomitej literatury o Śląsku. Okazało się, że udajemy się na wspólną konferencję bajkoznawczą do Warszawy, organizowaną w Insty-

tucie Badań Literackich przez prof. Juliana Krzyżanowskiego. Kończyłam wtedy pracę doktorską na temat śląskiego bajkoznawstwa na tle porównawczym polsko-czesko-niemieckim.

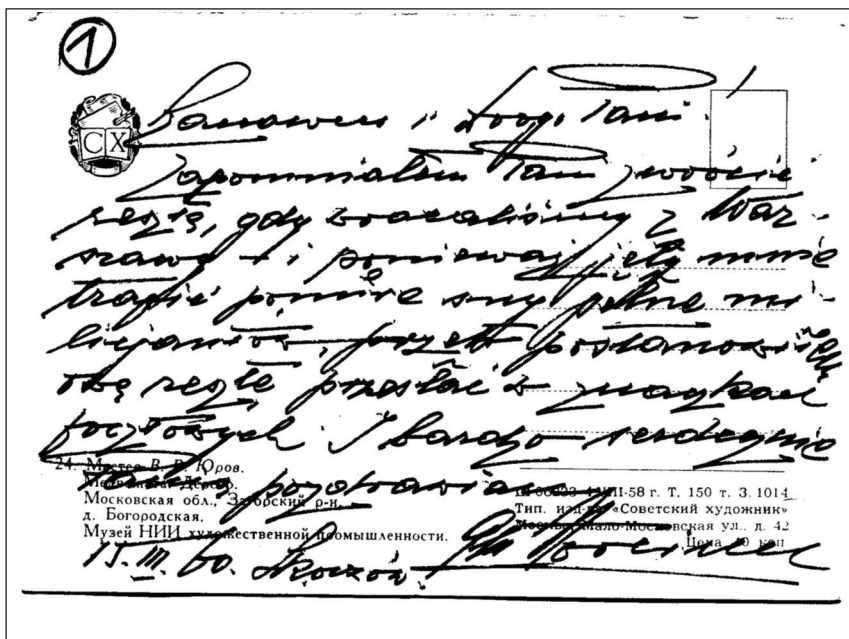
Wspólna podróż upłynęła nam na rozmowie na temat ludowości bajek

śląskich, opowiadałam o moich badaniach i pracy naukowej. Wspomniałam, że syn prof. J. Krzyżanowskiego zachwyca się jego książką, pt. *Jak górnik Bulandra diabła oszukał*. Teraz miałam okazję do rozmowy o tym wydaniu. Powiedziałam, że wydaje mi się, iż jedna bajka w zbiorze (*Przedziwna historia o dziewczynie o uśmiechniętych oczach*) nie jest oparta na wątku ludowym. Zapytał mnie, skąd to wiem? Śmiało, jako młoda asystentka, dumna ze świeżo zdobytej wiedzy, czytana w definicjach bajki, wyjaśniłam, że w bajce ludowej fantazja wywodzi się z pradawnych wierzeń i jest na nich oparta. A więc nie może lew lecieć do słońca, bo lew nigdy – w wierzeniach ludowych – nie fruwał, natomiast fruwał koń (pegaz), a jeśli to już do księżycy, bo słońce zaś może człowieka spalić a bohaterka bajki leci do słońca. Podawałam inne przykłady: Nie ma metafor, jak „uśmiechnięte oczy”, usta mogą się uśmiechać, ale oczy? Dalej, że w bajce ludowej występują silne kontrasty: bohaterka ma włosy albo czarne jak heban, albo jasne jak złoto, nie kasztanowate ani rude. Cera u bohaterki ludowych bajek jest albo jasna jak słońce, a usta jak maliny, natomiast nie ma piegowatej. Bohaterowie bajki to nie ludzie, lecz figury, zatem nie znają lęku (np. strach przed piegami). Wszystkie cechy, właściwości, uczucia wyrażane są w bajce poprzez czyny. On pobłażliwie się uśmiechał, i zgodził się, iż nie jest to wąż ludowy. Autor wyjawiał mi, że bajkę tę wymyślił specjalnie dla pewnej pani redaktor wydawnictwa „Nasza Księgarnia”, która pracowała nad wydaniem zbioru i miała, według niego, uśmiechnięte oczy. Poruszyliśmy także inne tematy. Podzieliłam się również moimi wątpliwościami, które pojawiły się w trakcie badań nad zbiorami bajek niemieckich na Śląsku. Umówiliśmy się, że spiszę moje rozterki i prześlę mu.

Po dwudniowej konferencji, znów razem wracaliśmy pociągiem do Katowic; ja potem do Kędzierzyna, a pan Morcinka – do Skoczowa. Pamiętam, że poszliśmy do Warszawy na kawę, do rachunku zabrakło drobnej kwoty, którą wyłożyłam. Podkreślałam to dlatego, gdyż ku mojemu zdumieniu, kilka dni później otrzymałam od pana Morcinka list (15 marca 1960) z dowcipnym komentarzem o „trapiących go snach, w których jest on ścigany przez milicję”, zarówno za ten mały dług, jak i za brak ludowości w tekście, o którym była rozmowa w pociągu. W kopercie znajdowały się znaczki pocztowe opiewające na równowartość tej drobnej kwoty.

W kolejnym liście (24 marca 1960) autor zawiadamia, iż „opuszczył go już ponure sny pełne milicjantów”. A da-





lej informuje o pracy nad nowym zbiorem bajek opartych na motywach ludowych. Cyt.: **Ile w nich będzie owej „ludowości”, a ile rozigranej fantazji, miły Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie usiłuję nie wyłaźć poza ramy owej „ludowości”, stosując tu pewne chwytty stylistyczne w budowie zdań, w zakresie pojęć i fantazji naszych starzyków, którzy opowiadali bajki wciąż te same, a za każdym razem inne.**

W listach dyskutowaliśmy na temat śląskiego folkloru, głównie bajek ludowych, wątków śląskich na tle europejskim. Przesyłałam mu teksty bajek śląskich, bibliografię, opracowania, literaturę. Wymienialiśmy się książkami. W jednym z listów pisał: (4.VI.60). Cyt. **O egzemplarz „Godek śląskich” Ondrusza będę chciał się postarać. Gdy go dostanę, prześlę. Zbiór cieszyńskich bajek Karaska i El-frydy Strzygowskiej dostanę od pana P. Brożka.** Informował mnie również o swoich aktualnych działaniach twórczych: Obecnie siedzę nad swoimi bajkami. Już mam cztery. Ostatni tytuł: „O tym jak jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było”. Wątek wzięty z ludowej bajki o dziecku wycyganionym przez diabła.

Obecnie, trzymając jego listy w ręce, wspominam naszą dawną dyskusję i ciekawą korespondencję. Ponownie dostrzegam, jak mocno interesował go Śląsk i brak zrozumienia dla kultury śląskiej u tych romantyków, którzy szukali źródeł odrodzenia narodowego wyłącznie wśród ludu Kresów Wschodnich. Tam to zbierali bajki, baśnie i podania ludowe. Morcinek zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że samowiedza i tożsamość ludności śląskiej byłaby dawno dużo wyższa, gdyby poeci pierwszej połowy XIX wieku zajęli się także tym regionem Polski,

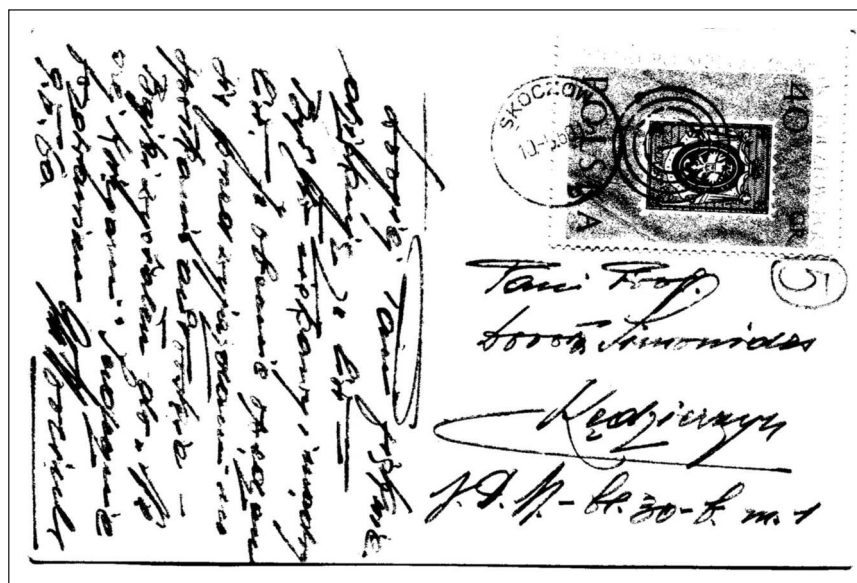
który od dawna leżał poza granicami państwa polskiego. Troskę o brak zrozumienia wśród elity polskiej dla Śląska wyraził w jednym z listów. (Skoczów, 2 października 1960). Cytuję obszerny fragment:

Czemu Polacy nie zbierali podań śląskich? Na Śląsku nikt nie zbierał – myślę o Ślązakach – ani podań, ani baśni, bo mieliśmy za mało ludzi do tej pracy. Owszem, w pismach wychodzących przed pierwszą wojną światową na Górnym Śląsku, pojawiły się i podania i baśnie. Zwłaszcza w tzw. dodatkach niedzielnych. Nie weszły jednak te baśnie i podania do literatury ogólnopolskiej, bo nami nikt się nie interesował, a tacy ludzie, jak Niemcewicz czy inny Pol odkrywali nas przypadkiem i ogromnie się dziwili, że spotykają na Śląsku „autochtonów” rozmawiających po polsku. Polska nas odkryta dopiero w okresie trzech powstań ślą-

skich. Wtedy zwrócił na nas uwagę Żeromski w swym „Snoźbimie i postępie”. Innymi słowy, myśmy żyli swoim odrębnym, polskim, lecz ubożuchnym życiem, a Polska także swoim. Aż do końca pierwszej wojny światowej uważano nas jeszcze za Niemców. Gdyby uczony świat Polski zainteresował się nami, jak zainteresowali się Niemcy, mielibyśmy dzisiaj podobne zbiory podań, legend i powiarek śląskich. A więc raczej ów brak zbieraczy podań śląskich przypisać należy przede wszystkim temu, że na Śląsku nie było ludzi, którzy podejmowaliby się tej pracy systematycznie, bo nie mieliśmy własnej inteligencji z wykształceniem chociażby średnim, a uczeni polscy w dawnej Kongresówce, Poznańskim i Galicji nie wiedzieli, albo wiedzieli bardzo mało coś o nas.

Tematyka dziejów i kultury Śląska nie była jedynym tematem naszych listów. Pisaliśmy również o naszych codziennych sprawach i wydarzeniach z życia. Nadmieniałam mu o chorobie mojego syna; on opisywał swoją podróż do Grecji (2 października 1960). Cyt.: **I u mnie było to samo, włączyłem się po świecie, nawet po bardzo dalekim świecie, podziwiałem Akropol i w nocy w reflektorach i za dnia w słońcu, (...). Napatrzyłem się ludziom do syta i do woli, modliłem się w meczecie wraz z innymi Mułzumanami, piłem wino, jadłem figi zrywane z drzewa figowego.**

Żałuję ogromnie, że nie udało mi się zachować wszystkich listów pisarza. Powódź stulecia, w 1997 roku, zabrała mi nie tylko wszystkie książki, ale większą część korespondencji, także z innymi wielkimi osobistościami, której nie zdążyłam zabezpieczyć.



# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Anna Gaitoer

Joanna Kotkowska

Kordian Michalak

Janusz Ireneusz Wójcik

## XIII edycja OFF Festival

**KATOWICE.** XIII edycja OFF Festival odbyła się w dniach 3-5 sierpnia w katowickiej Dolinie Trzech Stawów. To muzyczne święto dla fanów alternatywnych brzmień z całego świata. Wśród gwiazd tegorocznej odsłony festiwalu są m.in. M. I. A., Grizzly Bear, Kult, Charlotte Gainsbourg. Oprócz wrażeń muzycznych organizatorzy jak zwykle zadbali o mnóstwo innych ciekawych wydarzeń towarzyszących. „Przez te wszystkie lata OFF Festival urósł do rangi przedsięwzięcia promującego region, znanego w Polsce i za granicą. W zeszłym roku znalazł się na liście dziesięciu najlepszych festiwali muzycznych w Europie według „Guardiana”. W tym roku znowu zaskakujemy wielką i bardzo ekлекtyczną liczbą prawie stu artystów, którzy przez trzy dni zawładną sześcioma scenami w katowickiej Dolinie Trzech Stawów” – podkreślał Artur Rojek, twórca festiwalu.

Zespoły, które zawitały do Katowic–Miasta Muzyki, to absolutnie wyjątkowi, unikalni i poszukujący artyści. Podczas 13. edycji OFF Festivalu na czterech scenach wystąpiło kilkudziesięciu artystów m.in. John Maus, Clap Your Hands Say Yeah, Marlon Williams, Turbonegro, Big Freedia, a Polskę reprezentować będą m. in. Kult, Hańba! czy Kapela ze Wsi Warszawa. OFF Festival Katowice od wielu lat cieszy się przychylnością fanów, mediów i branży muzycznej. Impreza zdobyła wiele nagród, w tym prestiżową nagrodę European Festival Award w kategorii najlepszy festiwal średniej wielkości. OFF Festival Katowice został też wyróżniony przez Pitchfork – popularny serwis internetowy, niekwestionowany autorytet w świecie muzyki, umieścił OFF-a na liście 20 najważniejszych letnich festiwali na świecie w roku 2012, a rok później ponownie wymienił OFF-a w przewodniku po najciekawszych letnich imprezach muzycznych. W kwietniu 2014 roku prestiżowy „TIME Magazine” zamieścił OFF Festival Katowice na liście 14 najciekawszych festiwali na świecie. Z kolei dzięki sesjom wideo, zarejestrowanym w 2015 roku przez amerykańskie radio KEXP o Katowicach i polskich zespołach dowiedział się cały świat.

## Nowy Dyrektor GPE

**CHORZÓW.** Od 1 sierpnia br. Gómośląskim Parkiem Etnograficznym w Chorzowie kieruje Artur Madaliński. Artur Madaliński, doktor nauk humanistycznych, w swej karierze zawodowej był m.in. rzecznikiem prasowym w Piekarach Śląskich, dyrektorem Wydziału Komunikacji Społecznej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. Przez dwa ostatnie lata kierował pracami Miejskiego Ośrodka Kultury w Mysłowicach. Zajmuje się też krytyką literacką i publicystyką. Artur Madaliński został wybrany na stanowisko dyrektora w drodze konkursu. Będzie zarządzać chorzowskim skansenem przez pięć lat.

## Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego 2018

**KATOWICE.** Zakończyło się internetowe głosowanie na najpopularniejszą realizację biorącą udział w konkursie Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego 2018. W plebiscycie publiczności trwającym od 1 do 31 lipca br. za najlepszą realizację internauci uznali rewitalizację kompleksu wypoczynkowego Stawiki w Sosnowcu (pro-

jektanci: Ryszard Tojka, PW ETA sp. z o.o.), przyznając jej 2 962 punkty. Realizacja ta otrzymała tym samym nagrodę internautów ufundowaną przez Marszałka Województwa Śląskiego. Konkurs Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego promuje wysokiej jakości przestrzenie publiczne sprzyjające tworzeniu naszego otoczenia piękniejszym, a województwa Śląskiego bardziej konkurencyjnym oraz nagradza ich projektantów. W tegorocznej edycji do konkursu zakwalifikowano 25 realizacji. Większość realizacji ma charakter rekreacyjno-sportowy z elementami edukacyjnymi, sprzyjający wypoczynkowi, aktywności rodzinnej i integracji społecznej. W konkursie o tytuł najlepszych stanęły zarówno przebudowane, zmodernizowane istniejące już obiekty i przestrzenie, którym nadane zostały nowe funkcje, jak również nowe inwestycje. W konkursie nagrody są przyznawane niezależnie przez internautów oraz jury konkursowe. Z jego werdyktem zapoznamy się w październiku br. w ramach organizowanej dorocznej konferencji Forum Przestrzeni. W trakcie konferencji wręczone zostaną nagrody i wyróżnienia w konkursach: Najlepsza Przestrzeń Publiczna Województwa Śląskiego 2017, Architektura Roku (konkurs Stowarzyszenia Architektów Polskich) oraz Najlepsza praca dyplomowa i kursowa z zakresu urbanistyki, gospodarki przestrzennej i zrównoważonego rozwoju (konkurs Towarzystwa Urbanistów Polskich pod Patronatem Marszałka Województwa Śląskiego).

## Pani Agnieszka Dec-Michalska pełni obowiązki dyrektora Biblioteki Śląskiej

**KATOWICE.** W związku z wygaśnięciem w dniu 31.07.2018 kontraktu prof. zw. dr hab. Jana Małickiego na pełnienie funkcji Dyrektora Biblioteki Śląskiej Zarząd Województwa Śląskiego ogłosił konkurs i zaprosił do składania przez kandydatów zamierzających ubiegać się o to stanowisko niezbędnej dokumentacji konkursowej.

Uchwałą z dnia 31.07.2018 Zarząd z dniem 1.08.2018 powierzył Pani Agnieszce Dec-Michalskiej pełnienie obowiązków dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach do czasu powołania dyrektora tej instytucji, jednakże na okres nie dłuższy niż rok.

## Pani Aleksandra Gajewska dyrektorką Teatru Rozrywki w Chorzowie

**CHORZÓW.** Zarząd Województwa Śląskiego powołał Panią Aleksandrę Gajewską na stanowisko dyrektora Teatru Rozrywki w Chorzowie z dniem 1 września 2018 r. na okres czterech sezonów artystycznych tj. od 1 września 2018 r. do 31 sierpnia 2022 r.

## Pan Robert Talarczyk dyrektorem Teatru Śląskiego

**KATOWICE.** Zarząd Województwa Śląskiego powołał ponownie, na kolejne sezony teatralne Pana Roberta Talarczyka na stanowisko dyrektora Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach z dniem 1 września 2018 r. na okres pięciu sezonów artystycznych tj. od 1 września 2018 r. do 31 sierpnia 2023 r.

## Nikifor. Samotność w Krynicy. 50 obrazów w 50. rocznicę śmierci artysty.

**KATOWICE.** Muzeum Historii Katowic do 12 sierpnia br. prezentować będzie 50 obrazów pochodzących ze zbiorów: Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu, Muzeum Miejskiego w Zabrze i Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu, malarza który podpisywał zawsze swe obrazy słowami: „NIKIFOR MALARZ – NIKIFOR ARTYSTA” i pod tym właśnie imieniem wszedł na zawsze do historii sztuki polskiej i światowej. Posługiwał się szkolnymi akwarelami i kredkami, gdyż nie było go stać na profesjonalne farby, pędzle i ołówki. Malował na tym, co wpadło mu w ręce: na starych zeszytach, plakatach, drukach, papierze do wycinanek, papierze pakowym, tekturze czy nawet na opakowaniach po papierosach. Wykonywał szkic ołówkiem, następnie wypełniał go kolorem, podpisywał obrazek, a na odwrocie dzieła przystawiał specjalną pieczętkę. Uwieczniał krajobrazy z Łemkowszczyzny: architekturę stacji kolejowych, miasteczek, malował cykle obrazów



przedstawiających urzędy i fabryki dolarów, krynickie wille i pensjonaty, cerkwie, kościoły i synagogi, wnętrza kuchni, postacie świętych, kuracjuszy i znajomych, sceny wojskowe, a także bardzo interesujące autoportrety, na których przedstawiał siebie jako kogoś ważnego, miał bowiem świadomość, że jest ARTYSTĄ. Prawdopodobnie namalował kilkadziesiąt tysięcy obrazów. Niestety większość z nich została zniszczona – spalona (z obawy przed zarażeniem gruźlicą) – lub zaginęła. *Wystawa Nikifor. Samotność w Krynicy* ukazuje 50 prac artysty, które przedstawiamy w 50. rocznicę jego śmierci (Nikifor: Epifaniusz Drowniak 1895–1968). To zaledwie ułamek z bogatego dorobku malarza. Warto spojrzeć na jego prace nie tylko pod kątem samej techniki malowania, ale także poprzez jego niezwykłą biografę.

## Katowice stały się Miastem Schronienia dla prześladowanych artystów

**KATOWICE.** Katowice stały się Miastem Schronienia dla prześladowanych artystów. List intencyjny w tej sprawie podpisali, podczas XII Kongresu Miast Kreatywnych UNESCO #Krakowice2018, prezydent Katowic Marcin Krupa oraz Helge Lunge, prezes zarządu ICORN – Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia. Katowice stały się czwartym, obok Krakowa, Wrocławia i Gdańska, polskim miastem w Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia, do której należą również Bruksela, Amsterdam, Barcelona, Frankfurt, Miami, Paryż, Sztokholm, Kopenhaga, Meksyk. ICORN to organizacja skupiająca miasta i regiony oferujące schronienie dla prześladowanych artystów. Została powołana w 2005 roku z inicjatywy m.in. PEN International, Międzynarodowego Stowarzyszenia Wydawców, Międzynarodowego Stowarzyszenia Bibliotek. Współpracuje z Amnesty International, a jej siedzibą jest norweskie Stavanger. – Celem organizacji jest zapewnienie bezpiecznych i odpowiednich warunków dla życia i pracy dla tych, których twórczość stała się przyczyną ich politycznego prześladowania. Każdy artysta, twórca kultury, który jest prześladowany w swoim kraju zamieszkania, może wystąpić o objęcie ochroną przez ICORN, a my staramy się zapewnić mu bezpieczeństwo nie tylko bytowe, ale przede wszystkim twórcze, w ramach sieci Miast Schronienia – mówi Helge Lunge, prezes zarządu ICORN.

## Rok 2019 będzie Rokiem Powstań Śląskich

**WARSZAWA/KATOWICE.** Sejm przyjął uchwałę w sprawie ustanowienia roku 2019 Rokiem Powstań Śląskich. W ten sposób Parlament chciał wyrazić „wdzięczność za wkład pokoleń ludu śląskiego w walkę o niepodległość Rzeczypospolitej, a potem Jej odbudowę, oraz za wywarcie istotnego wpływu na kształt granic odrodzonego i niepodległego państwa polskiego”.

Jak czytamy w uchwale: „dzięki zrywom powstańców śląskich, na których czele stali Wojciech Korfanty oraz Alfons Zgrzebniok, ich determinacji oraz hojnej daninie krwi znacząca część Górnego Śląska została w 1922 r. ostatecznie włączona do odradzającej się II Rzeczypospolitej”. W dokumencie tym podkreślono także, że „Powstania Śląskie stanowią jedną z najpiękniejszych kart w dziejach narodu polskiego, a patriotyzm powstańców, ich umiłowanie polskości, rozsądek oraz hart ducha tworzą ciągle aktualny wzorzec do naśladowania”.

Za uchwałą głosowało w 418 posłów, przeciw było 2, od głosu wstrzymał się 1 poseł.

Patronami roku 2019 będą także Gustaw Herling-Grudziński, Anna Walentynowicz, Stanisław Moniuszko oraz inne wydarzenie – Unia Lubelska.

## Samorząd Katowic przejmie unikatowe obiekty szybu Poniatowski

**KATOWICE.** Unikatywne obiekty szybu Poniatowski, należącego do likwidowanej kopalni Wieszorek w Nikiszowcu staną się własnością Katowic. Planowane jest przekazanie m.in. budynku szybu i konstrukcji wieży wyciągowej, budynku maszyny wyciągowej oraz dwóch budynków wentylatorów. Część przekazywanych obiektów jest objęta ochroną konserwatorską. Najstarsze obiekty szybu Poniatowski powstawały w początkach XX wieku (1906-1912). Szyb był czynny do roku 2017, służąc w ostatnim okresie głównie jako tzw. szyb podsadzkowy – transportowano nim materiały. Szyb należał



Zdjęcie udostępnione przez Wydział Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta Częstochowy, autor: Marcin Szczygiel

do katowickiej kopalni Wieszorek, która w końcu marca tego roku, po ponad 190 latach działalności, zakończyła wydobywanie węgla. To właśnie w sąsiedztwie kopalni Wieszorek (do 1945 r. kopalnia Giesche) ponad 100 lat temu wyrosło unikatowe osiedle robotnicze, zbudowane z charakterystycznej czerwonej cegły – Nikiszowiec, zaliczany dziś do największych atrakcji turystycznych Katowic.

Nikiszowiec to kompleks połączonych ze sobą budynków z czerwonej cegły, skupionych wokół centralnego placu z neobarokowym kościołem św. Anny. Osiedle znane jest m.in. z licznych filmów o Górnym Śląsku. Od sześciu lat Nikiszowiec jest Pomnikiem Historii.

## Zameczek myśliwski w Promnicach częścią Muzeum Zamkowego w Pszczynie

**PSZCZYNA.** Wyjątkowej urody Zameczek Myśliwski w Promnicach stanie się częścią Muzeum Zamkowego w Pszczynie. Skarb Państwa właśnie przekazał ten majątek nieodpłatnie. To zabytek na skalę europejską, do tego znakomicie zachowany do naszych czasów, choć wymaga już poważnego remontu. Do tej pory w przepięknych wnętrzach dawnej rezydencji książąt pszczyńskich prowadzona była działalność gastronomiczna i hotelowa. Dyrektor Muzeum Zamkowego w Pszczynie, Maciej Kluss zapowiada, że przedstawiony zostanie tam cały obyczaj myśliwski z charakterystyczną kuchnią. Zachowały się trofea, przepisy kulinarne z tamtych czasów. Nadal przewidziana jest w nim działalność gastronomiczna, więc będą mogły się odbywać wielkie imprezy biznesowe, jak do tej pory. Najważniejszy jest teraz remont m.in. przyłączy energetycznych fundamentów, poszycia dachowego i otoczenia. Koszt tych prac oszacowano na około 10 mln zł. Cały majątek przejęty od Skarbu Państwa – a więc Zameczek Myśliwski położony w pszczyńskim lesie, dawna książęca wozownia i gajówka, 2 ha ziemi wyceniono na 58 mln zł.

## Renowacja Pałacu Rheinbabenów w Siemianowicach Śląskich

**SIEMIANOWICE ŚL.** Rewitalizacja Pałacu Rheinbabenów – który od XVI wieku był siedzibą arystokratycznych właścicieli – rozpoczęła się w 2017 roku. Odnowiono elewację i sztukaterie, wymieniono pokrycie dachu, okna i podłogę tarasu, zaizolowano fundamenty. Koszty – około 3,3 mln zł, pokryto z budżetu miasta. Od połowy XX wieku, dzięki mecenatowi kopalni „Michał” i „Siemianowice”, pałac pełnił funkcję ośrodka społeczno-kulturalnego. W 2009 roku został przejęty przez gminę Siemianowice Śląskie. Od 2016 roku jest siedzibą oddziału Siemianowickiego Centrum Kultury.

## Teatr Dzieci Zagłębia ze wsparciem Ministra Kultury

**BĘDZIN.** Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego będzie współprowadziło Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana. W ramach wspólnego prowadzenia Teatru Dzieci Zagłębia Ministerstwo przekazywać będzie na działanie placówki co najmniej 520 tys. zł rocznie. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, który podkreślił przy tym, jak

dużą rolę Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana odgrywa w regionie. Jak zaznaczył minister Glišński, jest to już czwarta instytucja na terenie województwa śląskiego współprowadzona przez Ministerstwo. Resort wspiera już bowiem Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia, a także od niedawna Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny oraz Aukso, czyli Orkiestrę Kameralną Miasta Tychy. Celem podpisanej dzisiaj umowy o współprowadzenie jest wsparcie Teatru i umożliwienie instytucji pełnego wykorzystania potencjału artystycznego oraz zapewnienie jej rozwoju, a także zwiększenie możliwości twórczych. Teatr Dzieci Zagłębia to założony przez Jana Dormana lalkowy teatr dla najmłodszych, który rozpoczął swoją działalność w 1945 r. pod nazwą Międzyszkolny Teatr Dziecka w Sosnowcu. W 1950 r. placówka została przeniesiona do Będzina, a rok później otrzymała dzisiejszą nazwę. Teatr Dzieci Zagłębia przez lata uznawany był za jedną z najlepszych scen dziecięcych w kraju i na świecie.

## „Wyobraźnia to nie kłamstwo”

**CZĘSTOCHOWA.** 16 lipca w OPK Gaude Mater odbyło się spotkanie z Manułą Gretkowską. Był to kolejny literacki poniedziałek przygotowany w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!* W sali zgromadziło się wielu częstochowian, miłośników stylu oraz zwolenników głośnych przez autorkę poglądów. Rozmowa o literaturze oraz współczesnym świecie była niezwykle interesująca i emocjonalna.

Gretkowska, pisarka, osoba niezwykle aktywna medialnie, wyróżniona tytułem doktor honoris causa Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, opowiadała o kulisach powstawania powieści, planach na przyszłość, zrealizowanych i niezrealizowanych pomysłach literackich i filmowych, o eksperymentach socjologicznych oraz o warsztatach pisania. Poza tym oceniła polską politykę, uwzględniając rolę manipulacji, zaangażowanie młodych oraz sposób ich edukowania. Polecała też popularnonaukową serię „Prószynski i Ska Na ścieżkach nauki”, która w sposób jasny i przystępny objaśnia współczesny świat. Według pisarki tylko wiedza o współczesnych naukowych odkryciach pozwala człowiekowi rozumieć rzeczywistość, także społeczną. Jej największym strachem jest tkwienie w XIX wieku, mentalnie, politycznie, światopoglądowo.

Rozmowa literacka dotyczyła debiutu Gretkowskiej rekomendowanego przez Czesława Miłosza oraz kolejnych jej utworów. Autorka opowiadała o roli pisarza w społeczeństwie, przełamywaniu kolejnych tabu, sposobie kształtowania wizerunku współczesnej kobiety oraz podejmowanym temacie intymności. Jej zdaniem jednym z obowiązków twórców jest konstruowanie za pomocą wyobraźni wydarzeń możliwych i prawdziwych, by umożliwić czytelnikom zrozumienie rzeczywistości.

## Częstochowscy plastycy o ekologii

**CZĘSTOCHOWA.** W Sali Śląskiej Miejskiej Galerii Sztuki do 15 lipca można było oglądać wystawę przygotowaną przez artystów Uniwersytetu w Częstochowie *Oikos-... Postawy twórcze wobec zagadnienia ekologii w sztukach plastycznych*. Była ona jednym z wydarzeń Międzynarodowego Triennale Grafiki – Kraków 2017. Pokazane prace wykonano techniką: intaglio, akwaforty, suchej igły, chine colle, serigrafii, ale również fusingu (*Szklane reliefy strukturalne Věra Vejsova*). Pokazano też instalacje.

Artyści definiowali ekologię jako: poszukiwanie spokoju wewnętrznego, kontemplację przyrody i pejzażu (*Helgoland* Aliny Jackiewicz-Kaczmarek), namysł nad strukturą miasta (Mappy Katarzyny Winczek), budowlami i ich znaczeniem. Zadawali też pytania o powstanie człowieka i świata, proces tworzenia, zmiany w ekosystemie.

*Wystawa była doskonałą okazją, by podziwiać dzieła, wrażliwość i technikę artystów, lecz również zastanowić się nad miejscem człowieka w świecie, tym współczesnym i nieco dawniejszym, procesem przemijania i wciąż rozgrywającej się metamorfozy (prace Igora Bency English crow).*

## W obiektywie Beksińskiego

**CZĘSTOCHOWA.** Do 7 października w Sali Poplenerowej Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie można oglądać około 100 fotografii, 30 rysunków oraz 25 obrazów Zdzisława Beksińskiego z kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich. Prace powstały tuż po ukończeniu

przez artystę architektury, choć fotografią interesował się on jeszcze w czasie II wojny światowej. Od 1955 roku był członkiem sanockiego oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, współpracował z Jerzym Lewczyńskim oraz Bronisławem Schlabsem (wspólne wystawy w 1958 i 1959 roku).

Fotografie mają charakter nieoczywisty. W kadrze Beksińskiego rzeczywistość nabiera innych znaczeń, a brak tytułu zachęca do metaforycznych odczytań. Zobaczymy na zdjęciach fragmenty postaci (w tym artysty oraz jego żony, Zofii), budynków oraz jakichś przedmiotów, które na co dzień umknęłyby może naszej uwadze. Znajdują się one w centrum kadru albo na jego obrzeżach, co buduje odmienne napięcia z tłem, które czasami urasta do rangi głównego tematu. To zapis wrażliwości młodego artysty, jego sposobu postrzegania świata oraz świadomość kształtowania obrazu.

Jednym z tematów prac jest struktura, ujawniana w ogrodzeniach, fakturze tkanin, budynkach, oraz jej przemiany w czasie. Uszkodzenia niszczą porządek, eksponując przemijalność świata. To jeden z najważniejszych tematów dla malarstwa Beksińskiego.

## Jura w obiektywie młodzieży

**CZĘSTOCHOWA.** W Pawilonie Wystawowym w parku im. Stanisława Staszica można było oglądać prace, które wpłynęły na II konkurs fotograficzny *Jurajska przyroda w obiektywie* dla dzieci i młodzieży szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Wydarzenie było sposobem upowszechnienia regionu, ale również upamiętnienia Profesora Janusza Hereźniaka. Organizatorem konkursu był Dział Przyrody Muzeum Częstochowskiego.

Jury pod przewodnictwem Krzysztofa Pierzgałskiego przyznało Grand Prix oraz tytuł Młodego Fotografii Jurajskiej Przyrody 2017 Julicie Policińskiej za pracę *Studnia jesieni*. Zwycięzcami poszczególnych kategorii wiekowych zostali: Aleksandra Stemplewska (szkoła podstawowa), Bartosz Zaczek (gimnazjum), Aleksandra Tałaj (szkoła ponadgimnazjalna).

Pokazane prace ujawniają zainteresowanie przyrodą dzieci i młodzieży oraz podejmowane przez nich poszukiwania warsztatowe w zakresie posługiwania się aparatem czy komputerowej obróbki zdjęć. Młodzi fotograficy utrwaliли zwierzęta, detale przyrody, krajobraz, w tym elementy typowo jurajskie. Sprawdzali możliwości perspektywy, zestawiania form i kształtów – kasztan na głazie, dmuchawiec na torach kolejowych, kadrowali przedmioty aż do ich odrealnienia.

## „Melodia szczęścia chwil”

**CZĘSTOCHOWA.** W Gabinetce Wybitnych Częstochowian Muzeum Częstochowskiego od 19 maja można było zobaczyć wystawę *Melodie miłości* poświęconą zmarłemu siedem lat temu Januszowi Gniatkowskiemu, zorganizowaną z okazji jego 80. urodzin. Artysta urodził się we Lwowie 6 czerwca 1928 roku. Nad przygotowaniem ekspozycji czuwała Krystyna Maciejewska, druga żona artysty, związana m.in. ze Studenckim Teatrem Satyryków.

Wystawa dokumentowała chwile największej popularności Gniatkowskiego od lat 50. XX wieku, gdy na jego koncerty przychodziły tysiące widzów. Były zdjęcia, programy, afisze krajowe i zagraniczne tras koncertowych, nagrody i odznaczenia, pamiątki podarowane przez przyjaciół, m.in. anioł wykonany przez Krystynę Sienkiewicz. Pokazano też osobiste pamiątki: rogatywkę z czasów II wojny światowej, kostiumy, kapelusze i żaboty, eksponaty z kolekcji cytr, ulubiony stolik oraz fotel, roczniki czasopism.

Artysta mieszkał w Poraju, gdzie od 2007 roku organizowany jest Festiwal Piosenek Janusza Gniatkowskiego.

## KRÓTKO:

### CZĘSTOCHOWA

■ 20–22 lipca w trzech podwórkach przy Al. NMP odbywał się Weekend Kultury Niezależnej; wystąpili Francis Tuan, Marvinca, Sorja Morja, Santa Barbara oraz Jabłonka;

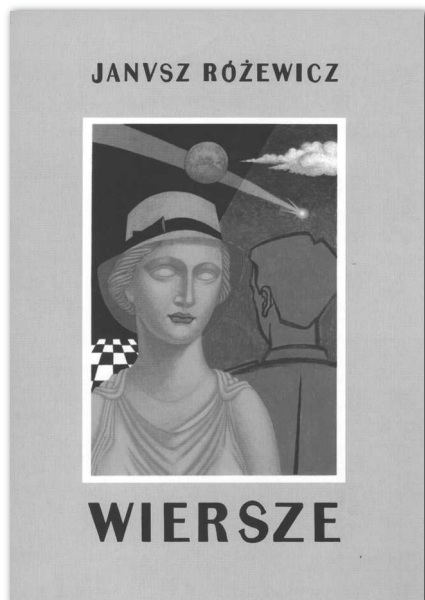
■ 21 lipca w Secie i Galarecie zagrali Frank Parker Jr., Bartek Bednarek oraz Michał Ostalski;

■ 23 lipca w OKF Iluzja odbyło się spotkanie z Kazikiem Staszewskim i Wiesławem Weissem na temat książek *Kazik. Biała księga* oraz *Kult. Biała księga*.

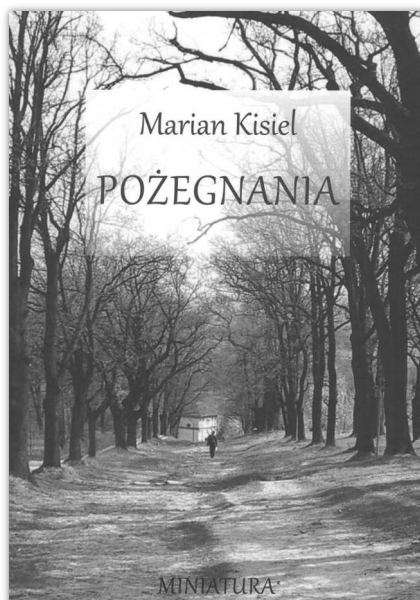




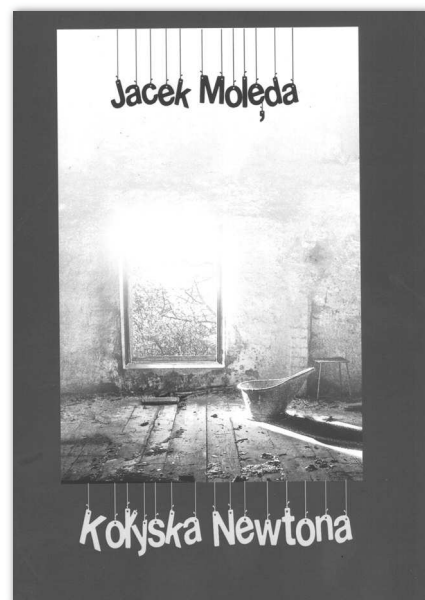
# KSIĄŻKI NADESŁANE



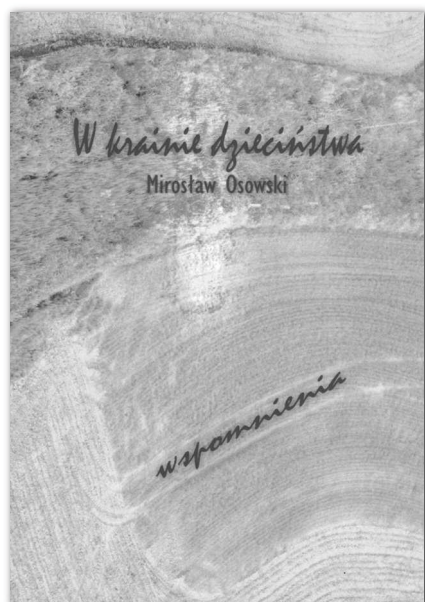
Janusz Różewicz, *Wiersze*,  
Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa  
Słowaków w Polsce,  
Kraków 2018



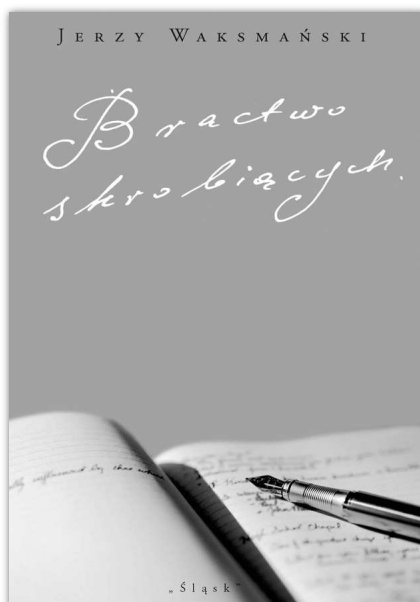
Marian Kisiel, *Pożegnania*,  
Wydawnictwo Miniatura,  
Kraków 2018



Jacek Mołęda, *Kotyska Newtona*,  
Fundacja Otwartych Na Twórczość Font,  
Poznań 2018



Mirosław Osowski, *W krainie  
dzieciństwa – wspomnienia*  
Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia  
w Sandomierzu, 2018



Jerzy Waksmański,  
*Bractwo skrobiących*,  
„Śląsk” Sp. z o.o.  
Wydawnictwo Naukowe,  
Katowice 2018



Album – katalog wystawy  
*„100 x 100. Nasze stulecie”*.  
Agnieszka Bartków, Urszula Batko,  
Mieczysław Dobkowski, Maciej Droń,  
Anna Grabińska-Szczyński,  
dr Przemysław Jagieła, Leszek Jodliński,  
Helena Kisiełewska, Małgorzata Ktych,  
dr Joanna Lusek, Iwona Mohl.  
Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, 2018



# Światy Maji Ostrowskiej

MARIA KORUSIEWICZ

**MAJA OSTROWSKA** urodziła się jedenaście lat temu w Katowicach, ale teraz mieszka w domu z dużym ogrodem w Krakowie. Uwielbia malować, a jej obrazy to całe światy, w których zwierzęta i rośliny, a nawet chmury i woda, czują się bezpieczne i swobodne, nie niepokozone obecnością ludzi. Są to z reguły duże formaty, płótna o wymiarach 130x100 cm lub większe. Te dwa, zaprezentowane obok zajmują niemal całą ścianę.

Maja rysuje także na niewielkich kartkach, tworzy książki graficzne, wypełniając rysunkami całe bruliony. Ich bohaterami nieodmiennie są zwierzęta, te prawdziwe i te wymyślone. Autorka mówi, że najbardziej interesują ją w ruchu, w biegu, w swobodnych pozycjach, kiedy są szczęśliwe. Zapytana, co jest dla niej najważniejsze, mówi, że chciałaby, żeby nikt ich nie krzywdził. Zastanawia się.

W końcu, zapytana o swoje obrazy opowiada jednak nie o nich, ale o swoim przyjacielu, kocie o imieniu Pasek: „Poszłam za Pasiem w ten drugi ogród, zaprowadził mnie do krzaków, w które też za nim weszłam. Pasiu coś tam pogadał sobie, potem wyszliśmy. I zaczął padać deszcz. I Pasiu zaczął biegać, a ja za nim i to było takie strasznie magiczne, były takie powiązania. I jeszcze było wtedy słońce w deszczu. Taka mgiełka. Ja byłam boso, a Pasek...nigdzie nie odchodził. To była taka chwila tak jakby jedna, jedyna. I poczułam się tak jakby inaczej, tak jakby – wolna”.



*Wielki ocean*



*Myszka Rurka*